CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK PIERWSZY.

Tom I – Zeszyt 3.

Marzec.

KRAKÓW.
CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU".
1856.

Marzec — 1856.

CHŁOPICKI W HISZPANII.

(Ustęp z rękopismu ROMANA hr. ZAŁUSKIEGO *pod napisem:* „Żywot jenerała Józefa Chłopickiego“.)

II.

Wzmiankowane w pierwszéj części tego opisu roztropne postępowanie marszałka Suchet, umiejącego połączyć umiarkowanie z energią, potrafiło złagodzić ducha nienawiści w mieszkańcach Aragonii, i do pewnego stopnia powstrzymać wybuch niechęci, w sercach ich najściem Hiszpanii przez Francuzów zaszczepionéj. Zręczna i przezorna administracya zaprowadzona przez marszałka, zaopatrywała bez wielkich dla kraju ciężarów, oszczędnem jedynie zużytkowaniem zasobów, wojsko nietylko w potrzeby, lecz nawet w wygody. Zresztą wyborna i silna reorganizacya armii, przywróciła ducha i zaufanie żołnierzom. Ogół owych tak trafnie zastósowanych środków, przyczynił się już w dwóch ostatnich bitwach do zwycięztwa nad Hiszpanami i napawał wodza otuchą, iż

Część pierwsza w zeszycie lutowym.

naprzyszłość liczyć może na męztwo dowodzonéj przez siebie armii.

Kraj niebył jednakże jeszcze uspokojonym i nieokazywał bynajmniéj chęci zgodzenia się na obce najście, przeciw któremu pałał źle tajoną zemstą, i radby się go był jak najrychléj pozbyć. Nadzieję zamienienia w czyn téj gorącéj żądzy, żywiły nadto w Hiszpanach wewnętrzne i zewnętrzne poduszczania. Przyczyniła się do tego szczególniéj wojna Francyi z Austryą (w 1809 r.). Armia Blacka została wprawdzie rozbitą, lecz większa część żołnierzy wypocząwszy na łonie swych rodzin, nowemi w końcu ożywiona nadziejami, niemogła się w domu osiedzieć. Przystawali oni do band gerylasów, które zręczni i przedsiębiorczy dowódzcy organizować zaczęli, a do których przyłączali się najlepsi oficerowie hiszpańscy i w ogóle najwaleczniejsza część ludności krajowéj. Nowy ten system obrony, który Hiszpanie jako odpowiedniejszy charakterowi i zdolnościom ludu, oraz topograficznemu położeniu kraju, wyłącznie prawie obrali, niebył bez pomyślnych skutków w północnych szczególniéj stronach Hiszpanii. Liczne hufce partyzantów ukazały się w Aragonii, w górach *Calatayud*, i w wąwozach pod *Huesca* i *Barbastro*.

W nowéj téj fazie wojny w Hiszpanii, miał sposobność marszałek Suchet tak świetnie rozwinąć talent swój wojskowy i polityczny, że cesarz o nim powiedział: „iż gdyby dwóch takich jak on marszałków miał w Hiszpanii, nietylko byłby zdobył, lecz nadto w posiadaniu swojem zatrzymał półwysep. Umysł jego trafny, pojednawczy i administracyjny, jego takt wojskowy i męztwo, niesłychane zjednały mu powodzenie....

Niemamy zamiaru, jakeśmy to w poprzedzającym uczynili opisie, przechodzić rozmaitych odcieni trudnych i umiejętnych wypraw wojennych marszałka Suchet, które zresztą sam w wybornych swoich pamiętnikach opisał;

dotkniemy ich jedynie o tyle o ile tego wymagać będzie tok wypadków, dotyczących bezpośrednio jenerała Chłopickiego, który pod rozkazami marszałka w wojnach tych miał czynny i zaszczytny udział.

Ukończenie kampanii austryackiéj, zatwierdzone traktatem Wiedeńskim z 14go listopada 1809 r. dozwoliło cesarzowi wzmocnić armię swoją, działającą na półwyspie. Trzeci korpus armii wzrósł na początku 1810 r. otrzymanemi w różnych czasach posiłkami do 20,000 ludzi, a liczbę tę codzień prawie zwiększały wojska powracające z Niemiec. Pod szczęśliwszą więc wróżbą rozpocząć się miały nowe działania w tym roku; jakoż nieomieszkał marszałek Suchet głównie dowodzący armią francuzką w Aragonii i Nawarze korzystać jak najwięcéj z tego pomyślnego zbiegu okoliczności. Oblegając ważne twierdze jak np. Leridę, Tortosę, Walencyą i inne, umiał on pogodzić działania wojskowe na większą skalę rozwinięte, z częściowemi wyprawami przeciw wojnie partyzanckiéj, którą naczelnicy gerylasów hiszpańskich prowadzili z odwagą i niestrudzoną wytrwałością, a którą koniecznie należało przytłumić i w zarodzie wytępić. W tych to wyprawach i walkach staczanych od chwili bitwy pod Marią i Bachito prawie bez ustanku, rozwinął na nowo jenerał Chłopicki czynność i wojskowe swoje talenta. Był on jednym z tych wodzów, którym marszałek poruczał najważniejsze i najtrudniejsze wyprawy. Już to nad źródłem Tagu, Xucaru lub Guadalaviaru, już na równinach Moliny, Cènčo-Villas i w Nawarze, walczył on przeciw siłom, któremi dowodzili Mina, Villa-Campa, Gagan i Perrena, a bitwy pod *N. S. del Aguila*, *Ojos-Negros* pod *N. S. de Fremdal* (25 lutego 1809) i pod *Xorowar* daleko rozniosły sławę Chłopickiego.

Wśród wielu tych bitw zasługuje na wzmiankę utar-

czka w dniu 16 lutego stoczona, przez wzgląd na odnoszące się do niéj ciekawe okoliczności.

Villa-Campa opierając się o silną pozycyą pod *Villel* niepokoił od niejakiego czasu wojsko francuzkie w Aragonii, trzymał załogę francuzką obsaczoną w *Teruel*, i paraliżował ruchy 3go korpusu armii. Jenerał dywizyi Laval, mając pod dowództwo swe oddaną brygadę jen. Chłopickiego, otrzymał rozkaz wyparcia Villa-Campy z jego stanowiska. Chłopicki dowodząc przednią strażą, napotkał przednią straż nieprzyjacielską o 2 mile od Teruel w *Villastar*, gdzie Hiszpanie silną zajmowali pozycyą i zkąd ogień ich bronił ze wszech stron przystępu. Jedna tylko wązka i przepaścista droga prowadziła do pozycyji nieprzyjacielskiéj, do któréj chcąc się zbliżyć, drogę tę koniecznie przebyć trzeba było. Przeznaczono do tego przedsięwzięcia kompanie woltyżerskie z 44go pułku liniowego i z 2 pułku ułanów. Lecz ogień nieprzyjacielski w ten punkt skupiony tak był silny, iż czoła kolumn tych kompanij zaczęły się mieć do odwrotu. Wtedy jenerał Chłopicki dobiegłszy do kompanii woltyżerów z 2go pułku legii nadwiślańskiéj, idącéj na czele, przywrócił jéj kilku swemi słowami słabnącą odwagę i poprowadził na nieprzyjaciela. Kompania przebyła w pędzie bez wystrzału niebezpieczne przejście, i poparta tuż za nią dążącemi kompaniami, śmiało uderzyła z bagnetem w ręku na nieprzyjaciela, który się cofnął bez oporu, w kierunku Villel. Woltyżery ścigając zacięcie Hiszpanów rozproszyli się po wzgórzystéj przestrzeni i równocześnie prawie z uciekającymi przybyli pod Villel. Lecz tam 6 tysięczny korpus Hiszpanów obsadziwszy silnie wszystkie drogi prowadzące do miasta, oczekiwał w porządnym szyku na przeciwnika. Natychmiast Hiszpanie rzucili się na woltyżerów, którzy ujrzawszy się w obec tak przeważającéj siły, w chwili téj krytycznéj, spiesznie cofać się zaczęli. Lecz jen. Chło-

picki, który nagląc pochód reszty swego wojska, znajdował się tuż za tyralierami, ukazał się wpośród nich i zagrzewając głosem swym ich zapał, zawrócił ich do walki. W tem spostrzegłszy porucznika Brandta z 2go pułku legii nadwiślańskiéj, przybywającego na czas z 30tu woltyżerami, kazał mu zgromadzić rozpierzchłych tyralierów i rzucić się na Hiszpanów, przyrzekając go wspierać. Porucznik Brandt, który już z komapanią swą przypuszczał atak pod Villastar, pod ogniem nieprzyjacielskim zebrał żołnierzy, rzucił się na ich czele na Hiszpanów, i ścigających przymusił do odwrotu. Już co tylko opanować miał pierwszy szaniec nieprzyjacielski, gdy kula powaliła go o ziemię. Żołnierze widząc padającego oficera, zaczęli się mieszać, a Hiszpanie z nową siłą uderzyli na nich. Wśród tego nieładu, sprowadzonego nagłą zmianą rzeczy, narażonym był jenerał Chłopicki w tłumie nieprzyjacielskich żołnierzy na największe niebezpieczeństwo, gdy na szczęście, dowodzący lewém skrzydłem pułkownik Klicki, na czas mu jeszcze zdążył na odsiecz. Po przywróceniu porządku i uszykowaniu kolumn, uderzył jenerał na nieprzyjaciela, który po krótkim lecz żwawym oporze opuścił swoją pozycyą i w nieporządku cofnął się po za rzekę Guadalviar. Most który się w chwili odwrotu Hiszpanów załamał, stał się powodem ogromnéj ich straty; zostawili oni prócz tego w rękach zwycięzców kilkuset jeńców, i mnóstwo trupów na polu bitwy, reszta ich korpusu rozpierzchła się w górach.

Jenerał Laval nieszczędził pochwał jenerałowi Chłopickiemu, a w skutku raportu jego zamieścił marszałek Suchet w rozkazie dziennym do Armii świetny skutek bitwy pod Villel. Jenerał Chłopicki pomny na odznaczenie się porucznika Brandta w tem zdarzeniu, przedstawił go królowi saskiemu księciu Warszawskiemu, do *krzyża kawalerskiego*, wojskowéj ozdoby polskiéj, którą

też Brandt rzeczywiście otrzymał. Był to w owym czasie jedyny wypadek w armii polskiéj, że prosty porucznik osiągnął ten stopień nagrody, udzielanéj zwykle wyższym oficerom i jenerałom [1]).

W ciągu większéj części tych wypraw pułki legii nadwiślańskiéj rzadko zostawały pod dowództwem jenerała Chłopickiego. Pułk 1szy którym on dawniéj dowodził, po raz pierwszy od chwili gdy został jenerałem przeszedł pod jego rozkazy w miesiącu maju 1810 r.—Jeden batalion 14go pułku liniowego napadniętym został w wąwozach pod *Frasno* przez sławnego dowódzcę hiszpańskiego Villa-Campę. Marszałek Suchet dowiedziawszy się o tém, kazał jenerałowi Chłopickiemu znajdującemu się podówczas w *Doroca* puścić się w pogoń za Villa-Campą, co też natychmiast Chłopicki uczynił mając pod rozkazami swemi 13ty pułk kirasyerów, batalion 14go pułku liniowego i 1szy pułk legii nadwiślańskiéj. Po kilku dniach spie-

---

[1]) Porucznik Brandt, o którym tu mowa, jest ten sam, co jakeśmy powyżéj nadmienili, dostarczył nam wyjaśnień pod względem téj wojny, i który jest obecnie jenerał-porucznikiem w służbie pruskiéj.

Krzyż wojskowy polski z napisem, „Pro Virtute militari", zaprowadzonym został w r. 1792 przez króla Stanisława Augusta. Statuta jego ułożone są na wzór wojskowego orderu austryackiego Maryi Teresy. Pierwiastkowo krzyż ten jedną tylko miał klasę, t. j. krzyż kawalerski. Był on czarno emaliowany na tle złotem i nosił napis powyżéj wyrażony; w środku znajdował się herb polski i litewski, a na odwrotnéj stronie cyfra króla, który go założył. Krzyż ten nosił się na wstążeczce niebieskiéj w czarne prążki.

Za czasów króla Saskiego, księcia warszawskiego, order ten zatrzymując dawny swój napis, formę i kolor, podzielonym był w skutku propozycyi księcia Józefa Poniatowskiego naczelnego wodza armii polskiéj, na 5 klas: 1, krzyż srebrny. 2, krzyż złoty. 3, krzyż kawalerski w pierwotnéj swéj formie z czarną emalią na tle złotem. 4, krzyż komandorski i w końcu 5, wielką wstęgę z gwiazdą. Ostatnią dwie osoby tylko posiadały: książe Józef Poniatowski i marszałek Davoust.

sznego pochodu, dogonił on go nareszcie w górach sąsiednich Kastylii, pod *Xarava*, dokąd się Villa-Campa schronił. Nietracąc czasu uderzył nań silnie i zadał mu zupełną porażkę zabrawszy 200 niewolnika. Reszta wojska Villa-Campy rozproszyła się całkowicie w górach. Ztamtąd udał się Chłopicki do *Moliny* dla zburzenia młyna prochowego, który Hiszpanie tamże założyli.

Wróciwszy do leży swych w Doroca powziął w krótce Chłopicki wieść że się nowy oddział powstańców pod rozkazami Empecionada, zwanego *il superbe*, zebrał w niedostępnych górach w pobliżu miasteczka *Blancas* i puścił się z wojskiem swém w pochód dla wyparcia go z tamtąd. Empecionado postawił dla większego bezpieczeństwa dwa szwadrony huzarów na placówce. Jenerał Chłopicki opuścił niespodzianie w nocy pozycyą swą pod Doroca i tak pochód swój zamaskował, że o świcie napadł na dwa owe szwadrony i prawie co do nogi zabrał je w niewolę. Chciał on się rzucić zaraz potem na główne siły Empecionada lecz ten na szczęście swe ostrzeżony przez kilku zbiegów uszłych z Blancas, zawczasu się usunął. Zaledwo jazda dogonić mogła tylną straż jego, rozproszoną w górach i kilku zabrać niewolników.

Po zdobyciu *Leridy* w dniu 13tym maja i *Mequineuzy* w d. 8ym czerwca 1810 r. przyczem 1szy i 2gi pułk legii odznaczyły się swem męztwem [2]), przedsięwziął marszałek Suchet oblężenie *Tortosy*. Jenerał Chłopicki należąc z wojskiem swém do armii oblężniczéj, zwiększył jeszcze znakomitemi swemi czynami, sławę swoją wojskową. Samo obsaczenie szańca przedmostowego z prawéj strony Ebro trwające pół roku, oblężenie twierdzy, a nadto jeszcze różne zajścia wojskowe wynikłe z ówczesnych wypadków tak w Aragonii jak w Walen-

---

[2]) Patrz: Pamiętniki marszałka Suchet tom 1szy, Rozdz. IV i V.

cyi, znacznie przyczyniały się do zwiększenia ogółu trudności, z któremi armia oblężnicza miała do walczenia. Jenerał Laval mając sobie poruczonem zdobycie szańca przedmostowego na prawym brzegu Ebro, zdał zpowodu choroby, któréj w krótce uległ, główne prowadzenie dowództwa dywizyi swojéj na jenerała Chłopickiego, który wreszcie dokonał zdobycia ważnego tego punktu, w skutku krwawéj utarczki z tego powodu na d. 3im lipca stoczonéj. Nieco późniéj t. j. w dniach 6go, 8go i 12go lipca odpierał on z równą dzielnością wycieczki załogi hiszpańskiéj. Ponieważ sprawozdania o téj zajmującéj rozprawie, w któréj jenerał Odonnel, gubernator Tortosy osobiście przeciw Chłopickiemu dowodził, niedosyć są szczegółowe w raportach francuzkich, chcemy je uzupełnić następującym opisem dostarczonym nam przez świadków naocznych [3]), i potwierdzonym ustnem opowiadaniem samego jenerała Chłopickiego.

Atak w dniu 3cim sierpnia przez Hiszpanów przedsięwzięty, był niespodzianką dla wojska oblężniczego, znużonego odpieraniem poprzednich wycieczek, wykonywanych prawie bez przerwy jedna po drugiéj. Zaledwo trzy w południe puszczone bomby dały Hiszpanom hasło do wyruszenia przeciw nieprzyjacielowi, rzucili się oni z niepojętą szybkością na przekopy i wyparłszy z nich straże i pikiety, uderzyli na obóz francuzki, zanim jeszcze wojsko zdążyło w nim stanąć pod bronią. Napad ich odniósł doraźnie zupełny skutek, lecz w okamgnieniu nadbiega Chłopicki, po chwilowym spoczynku na pół rozebrany, w jeneralskim tylko kapeluszu i z laską w ręku, i przebiegając odstępy pomiędzy woltyżerami i grenadyerami 2go pułku legii nadwiślańskiéj, gromkim zakomenderował głosem: „grenadyery lewe ramie

---

[3]) Świadkami tymi byli jenerał Brandt i pułkownik Soczyński, o których już mieliśmy sposobność wspomnieć powyżéj.

naprzód, woltyżery prawe ramie naprzód marsz, na prawo i na lewo formuj się do ataku na bagnety!“ — Na czele tych dwóch kompanij rzucił on się na idącą przeciw sobie kolumnę nieprzyjacielską, i wytrzymawszy ogień całéj linii, natarł na nią tak silnie, że ją zmusił do odwrotu. W téj saméj chwili adjutanci jenerała roznieśli innym oddziałom dywizyi rozkaz jego, wykonany natychmiast z całą dokładnością, a w krótce Hiszpanie na wszystkich punktach odparci z szybkością niemniejszą od wycieczki zmuszeni byli wrócić do miasta. Prócz 200 jeńców, strata w zabitych w dniu tym przez Hiszpanów doznana była nader znaczna. Jenerał Laval pomimo swéj słabości przypadł na plac walki, lecz w téj saméj chwili ugodzony kulą w ramie, w kilka dni potem życie zakończył. Był to zasłużony oficer powszechnie kochany i szanowany od swych podwładnych. Dowództwo dywizyi objął po nim jenerał Robert. Spodziewano się, że dowództwo to przejdzie w ręce jenerała Chłopickiego, posiadającego miłość i zaufanie wojska, pomiędzy którem zawód téj nadziei obudził lekkie nieukontentowanie, zwiększone jeszcze tem, że Chłopickiemu nieoddano dowództwa 4ch batalionów, przeznaczonych do blokowania szańca przedmostowego, co mu się po zdobyciu go, zdawało prawnie należeć. Ten powód, a może chęć stawienia czynnego i energicznego człowieka przeciw połączonym korpusom Villa-Campy i Carabejala, zajmującym powtórnie okolice *Teruelu* i *Albarrein*, skłoniły marszałka Suchet do powierzenia jenerałowi Chłopickiemu zamiast blokowania Tortosy, wyprawy w góry aragońskie, przeciw dwom jenerałom hiszpańskim, których miał polecenie wyparować z pozycyi tak bliskiéj i zagrażającéj działaniom oblężniczym. Siły równające się dywizyi oddane z powodu téj wyprawy pod jego dowództwo, składały się z najlepszego wojska: z 7iu batalionów piechoty, 500 koni i kilku dział polowych. Sa-

ma ważność i trudność przedsięwzięcia miały wynagrodzić jenerałowi Chłopickiemu nie miłe mu uchylenie go w czasie oblężenia Tortosy od przynależnéj mu posady.

Każdemu z oddziałów mających stanowić części korpusu ekspedycyjnego, a rozproszonych w różnych stronach Aragonii, należało oznaczyć z osobna miejsce, dzień, a nawet prawie godzinę, w któréj się z korpusem złączyć mają. Chodziło bowiem o ubieżenie nieprzyjaciela czujnego, mającego siły znaczne, rozłożone korzystnie w pośród gór do których przystęp był trudny. Aby się zamiar ten mógł powieść, należało szybkie i ściśle wykonanie ruchów zastósować do dokładnéj znajomości krajú, i o ile można z nienacka wpaść na nieprzygotowanych Hiszpanów. W tym celu kazał jenerał Chłopicki przed rozpoczęciem ruchu, puścić pogłoskę, że z powierzonym mu korpusem ma odbyć rekonesans na granicach Kastylii, to jest w kierunku zupełnie przeciwnym właściwéj jego wyprawie, i ażeby wieści téj nadać większy pozór prawdy, korpusowi swemu kazał się udać prowadzącą tamże drogą. Pomimo téj ostrożności wydał on jeszcze rozkaz dowódzcy swojéj przedniéj straży, ażeby gdziekolwiek wojsko spocznie, otoczył zawsze wieś i czuwać polecił nad tem, iżby mieszkańcy zanim wojsko w dalszy wyruszy pochód, niemogli jak się to zwykle działo w Hiszpanii szpiegów do swych ziomków z doniesieniem wysyłać.

Tak coraz daléj postępując kazał Chłopicki wojsku zwrotem ukośnym przybliżać się do gór, przez które przedzierając się miał dopiąć celu swéj wyprawy. Przybywszy w dniu czwartym nagłego swego pochodu do jednego miasteczka, kazał on rozdać wojsku mięso, chcąc ażeby z tego wznoszono iż tam noc przepędzi. Lecz zaledwo gotować zaczęto, rozkazał przedniéj straży udać się w dalszy pochód w tym samym kierunku jak dotąd. W pół godziny późniéj wyruszył

cały korpus, lecz zamiast iść w też tropy za przednią strażą, obrał zupełnie przeciwną drogę ku wysokim górom, po których się tylko ścieszki gdzie niegdzie snuły. Po tych ścieszkach prowadzących wśród przepaści, spinając się przez noc całą aż do 1éj godziny po południu, osiągnął nareszcie ów punkt, który go zbliżał do celu. Ponieważ pomyślność wyprawy zależała głównie od szybkości wykonania, wstrzymał więc jenerał natychmiast całą kolumnę na czele któréj szły kompanie woltyżerów i w miarę posuwania się tychże, wybrawszy z pomiędzy nich ludzi najsilniejszych i najwytrwalszych na trudy, kazał każdemu z nich zająć miejsce na koniu w tyle jeźdzca. Nieczekając aż reszta kolumny nadciągnie, wydał pułkownikowi 14go pułku liniowego potrzebne rozporządzenie w celu ściągnięcia przedniéj straży, która się puściła w drogę przed rozpoczęciem ogólnego ruchu, a sam osobiście stanąwszy na czele swéj jazdy, z któréj każdy żołnierz miał za sobą woltyżera, kłusem poprowadził wojsko najkrótszą drogą do Teruel, gdzie spodziewał się spotkać nieprzyjaciela. Z odległości zaledwo półmilowéj spostrzegł on w mieście ruch niezwykły, naprowadzający go na myśl że nieprzyjaciel dostał już języka o jego pochodzie i pochód swój jeszcze bardziéj z tego powodu przyspieszył. Dotarł on w krótce do przedmieścia o godzinie 5téj wieczorem (30 października 1810) które znalazłszy ogołoconem z obrony, przebiegł galopem miasto i dopiero się zatrzymał po drugiéj jego stronie, gdzie się znajdował na pozycyi park artyleryi, składający się z pół kompanii lekkiéj. W okamgnieniu opanował on działa, wszelkie przybory, żołnierzy i pociągi. Lecz dowiedziawszy się że drugie pół kompanii stoi o pół mili z tamtąd w *Alventosa* zostawił około sta ludzi na straży przy świeżéj swéj zdobyczy, a na czele 200 kirasyerów, 50 ułanów polskich i stu blisko woltyżerów umieszczonyeh w tyle po za

jedźcami, puścił się o północy w nagły pochód do Alwentosy, dokąd z powodu przeszkód gruntu zaledwo z rana 31 października zdążył. Zastawszy za przybyciem swem, Hiszpanów dowodzonych przez Caravajala już w odwrocie, rzucił się na ich tylną straż, rozproszył ją i wziął w niewolą wszystkich, którzy niezdołali zawczasu ratować się ucieczką. Gdy się w końcu dowiedział że reszta ściganéj przez siebie artyleryi znajdowała się pod eskortą 4,000 ludzi dowodzonych przez Caravajala musiał przez wzgląd na niedostateczne swe siły udać się na chwilę do *Teruel*, gdzie się już większa część jego korpusu ekspedycyjnego zgromadziła. Zdobyczą owych utarczek były 4ry działa, dwa moździerze, 6ść jaszczyków z zaprzęgiem, 100 artylerzystów, 50 żołnierzy od pociągów, 100 wozów amunicyjnych, do stu koni i mułów. Prócz tego wpadło w ręce zwycięzców do 1,000 chłopów rekrutowanych przemocą do armii hiszpańskiéj, których jenerał Chłopicki z wielką ich radością do domów rozpuścić kazał. Cała ta pogoń odbyła się tak nagle, że Hiszpanie wypierani z pozycyi jednéj po drugiéj, sądząc że jenerał Chłopicki jeszcze znajduje się w Teruel niepomału zdziwieni byli widząc się napadniętemi przez niego, na drodze z Walencyi do Alventosy, gdzie w zupełną poszli rozsypkę.

Jenerał Chłopicki przesławszy zdobyte na nieprzyjacielu trofea naczelnemu wodzowi, dozwolił wojsku kilka dni wypoczynku w Teruel, nie zaniedbując jednakże rekonansansów mogących go wprowadzić na ślad nieprzyjaciela, którego postanowił dognać i zwyciężyć. Będąc rzeczywiście zawiadomionym że Hiszpanie na nowo połączyli się pod wodzą Villa-Campy i silną zajęli pozycyą w Fuento-Santa, o dwie mil tylko od Teruel; opuścił on to miejsce dla wyparowania ich ztamtąd. W tym samym dniu spotkawszy ich przednie straże w *Villastar* przed Villel, pobił je i stanął pod *Fuento*

Santa. Znalazł on tam Hiszpanów w pozycyi prawie niedostępnéj w któréj się oszańcowali, opierając prawe swe skrzydło o *Quadalviar*, i o nieprzebyte parowy. Nie mogąc w inny sposób atakować pozycyi nieprzyjacielskiéj, jak od środka, stósownie do tego ułożył jenerał plan swój zaczepny.

Pułk 121 liniowy dowodzony przez pułkownika Milleta i kilka kompanij grenadyerów i woltyżerów 1go pułku legii nadwiślańskiéj pod rozkazami szefa batalionu Fondzielskiego, odebrały rozkaz natarcia na środek nieprzyjaciela. Popierał go w drugim szeregu pułkownik Klicki, pod którego dowództwem znajdował się pułkownik Kąsienowski z 2gim pułkiem legii nadwiślańskiéj; reszta wojska rozłożoną była w tyle, tworząc rezerwę mogącą być według potrzeby w każdéj chwili użytą. Zaledwo pułkownik Millet na czele 121 pułku na Hiszpanów uderzył, tak silnym przez nich powitany był ogniem, iż koń pod nim został zabity i przez chwilę zanim się z ziemi pułkownik podniósł, kolumna zaczęła się wahać i mieszać. Na ten widok jenerał Chłopicki stojąc przed kolumnami przeznaczonemi do popierania ataku, przypada w całym biegu swego konia i zsiadając zeń, napowrót pułk 121 w ogień prowadzi. Lecz jak tylko do pozycyi nieprzyjacielskiéj o jakie 100 kroków podstąpił, Hiszpanie na nowo rozpoczęli morderczy ogień. Dzielny pułkownik Millet maszerując obok jenerała jeden z pierwszych ugodzony został kulą, lecz pomimo rany swéj nieopuścił placu bitwy. Kilku oficerów z 121 pułku i z 1go pułku legii nadwiślańskiéj poległo obok niego i wielu żołnierzy zostało zabitych lub rannych. Opór Hiszpanów był niemniéj rozpaczliwy jak zaszczytny; ogień ich nie ustawał ani na chwilę. Potrzeba było całéj energii jenerała i oficerów ażeby natchnąć żołnierzy owym zapałem, który rozstrzyga zwycięztwo. Był jednak moment, w którym grenadyery legii nadwiślań-

skiéj wahać się zaczęli — wtedy to dowodzący kompanią młody porucznik Żarski rzuca się naprzód i ożywia swym przykładem ducha swoich grenadyerów, ale kula ugadza go i obala na ziemię; widok ten obudza żądzę zemsty w żołnierzach, wielbiących swego dzielnego i ze słodyczy w obejściu znanego oficera. Z nowym zapałem wpadają oni na nieprzyjaciela, przełamują jego szeregi i wypierają go z pozycyi na prawém skrzydle, w chwili kiedy pułkownik Millet z pułkiem swym dokazując cudów męztwa, tegoż samego dokonywa na lewém. Kolumny bojowe dowodzone przez jenerała ciągnąc swój pochód przeciwko środkowi pozycyi nieprzyjacielskiéj wdzierają się równocześnie, wspierane rezerwami, pod strasznym ogniem na wyżyny i zajmują wierzchołek góry pod samym szańcem hiszpańskim. Tu rozpoczyna się znowu sroga i zacięta walka na bagnety, walka że tak powiem w zapasy, któréj nieprzyjaciel długo wytrzymać nie mógł. Hiszpanie rozbici na wszystkich punktach, idą w rozprószkę i ucieczką się chcąc ratować w różne się strony rozbiegają, część ich wpada w nieładzie na most w *Libros*, który się pod tłumem uciekających załamuje, a *Guadalviar* pochłania znaczną liczbę tych nieszczęśliwych. Strata Hiszpanów w zabitych i rannych była ogromną; prócz tego wielka liczba jeńców i wszystkie prawie zasoby i pakunki dostały się w ręce zwycięzców. Lecz zwycięztwo pod Fuento-Santa i ze strony Francuzów okupione było dotkliwemi straty. Nie licząc rannych, 200 żołnierzy i podoficerów i 6 oficerów znalazło tam śmierć chwalebną. Znajdował się pomiędzy nimi młody i waleczny porucznik Żarski, ozdobiony już krzyżem wojskowym, i najpiękniejsze rokujący nadzieje. Był on opłakiwany przez wszystkich swych kolegów, a pamięć jego na zawsze pozostała im drogą.

Skutek téj tak zręcznie przez jenerała Chłopickiego wykonanéj wyprawy, największą stał się pomocą dla

armii marszałka Suchet. Połączone korpusy Villa-Campy i Caravajala stanowczo wyparte zostały z korzystnéj, zajmowanéj przez nich pozycyi w górach pod *Teruel*, z kąd wycieczkami swemi całą niepokoiły Aragonią. Niestrudzoną pogonią spędzani co chwila z pozycyi, stracili Hiszpanie część swéj artyleryi w Alventosie, a ostatecznie korpus Villa-Campy całkiem rozbity pod *Fuento-Santa* nad Guadalviarem, długo działać nie mógł zaczepnie. Wspomnione tu korzyści ułatwiły naczelnemu wodzowi dalsze oblężenie Tortosy.

Po krótkiéj téj i pełnéj chwały wyprawie, Chłopicki wróciwszy do obozu rozłożonego pod owém miastem, obsypany został wraz z wojskiem swém pochwałami przez marszałka Suchet i powitany przez wojsko obozujące z tym zapałem, jakim tylko prawdziwa zasługa walecznych natchnąć może.

W obozie pod Tortosą objął znów Chłopicki dowództwo swéj brygady i nie przestawał ważnych sprawie oddawać usług. Widziano go wszędzie dzielącego trudy i niebezpieczeństwa oblężenia z żołnierzami którzy go wielbili. Pewnego razu kula działowa otarłszy się o rzęd karabinów opartych na szańcu ziemnym, oderwanemi kawałkami luf i bagnetów raziła śmiertelnie kilku żołnierzy, a pomiędzy nimi jednemu woltyżerowi z 1go pułku legii nadwiślańskiéj strzaskała obydwie nogi. Chłopicki zbliżył się doń z słowami pociechy, lecz woltyżer pochwyciwszy go za rękę i całując ją: „jenerale! rzekł, mniejsza o to że ja ginę, kiedy ty żyjesz! niechaj Bóg czuwa nad tobą!“ i w téj chwili skonał. — Innym razem bomba padła pomiędzy żołnierzy zajętych robotami oblężniczemi, kiedy właśnie Chłopicki wpośród nich się znajdował. Widząc że zupełnie na to nie zważa i wydaje daléj spokojnie rozkazy wyższemu oficerowi służbowemu, nikt z pracujących nie przerwał sobie roboty i najmniejszego nie uczynił ruchu. Zimna krew

Chłopickiego zdołała utrzymać wojsko w granicach obowiązku. Jedną z ważnych usług jakie jenerał ten oddał oblężeniu skracając okres jego trwania, był rekonesans wykonany wieczorem dnia tego w którym armia oblężnicza przeszła Ebro, chcąc po kilkomiesięcznem obsaczeniu przystąpić do formalnego oblężenia twierdzy. W dniu tym jenerał dotarłszy do pozycyi, którą miała zająć jego brygada, wysłał równo ze zmrokiem kilka oddziałów na rekonesans twierdzy z rozkazem podsunięcia się aż pod *ostrokoły*, i wyraz ten kilkakrotnie powtórzył. Żołnierze, którym to poleconém zostało, używani już przy kilku oblężeniach, umieli się dokładnie z tego rodzaju zadania wywiązać, starając się na wyścigi wyprzedzić jeden drugiego. Oddziały te wróciwszy doniosły, że bez żadnéj przeszkody udało im się dotrzyć aż do wałów, a nawet je pominąć i dosłyszéć wśród krytéj drogi mówiących po hiszpańsku. Po odebraniu raportu od oficerów dowodzących temi oddziałami, jenerał udał się natychmiast na miejsce, podszedł pod wały, pominął straże, rozstawione przez oficerów wzwyż wzmiankowanych i zbliżył się do drogi krytéj. Tu doszły uszu jego głosy żołnierzy hiszpańskich: „Ktoś się zbliża“ rzekł jeden, „mylisz się, odpowiedział drugi, nie ma tu nikogo, *es nade*“; w tém kilka strzałów padło od strony drogi krytéj, i znów głębokie nastało milczenie. Jenerał objaśniwszy się dokładnie o stanie rzeczy, zawrócił z towarzyszącym mu oficerem idąc pod stopami wałów nad brzegiem Ebro z tém przekonaniem, że nic nie przeszkadza natychmiastowemu otwarciu robót. Bez straty czasu udał on się do jenerała inżynieryi Rognat dla zdania mu sprawy z swego odkrycia, i poprowadził go ku lepszemu zbadaniu rzeczy tą samą drogą, którą dopiero co przebył. Po powrocie ich, przedsięwzięto zaraz stósowne środki, i jenerał Chłopicki rozstawiwszy sam czaty na punktach wymagających téj

ostrożności, wydał rozkazy aby Hiszpanom niedozwalano opuścić krytéj drogi. Téj saméj nocy kazał jenerał Rognat przystąpić do otwarcia paralleli. Zawdzięczano zatém jenerałowi Chłopickiemu, że pierwszéj nocy można było otworzyć parallelę o 80 sążni odległą od bastyonu, parallelę, która ciągnąc się od Ebro aż do twierdzy Orleańskiéj, obejmowała w swym rozwoju cały obwód twierdzy od strony rzeki. Niesłusznie więc w swojéj historyi tego oblężenia jenerał Rognat mówi: „Ciemność nocy nieoświetlonéj blaskiem księżyca i gwałtowny wicher ułatwiły nam z początku możność przybliżenia się do twierdzy". *Suum cuique.*

Ażeby być bliżéj wojska, jenerał zajmował w pośród obozu mizerny barak, od kul działowych jak przetak podziurawiony. Co dzień bywał on w przekopach nawet bez służbowego obowiązku, a żołnierze tak przywykli do widywania go w każdéj chwili dnia, że się dziwili jeżeli go tam kiedy przypadkiem nie było; najczęściéj widywano go przypatrującego się robotom wraz z pułkownikiem od inżynieryi Henry, z którym go szczególna przyjaźń łączyła. Wśród wycieczek przedsiebranych przez Hiszpanów w nocy z dnia 23 na 24ty (grudnia 1810), z 25go na 26ty, z 27go na 28my był on zawsze w pogotowiu na swém stanowisku, prowadził wojsko swoje i wyznaczał mu miejsce z ową zimną krwią, która cechując go była przedmiotem podziwu armii. W samym dniu kapitulacyi (2 stycznia 1811 r.), znajdował się Chłopicki w chwili kiedy zajmowano się układami, na bateryi wyłomowéj świeżo wzniesionéj przeciwko bastyonowi kościelnemu. Ogień z obu stron już ustał, kiedy kilku szaleńców zaczęło strzelać do bateryi świeżo ukończonéj i uzbrojonéj na prędce, usypanéj na punkcie najbardziéj zbliżonym do twierdzy, a gdzie wojsko nie zupełnie jeszcze było zasłonioném. Chłopicki stał w pośród artylerzystów pełniących służbę przy działach, kiedy z blan-

ków kilka padło strzałów karabinowych, z których jeden śmiertelnie ranił żołnierza obok niego stojącego. Rozgniewany Chłopicki wstępuje na schód bateryi i grzmiącym głosem odzywa się do Hiszpanów w ich języku: „Podła gawiedzi czy nie wiesz że się podpisują układy? Jeżeli jeden jeszcze strzał padnie, każę was wszystkich bez wyjątku wywieszać“. Skutkiem téj piorunującéj przemowy, żaden już więcéj Hiszpan nie ważył się dać ognia.

Przy innéj sposobności na początku oblężenia był on zmuszony powściągnąć nieprzezorną odwagę kilku oficerów z pułków legii nadwiślańskiéj. Oficerowie ci rozmawiając przechodzili się po za obrębem przekopów w miejscu, na które nieustannie padały kule działowe i bomby. Jenerał spostrzegłszy ich „kto są ci panowie“, zapytał towarzyszącego mu adjutant-majora Rechowicza. Dowiedziawszy się że to są oficerowie z pułku legii nadwiślańskiéj, a pomiędzy innymi Dobrzycki i Brandt, wymknęły mu się słowa „A to mi zuchy!“ lecz natychmiast dodał: „idź WPan powiedzieć tym panom aby wrócili do obozu, nie lubię takich junakieryi.“ Kapitan Rechowicz pospieszył z rozkazem jenerała najkrótszą drogą, która właśnie szła po za obrębem przekopów i tą samą drogą wrócił do jenerała. „Ależ i Wpan rzekł Chłopicki nielepiéj robisz jak ci młodzi szaleńcy, którzy się bez potrzeby narażają“. Wieczorem gdy rezerwy wróciły do obozu, jenerał przemówiwszy krótko słowami jak największéj pochwały do grenadierów i woltyżerów którzy się w dniu tym szczególniéj odznaczyli, w przechodzie powitał uprzejmie w zwyż wspomnionych oficerów, zagadując każdego po nazwisku co bardzo rzadko czynił, i dał im tém niejako dowód zadowolenia swego z postępku, który wprzód zgromić był obowiązanym. Przytaczamy owe szczegóły jakkolwiek podrzędną mające ważność, ażeby przedstawić ducha korpusu ofice-

rów legii nadwiślańskiéj, oraz takt jenerała, który ducha tego tym sposobem utrzymywać umiał. Zresztą rysy podobne wierniéj oddają wewnętrzną stronę wojskowych zalet jenerała Chłopickiego, usprawiedliwiają jego popularność pomiędzy podwładnymi, i tę gotowość do poświęceń, jaką natchnąć umiał wojsko będące pod jego rozkazami.

Po wzięciu Tortosy miał sobie jenerał Chłopicki poleconem odprowadzić ze swoją brygadą jeńców hiszpańskich do Francyi. Najostrzejsze rozkazy przepisywały nieograniczoną surowość przeciwko jeńcom, którzyby czy to przez słabość, czy w chęci uniknienia swego losu starali się pozostawać w tyle kolumny. Prawe i szlachetne serce jenerała, umiało o ile można łagodzić cierpienia tych nieszczęśliwych ludzi i oszczędzać im okropnego losu, a rozkaz rozstrzelania jeńców którzyby się ucieczką ratować chcieli, był w prawdzie ogłoszonym, lecz niebył wykonywanym. Dla większego bezpieczeństwa odkomenderował on dwie kompanie z pułku legii nadwiślańskiéj z oficerem na czele w którym pokładał zaufanie, w celu tworzenia tylnéj straży i zapobiegania nieporządkowi i nadużyciu surowości.

Dopełniwszy tego posłannictwa złączył się Chłopicki napowrót wraz z swoją brygadą z marszałkiem Suchet, w chwili gdy ten się gotował do oblężenia Taragony. Marszałek radby był użyć go przy tem oblężeniu, lecz z żalem widział się zmuszonym pozbawić się jego współdziałania dając mu inne przeznaczenie, do którego wielką przypisywał wagę. Chodziło bowiem o przywrócenie spokojności w Aragonii burzonéj przez powstańców Walencyi Katalonii i Kastylii. Marszałek Suchet tak w tym przedmiocie wyraża się w swoich pamiętnikach: z żalem zostawił on na tym punkcie jenerała Chłopickiego, którego wolałby był użyć przy oblężeniu, lecz jego czynność, wytrwałość i zdolność wielkie obudzały w nim

zaufanie.“ Rzeczywiście przez swoją energią i znaną szybkość w działaniu, potrafił on uśmierzyć w tych prowincyach wszelkie niebezpieczeństwo. Villa-Campa nieśmiał już stawiać czoła, Perenna miał się na baczności, a Gagana cofał się ilekroć Chłopicki miał się przeciwko niemu posuwać. Lecz w krótce miał on do czynienia z Miną najgroźniejszym z wodzów partyzanckich, sławnym dowódzcą licznych oddziałów w Nawarze. Naczelny wódz chcąc ubezpieczyć po za sobą zakłady na lewym brzegu Ebro, szczególniéj polecił jenerałowi Chłopickiemu czuwać nad tem, ażeby Mina nie wtargnął do Cĕncio-Villas i nieszerzył ztamtąd niepokojów w wyższéj Aragonii. Aby mieć na oku i pokonać Minę, miał z sobą jenerał tylko dwa bataliony 14go pułku liniowego, dwa bataliony z pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj, 200 huzarów z 4go pułku i kilka dział artyleryi polowéj. Zadanie jenerała było tem ważniejsze, że gdyby Mina wtargnął do Nawary i tym sposobem otworzył sobie komunikacyą górną z Katalonią, mógłby był pociągnąć za sobą część Aragonii i rozszerzyć powstanie w taki sposób, iżby wojsku oblężniczemu odciął komunikacyą z Francyą. Jenerał Chłopicki pokonawszy bandy powstańców zostające pod dowództwem Perenny a Gagana właśnie zajęty był ściganiem ich, kiedy Mina zawsze przedsiębiorczy i czujny chciał korzystając z téj okoliczności zbliżyć się do *Cencio-Villas*. Lecz jak tylko jenerał który go pomimo jego wiedzy kazał pilnie mieć na oku, dowiedział się o tym ruchu, zaniechał dalszéj pogoni, polecając ją kilku słabszym oddziałom, a sam z głównemi siłami puścił się wprost z taką szybkością za Miną iż go w krótce dogonił, i zupełnie zniósł jego bandę, która rozproszywszy się, znalazła ocalenie w górach Nawary. Odtąd Mina już niepokazał się więcéj w Aragonii.

Wyprawa na Walencyą przedsięwzięta po zdobyciu Tortosy, i wypadki 1811 roku w Katalonii, które spowodowały połączenie wójsk armii aragońskiéj, wezwały w to miejsce również jenerała Chłopickiego. Udał on się tam na czele 44go pułku liniowego i 3go pułku legii nadwiślańskiéj, lecz oblężenie *Murviedro-Sagunde* mało nastręczył sposobności odznaczenia się jego brygadzie, i dopiero w bitwie stoczonéj 25go października 1811 r. pod murami Sagunde znalazł jenerał sposobność zebrania nowych laurów. Jenerał hiszpański Black posuwał się z siłą wynoszącą 30 do 35 tysięcy ludzi, złożoną po większéj części ze starych żołnierzy, wraz z korpusem, który tak mężnie walczył pod *Albuera*, na odsiecz *Murviedro Sagunde* i uderzył pod *Pouzol* w dniu 25tym października na armię francuzką. Dywizyami hiszpańskiemi dowodzili znakomici oficerowie, a jazda i artylerya należały do wyborowych. Wojska hiszpańskie mężnie wszczęły walkę i w początku odniosły cząstkową wygraną. Jenerał Black dumny tą dobrą wróżbą, zdającą mu się zapewniać zwycięstwo, nakazał ruch nadający szerszy rozmiar zajmowanéj przez niego pozycyi w celu odcięcia Francuzom odwrotu. Marszałek Suchet obrócił to natychmiast na swoją korzyść, uderzając na słaby środek Hiszpanów. Rozbił on go bez trudności, a skrzydła armii hiszpańskiéj zmięszane i zaskoczone, zaledwo unikły losu, jaki chciały przygotować armii francuzkiéj. Wtedy to jenerał Chłopicki znajdujący się na krańcu prawego skrzydła rozpoczął działanie. Z początku bitwy miał on tylko na oku korpus jenerała Mahy i dywizye Villa-Campy zajmujące stanowisko na przeciwko jego pozycyi, lecz gdy je ujrzał gotujące się do uderzenia nań z frontu, sformował całą masę swojéj piechoty w kolumny ukrywając swą jazdę oczekującą na dany znak. W chwili gdy piechota hiszpańska zstępując z wyżyny pod *Germaneles*, rozwijać się zaczęła w ró-

wninie, dał on znak jeździe rzucenia się na przednią straż hiszpańską. Dragony Napoleona (pułk włoski) rozbiwszy przednią straż rzuciły się na linią piechoty nieprzyjacielskiéj, którą również złamały i do odwrotu zmusiły. Jenerał Chłopicki chcąc z tego nieładu korzystać, natarł na czele kolumn swéj piechoty tak mężnie na nieprzyjaciela, iż tenże niemając już czasu sformować swego wojska, w zupełną poszedł rozsypkę. Jenerał puścił się bez wytchnienia w pogoń za jenerałem Mahy, zajmującym z swém wojskiem które zdołał zgromadzić, w tyle pozycyą i zmusił go opuścić plac bitwy i odwrót swój przyspieszyć. Pogoń ta była tak nagłą, że jazda na czas jeszcze zdążyła aby kazać broń złożyć kilku batalionom, zanim Hiszpanie przeprawili się przez rzeczkę *Caraixel*. Szybki ten atak zręcznie i z energią wykonany, przyczynił się znacznie do zupełnego wygrania téj bitwy, w skutku któréj Hiszpanie stracili do 1,000 ludzi w zabitych, 4,680 niewolnika; prócz tego dostało się w ręce zwycięzców 2ch jenerałów, 40stu oficerów wyższych, mnóstwo chorągwi, 420 karabinów, w ogóle prawie angielskich, i 12 dział z uprzężami i jaszczykami. Nadto nazajutrz po bitwie pod *Pouzol* poddała się twierdza *Sagunde*.

Od téj chwili niemiał już jenerał innéj sposobności odznaczenia się, prócz w czasie przejścia Guadalviaru, przeciw Hiszpanom dowodzonym przez jenerała *Zajas*; jako też w kilka dni późniéj, kiedy chodziło o odcięcie odwrotu armii Blacka ku rzece Xucar, i zmuszenie téj armii szybkim ruchem do zamknięcia się w mieście Walencyi. Jenerał Black widział się znaglonym schronić się tamże w celu obrony z regularną swoją armią, i znalazł ogromną ludność tego miasta gotową do popierania swoich usiłowań.

Przy oblężeniu Walencyi miał jenerał Chłopicki udział w kilku znaczniejszych atakach, lecz najważniéj

przyczynił się do zdobycia przedmieścia Sgo Wincentego, co los téj twierdzy rozstrzygło. W dniu tym zabrali Francuzi 81 dział, a w kilka dni późniéj (4go lutego 1812) kapitulowała Walencya.

W ciągu tego oblężenia był jenerał Chłopicki kilkakrotnie odkomenderowany z korpusem ruchomym dla powściągnienia zamachów hiszpańskich korpusów partyzanckich, które zawsze zwyciężał i zawsze wypierał z pozycyi mogącéj stać na zawadzie działaniom oblężniczym. Przy téj sposobności nadmienić nam wypada, że do armii oblężniczéj należał także 16ty pułk liniowy; w którym służył Bugeaud, natenczas szef batalionu. Był on często używany pod wodzą jenerała Chłopickiego i pułkownika Klickiego do licznych wycieczek, mających na celu zabezpieczenie działań oblężniczych. Wtedy to Chłopicki mając sposobność przekonania się o nie zwykłych talentach wojskowych szefa batalionu Bugeaud, powziął dlań największy szacunek i poruczał mu często dowództwo swojéj przedniéj straży. Oddawał on mu w raportach składanych marszałkowi Suchet największe pochwały, i znacznie późniéj, wprzód jednak nim się przyszły zwycięzca pod Isly dał poznać jako mistrz sztuki wojennéj, mówił Chłopicki że pomiędzy wszystkimi oficerami francuzkimi, których miał pod swemi rozkazami i których talenta wojskowe wysoko cenił, Bugeaud najwięcéj zwracał jego uwagę na siebie i najświetniejszą przy danéj sposobności zdawał się rokować przyszłość. Późniéj kiedy się marszałek Bugeaud odznaczał w pamiętnych wyprawach w Algieryi, lubił jenerał odszukiwać ruchy jego działań na mapie, i cieszył się serdecznie z jego powodzeń.

Na kilka dni przed poddaniem się Walencyi, otrzymał marszałek Suchet od Cesarza rozkaz wyprawienia wójsk polskich zostających pod jego dowództwem; miały one bowiem wziąść udział w wojnie przeciwko Rosyi

w roku 1812. Rozkaz ten niedotyczył jednakże Chłopickiego, którego Cesarz zgodnie z życzeniami marszałka Suchet chciał pozostawić w Hiszpanii, gdzie prawie bez przerwy tak znakomite oddawał usługi. Lecz Chłopicki pomimo najświetniejszych obietnic, pomimo przyrzeczonego sobie jeżeli pozostanie w Hiszpanii stopnia jenerała dywizyi, niechciał jednakże, zwłaszcza w téj potrzebie opuszczać dzielnych swoich towarzyszów broni, z którymi wspólnie krew na polu sławy przelewał i narażając się nawet na niełaskę Cesarza, prosił aby mu dozwolono pozostać na czele legii nadwiślańskiéj. Nie bez trudności otrzymał on to pozwolenie, a krok ten ściągnął mu jawne nieukontentowanie Napoleona I., którego skutki jak to zobaczymy poniżéj, odbiły się szkodliwie w dalszym jego zawodzie wojskowym.

Chłopicki przybywszy do Hiszpanii jako pułkownik, po czterech latach wojen, w ciągu których każdy dzień prawie oznaczony był jakąś bitwą, osiągnął stopień jenerała brygady. W nagrodę ważnych zasług był on dwukrotnie zamianowany Baronem cesarstwa, raz dekretem cesarskim z 7 sierpnia 1810 r., powtórnie takimże dekretem z 30 czerwca 1811 r. [4]). Z tych dwóch patentów, w przeciągu jednego roku na tę samą godność mu udzielonych, okazuje się, że z powodu nadzwyczajnych zasług jenerała Chłopickiego, Cesarz po dwakroć czuł się obowiązanym, wynagrodzić je w sposób szczególniéj zaszczytny; i że jeżeli powtórnie tenże sam zaszczyt mu udzielił, który już pierwéj przed rokiem mu był nadał — stało się to widocznie przez pomyłkę, w skutku któréj rzeczywiście, w tym ostatnim razie Chłopicki nie został wynagrodzonym stósownie do intencyi Cesarza. Mógłby on jednakże był na mocy téj podwójnéj nomi-

---

[4]) Mamy w ręku obydwa listy księcia arcykanclerza Cambacérès pod wyżéj wzmiankowanemi datami, uwiadamiające jenerała o dwukrotném zamianowaniu go na tęż samą godność Barona.

nacyi upomnieć się o tytuł hrabiego Cesarstwa, czego jednak pomimo prawa swego do tego zaszczytu uczynić zaniechał. Uposażenie w Westfalii przyłączone było do jego tytułu baronostwa. Ozdobiony krzyżem kawalerskim legii honorowéj i włoskim orderem korony żelaznéj, posunięty został po wzięciu Saragosy na stopień urzędnika legii honorowéj. Król saski, ówczesny książe warszawski, zamianował Chłopickiego w skutku raportu naczelnego wodza armii polskiéj księcia Józefa Poniatowskiego, w nagrodę za pełne sławy jego czyny wojenne w Hiszpanii, komandorem wojskowego krzyża polskiego, który w owéj epoce dwóch tylko najznakomitszych jenerałów armii polskiéj posiadało [5]).

Marszałek Suchet tak w pamiętnikach swoich wyjaśnia powód oddalenia się z Hiszpanii legii nadwiślańskiéj i jenerała Chłopickiego: [6])

. . . . „Już rozkaz z Paryża pozbawił go (marszałka Suchet) szacownéj cząstki dawnego 3go korpusu, legii nadwiślańskiéj. Cesarz przygotowywał pod ten czas wyprawę swą do Rosyi. Powołał on na tę wojnę wszystkich Polaków, służących w armii francuzkiéj. 1szy, 2gi i 3ci pułk legii nadwiślańskiéj, które wraz z oddziałem 4go pułku [7]) i szwadronem ułanów tworzyły dywizyą, złożoną z 6000 starych żołnierzy, opuściły armią w styczniu 1812 r. eskortując kolumnę jeńców do Jaca i Pau, dokąd przybyli w lutym pod dowództwem pułkownika Kąsienowskiego. Marszałek żałował równie dzielnego tego wojska, jak dowodzących nim oficerów i znakomitych naczelników. Polecił on pułkownikowi Klickiemu

---

[5]) Jenerałowie Dąbrowski i Zajączek, późniejszy książe Namiestnik Królestwa Polskiego.

[6]) Tom II, rozdział XVI, str. 244. Drugie wydanie. Paryż 1834.

[7]) 4ty pułk legii nadwiślańskiéj utworzony był późniéj od 3ch pierwszych ze szczątków legii naddunajskiéj, sformowanéj w roku 1809.

(dowódzcy 7go pułku ułanów, a późniejszemu jenerałowi brygady i przydzielonemu w stopniu pod-szefa do sztabu głównego księcia Eugeniusza, wicekróla włoskiego) dostawić do Paryża 22 chorągwi i klucze Walencyi. Oddalenie się jenerała Chłopickiego *pozbawiło armią zasłużonego oficera, stworzonego że tak powiemy, do najwyższych stopni*" [8]).

Takiém było o jenerale Chłopickim zdanie marszałka Suchet, który bezwątpienia właściwym był w tym przedmiocie sędzią. Również i zaszczytne świadectwo, jakie w Pamiętnikach swych oddał marszałek Suchet pułkom legii nadwiślańskiéj, słusznem tylko było uznaniem ich zasług. Stwierdzają to najlepiéj tysiące walecznych, od początku wojen na półwyspie t. j. zacząwszy od 13go czerwca 1808 r. aż do zdobycia Walencyi w d. 4 lutego 1812, w ich szeregach poległych. Wszyscy prawie oficerowie, którzy brali udział w téj wyprawie, sławę swą krwią okupili, a połowa z nich śmierć tam znalazła chwalebną. W pismie wyłącznie poświęconém opisowi wypadków, dotyczących jenerała Chłopickiego, niepodobna nam było wspominać o wszystkich świetnych czynach owych pułków, a tém mniéj przytaczać nazwiska i czyny tych, którzy się w ciągu tych walk odznaczyli. Dosyć będzie powiedzieć, że naczelnicy korpusów, którzy przewodniczyli z Hiszpanii pułkom legii nadwiślańskiéj, pułkownik Kąsienowski, Fondzielski i Estko (siostrzeniec Kościuszki) polegli na czele swych pułków w następnych wojnach 1812 i 1813 roku. Inni, którzy

[8]) Marszałek Suchet nadmienia zawsze o jenerale Chłopickim w sposób najzaszczytniejszy w Pamiętnikach swych o wojnach w Hiszpanii. Nie zapomniał on o nim w ostatnich nawet chwilach swego życia i umierając zlecił swéj żonie, aby mu przesłała jego pożegnanie wraz z egzemplarzem jego Pamiętników, jak tylko na świat wyjdą. Księżna marszałkowa nieomieszkała dopełnić tego polecenia zmarłego swego męża, dołączając ze swéj strony uprzejmy list do jen. Chłopickiego.

po nich objęli dowództwo tych pułków, jako to: waleczny pułkownik Downarowicz, dzielny pułkownik Malczewski [9]) były adjutant marszałka Berthier księcia de

---

[9]) Nie możemy się tu powstrzymać od przytoczenia niektórych szczegółów dotyczących pułkownika Malczewskiego, poległego na polu sławy pod Lipskiem. Malczewski ukończywszy jak najświetniéj nauki uniwersyteckie, miał właśnie być zamianowany profesorem matematyki, gdy ówczesne wypadki inne talentom jego wskazały przeznaczenie. Zaciągnął on się w r. 1806 do pułku piechoty polskiéj. Równie światły jak dzielny i skromny, pałając nadto chęcią odznaczenia się, przebił on się w krótce wśród tłumu i dał się zaszczytnie poznać swoim naczelnikom. Niechcąc wdawać się w wyliczanie pierwszych jego kroków w zawodzie wojskowym, powiemy tylko, że zbiegiem wyjątkowych a zaszczytnych dlań okoliczności, zamianowany został z początkiem 1809 roku adjutantem marszałka Berthier księcia Neufchatel. Pod jego okiem miał sposobność Malczewski szczególniéj się odznaczyć w bitwach pod Ratysboną i Wagram. Książę Neufchatel umiejąc cenić jego zasługi, używał go pokilkakrotnie w poleceniach poufnych, z których najważniejszém było do marszałka Masseny w Portugalii, wzbudzającego w Cesarzu niejakie obawy, względem których chciał być dokładnie objaśnionym. Wywiązał on się z téj delikatnéj missyi nie tylko z zadowoleniem Cesarza lecz zaskarbił sobie oraz szacunek marszałka Masseny, który w raporcie swym gorąco go polecił łasce Cesarza. Powróciwszy z Portugalii zamianowany został pułkownikiem i dowódzcą 4go pułku legii nadwiślańskiéj. W tym to stopniu miał on udział w bitwie pod Lipskiem. gdzie się okrył chwałą na czele swego pułku. Przy końcu walki Cesarz będąc naocznym świadkiem waleczności legii nadwiślańskiéj, ukazał się przed jéj frontem i zwracając się do marszałka Berthier. rzekł: „Chcę jednego z pułkowników legii awansować na jenerała“. Berthier, który zawsze lubił dawnego swego adjutanta, wymienił nazwisko Malczewskiego. Wtedy odezwał się Malczewski: „N. Panie, pułkownik Estko starszy jest odemnie w służbie!“ „Dobrze więc“ odrzekł Cesarz, „mianuję Estkę jenerałem“. Książę Neufchatel zwracając się wtedy do Malczewskiego rzekł doń cichym głosem: „Upór WPana długo mu każe czekać, nim się druga podobna sposobność nastręczy“. Lecz niestety nie czekał długo — trzeciego dnia on i Estko dokazując cudów waleczności w téj walce na śmierć lub życie, polegli obydwa na owéj krwawéj arenie.

Neufchatel, również tam śmierć znaleźli zaszczytną. I wszyscy prawie mający udział w tych wiekopomnych bitwach, walcząc z wyższą jakąś nadzieją pod sztandarami francuzkiemi, wywalczyli sobie tylko pośmiertną sławę.

Jenerał Chłopicki opuszczając Hiszpanią uniósł ze sobą szacunek swoich przełożonych, towarzyszów i podwładnych, a oficerowie i żołnierze francuzcy którzy pod nim pełnili służbę, równie go cenili jak właśni ziomkowie. W téj liczbie miło nam zamieścić marszałka Bugeaud, który jako podpułkownik zostawał pod rozkazami jen. Chłopickiego i pułkownika Klickiego. Gdy ostatni napisał doń z powodu zwycięztwa jego pod Isly list z powinszowaniem, otrzymał od jen. Bugeaud odpowiedź nacechowaną zapałem wdzięcznéj pamięci, jaką przechował dla jenerałów Chłopickiego i Klickiego [10]).

Opis ten, obejmujący czyny wojenne jenerała Chłopickiego w Hiszpanii, zakończymy portretem zdjętym jakoby z natury przez pewnego oficera, pełniącego podówczas służbę pod jego rozkazami:

Postać jego rosła, twarz starożytnego zakroju, na któréj malowała się szlachetność obok surowości, wzrok jego orli, powierzchowność łącząca w dziwnéj mieszaninie niby zimną obojętność z pełném otwartości wylaniem, grzeczność z niejakim odcieniem szorstkości, jego sposób wyrażania się zwięzły i energiczny, jego umysł zwykle w najkrytyczniejszych momentach spokojny, a przytém owa żywość jego w chwili stanowczéj: oto są znamiona, które w nim cechowały wyższego człowieka. Przymioty te przybierały nowy blask w chwilach dzia-

---

[10]) Mieliśmy sposobność czytania tego listu i żałujemy że tu osnowy jego zamieścić nie możemy. Po śmierci bowiem jen. Klickiego przed laty kilku w Rzymie, list ów wraz z innemi ważnemi papierami i pieniędzmi przez niewiadomego zbrodniarza został skradziony.

łania; w ogniu, w pośród największych niebezpieczeństw, w wirze nieodłącznego od walki nieładu, dostrzegłeś dopiero całéj jego zimnéj krwi, całéj siły wojennego natchnienia, całéj nieustraszoności męztwa. Zdawało się, że w miarę rosnącego niebezpieczeństwa potężnieją władze jego duszy; wtedy to znajdował on się w swym żywiole, wtedy prawdziwym był bohaterem. Szlachetne jego oblicze przybierając wyraz zapału i męzkiéj piękności, stawało się podziwem tych co pod nim walczyli, wpajało w nich nieograniczone zaufanie i żądzę poświęceń; pod jego wodzą byli oni pewni, że złamią wszelkie przeszkody, pokonają wszelkie niebezpieczeństwa. Zważywszy nareszcie że Chłopicki prawdziwym był wyobrazicielem honoru, i pomimo pozornéj opryskliwości, samą delikatnością, łatwo pojąć ów wpływ jaki ciągle wywierał na całe wojsko, podległe jego rozkazom.

Imie jego zespolone ze wszystkiemi rycerskiemi dziełami, jakie w czasie wojen w Hiszpanii uświetniły marszałka Suchet, jest że tak powiemy zaszczytném godłem owych laurów, które wojsko będące pod jego dowództwem na obcéj niwie uszczknęło, a które w kartach dziejów są jakby odbłyskiem dawnéj sławy.

STATYSTYKA
i kongres statystyczny.

Schlözer powiedział, że historya jest bieżącą statystyką, a statystyka stojącą historyą. I rzeczywiście statystyka przedstawiając obraz wszystkich i najrozmaitszych sił i bogactw pewnego kraju w pewnéj oznaczonéj chwili jest częścią czyli raczéj chwilą historyi tego kraju. Niepodobna pojąć jakiegobądź rządzącego, któryby niebył w konieczności zbierania pewnych dat statystycznych, choćby te służyć mu tylko miały do obliczenia siły materyalnéj jaką rozporządzić, i bogactw na jakie rachować może. Statystyka więc można powiedzieć, zrodziła się w chwili, gdy ludzie rządzonymi być zaczęli.

Poszukiwania i znajomości statystyczne musiały wchodzić w rachubę i naukę rządzących od zawiązku stanu towarzyskiego. Przez wyraz zawiązek stanu towarzyskiego, nieprzyznajemy się wcale do teoryi J. J. Russa (Rousseau), która w Kontrakcie towarzyskim upatruje początek zawiązania stosunków między ludźmi, a stan i życie towarzyskie, uważa jako wypływajace z porozumienia się dobrowolnego tychże ludzi, pierwéj w stanie dzikości i odosobnienia żyjących. Nauka zwracając się

od czasów Russa do prawdziwych tradycyj, okazała fałsz teoryi na czystém rozumowaniu opartéj. My też zawiązek towarzystwa datujemy od czasu, w którym przy zwiększaniu się liczby ludzi i rodzin, stosunki czysto patryarchalne niemogły już odpowiedzieć potrzebom ludzkości i tym lub owym sposobem powstały rządy.

Powtarzamy więc, że statystyczne poszukiwania pojawiły się jednocześnie z pojawieniem się rządu, ale wiele czasu upłynęło niżeli statystyka stała się nauką, mającą swój zakres działania i pewne szczególne zadanie. Nim przejdziemy do kongressu statystycznego i do celu do którego zdąża, słów kilka o saméj nauce.

Definicyj Statystyki znachodzi się bardzo wiele po różnych uczonych dziełach. Niemieccy autorowie, jak i wielu innym naukom tak i téj, nieoznaczali ścisłych granic, owszem chcieli pod statystykę podciągnąć wszystko co tylko było w chwili danéj objawem życia towarzyskiego. Więc nietylko ludność, bogactwa, dochody i rozchody, instytucye, powierzchnią i granice i położenie kraju, ale i formy rządu i stosunki rządzonych do rządzących, ale i stosunki międzynarodowe, słowem statystyka wdzierała się podług téj szkoły, na pole wszystkich prawie innych nauk, i zawierała w sobie geografią, ekonomią polityczną, politykę etc. etc. Na tak obszerną skalę zakreślona nauka musiała się stać luźną, osłabiała się w wielostronnych usiłowaniach i niemogła wydać ścisłych rezultatów. Francuzcy autorowie więcéj usiłowali naprowadzić statystykę na właściwą jéj drogę i wyznaczyć jéj bliżéj oznaczony cel. Niechcemy czytelnika nużyć cytacyami tych rozmaitych definicyj, i wykazywać ich niedokładność, bierzemy pierwszą jaka się ukazała i ostatnią, co najpóźniéj ułożona zdaje nam się ze wszech miar najlepsza.

Achenwall, professor w Götyndze w połowie przeszłego stulecia nazwał naukę którą wykładał *scientia stati*

stica; z tego w krótce Niemcy utworzyli *Statistik* i z małemi odmianami przeszła ta nazwa do wszystkich innych języków. Definicya Achenwalla statystyki jest: „Znajomość gruntowna stanu *(status)* względnego i porównawczego każdego państwa. Schlözera także zacytować się godzi: „Statystyka ma za cel dać poznać wszystkie przymioty, z których się składa potęga państwa“.

P. Moreau de Jonnes [1]) (Moro de Żones) tak pisze: „Statystyka jest nauką pojawów towarzyskich (*faits sociaux*) wyrażonych liczbami.“ Definicya ta dla tego właśnie, że jest ogólna a zarazem określająca, zda nam się najlepsza. Wszystko co jest w towarzystwie ludzkiém należy do statystyki o ile się da ująć w cyfry. Jest tu więc odsłonięte całe ogromne pole statystyki a jednak dokładnie określone jéj granice.

Statystyka i cyfra nierozłączają się nigdy, ztąd na pozór sądzić by można, że nauka ta dająca w liczbach wyniki swych poszukiwań, musi być niejako nauką ścisłą i pewną, tak jednak dotąd nie było. W skomplikowanym stanie naszego towarzystwa, tak są rozliczne przyczyny sprowadzające pewne następstwa, że analiza tych przyczyn jest nader trudną, wymaga wielkiéj przenikliwości i pracy, a opuszczenie jednego szczegółu lub zmienienie zasady w wyrachowaniach do najsprzeczniéjszych doprowadza wniosków.

O trudnościach zaś w zbieraniu dat statystycznych tak pisze J. B. Say (Se). „Niedokładność sprawozdań do „których się udawać potrzeba, niespokojna podejrzli„wość niektórych rządów, a nawet prywatnych osób, „zła wola, obojętność, stawiają częstokroć nieprzełamane „tamy, usiłowaniom do wykrycia dokładnych szczegó„łów“..... Błędy pochodziły szczególniéj z zastósowania metody wnioskowania, idąc od znanych i szczegółowych do nieznanych i ogólnych. Chaptal (Szaptal) według

[1]) **Elements de statistique. Paris 1847.**

ukończonego kadastru siódméj części powierzchni Francyi, podał, z części wnioskując o całości, ilości ziemi ornéj, winnic, łąk i lasów całego królestwa, które najfałszywszemi się pokazały.

Sully, sławny i rozumny minister Henryka IVgo, niewiadomo na jakich opierając się datach, bardzo ciekawe podał w r. 1595 wyrachowanie wydatków wiernych poddanych króla jegomości, wyrachowanie to niemające żadnéj wartości naukowéj podajemy jako zajmującą aberracyą jednego z najznakomitszych ludzi stanu. Koszta processów, podarki sędziom, podróże i straty czasu, wynagradzenie adwokatów, prokuratorów i policyantów 40 milionów; straty dni kupców, rolników, wyrobników i wydatki tych w oberżach, 12 milionów; kolendy, ciasta trzech króli, festyny bankiety, pijatyki i rozpusty, miłostki, łowy, sprzęty, szaty, zaprzęgi, budynki, ogrody, komedye, balety, gry i inne hulanki, zbytki i niepotrzebne rozrywki najmniéj 40 milionów...... summa 254 milionów". Niezatrzymamy się dłużéj nad tym szczegółem, to jest nad błędami opartemi na cyfrach, bo każdy pojmie jak łatwo się do nich dochodzi, i dla objaśnienia tylko jeden przytoczymy przykład. Ważném zadaniem statystyki jest dokładna znajomość kwestyj tyczących się ludności, a między temi, obrachowanie długości życia w przecięciu wziętego, jeżeli w rachunek ten wchodzi wiek osób w rozmaitych warunkach żyjących, i „odejmie się, mówi p. Quetelet, dziesięć lat życia rodziców, a doda się do lat życia dzieci, liczba arytmetyczna w przecięciu będzie ta sama, a jednak wyrażać ona będzie rzeczy zupełnie różne".

Liczne błędy i fałsze statystycznie dowodzone, wywołały nauce téj wielu nieprzyjaciół, przysłowie nawet żartobliwe mówiło, „to jest fałszywe jak tabella statystyczna". Na czele nieprzyjaciół stanęło kilku zbyt zarozumiałych ekonomistów, którzy gardząc cyframi, całą nau-

kę ekonomii politycznéj, na oderwaném chcieli opierać rozumowaniu. Ekonomiści uważali statystyków za robotników przysposabiających gruby materyał do budowy; statystycy oskarżali ekonomistów, że chcą budować na lodzie, i bez stałych i dobrych materyałów.

Cokolwiek bądź korzyści i owoce prac statystycznych tak są jasne, że nikt im zaprzeczyć już nie śmie. Ona to wskazuje skutki złe lub dobre praw i rozporządzeń na wzrost bogactwa narodowego, na powiększenie lub zmniejszenie ludności, ona wskazuje postęp lub upadek moralności i dobrego bytu, ona przekonywa cyframi, o tym dziwnym harmonijnym wzajemnym i zbawiennym wpływie, dobrego bytu i moralności; ona wskazuje jak jednostronne działanie na ludzkie niedostatki jest niewystarczające, jak trzeba razem działać na materyą i ducha aby do stałych przyjść rezultatów, ona wskazuje złe skutki wynikające z nadużyć wciskających się w najlepsze instytucye, ona okazuje jak zniżenie pewnych ceł i opłat rządowych podnosi dochody państwa, jak zniżenie cen pewnych wyrobów, wpływa korzystnie na produkcyą tychże wyrobów, powiększając liczbę konsumentów, słowem *statystyka dowodzi praktycznie prawd ekonomicznych dowiedzionych rozumowo.* Ujmując w cyfry jak się to już wyżéj rzekło, wszystkie pojawy stanu towarzyskiego, okazując i zalecając środki zbawienne, wskazując i strzegąc od błędów i nadużyć, przy wzrastającém poszanowaniu dla opinii publicznéj ze strony rządów, statystyka musiała się stać żywiołem i doradczynią w rzeczach stanu, w polityce i administracyi.

Najważniejszym zawsze, właśnie z powodu uznania ważności statystyki, warunkiem była dokładność i rzetelność dat podawanych. Do trudności wyżéj podług J. B. Say nadmienionych, a do natury ludzkiéj przywiązanych, przydać należy niezliczoną rozmaitość przedmiotów do obrobienia, z których tu znaczniejsze poda-

jemy. Obliczenie powierzchni państwa, rozgatunkowanie jéj na części według własności sił ich produkcyjnych i użytków ciągnionych. Wiadomości o ruchu ludności ubytku lub przybytku, podzielenie jéj na różne kategorye pod względem płci, wieku, stanu cywilnego, religii, zatrudnień, sposobu życia, dobrego bytu lub ubóstwa, stanu wykształcenia, moralności, zdrowia. — W tym przedmiocie populacyi są jeszcze ilości małżeństw, przyjścia na świat, śmierci i jéj przyczyny. Poszukiwania odnoszące się do rolnictwa i jego owoców, do handlu zagranicznego i wewnętrznego, do stanu finansowego, do spraw administracyjnych i kryminalnych etc. etc.

Łatwo pojąć, że w tym nawale przedmiotów usiłowania indywidualne okazały się niedostatecznemi, z powodu że czas i siły niewystarczały, z powodu że mało jest stanowisk z którychby we wszystkie szczegóły życia towarzyskiego wglądnąć można, nareszcie z powodu, że podania indywidualne ani w oczach rządu ani w oczach publiczności nie mogły mieć dostatecznéj powagi i zyskać dostatecznego zaufania. Powaga i zaufanie, są to warunki nieodbicie potrzebne dla prac statystycznych publiczności przedstawianych, bo każdy człowiek ze zdrowym rozsądkiem czy w wielkim czy w małym okresie, czy w rzeczach publicznych, czy w interesach prywatnych, działający, może a często powinien radzić się statystyki, ale wielomże czas i zdolności pozwolą, cyfry sprawdzić — albo podejrzenia wyświecać. Najmniejsza w tym względzie niepewność czyni wszelkie prace bezowocnemi.

W uznaniu więc potrzeby dobréj statystyki i z powodu ogromu pracy, starano się wszędzie zbiorowemi siłami przyjść statystyce w pomoc i dwa ku rozwiązaniu tego zadania pojawiły się systemata. Jeden używający wszystkich sprężyn i władz rządowych, zcentralizowanych w ministeryach i ogłaszający data statysty-

czne w imieniu i pod powagą rządu; drugi tworzący osobne i specyalne komisye i towarzystwa statystyczne, pod opieką ale nie pod bezpośrednią zależnością od władzy. Obydwa te systemata mają swoje korzyści i niedogodności. Pierwszy ułatwia w wielu przedmiotach prace i oszczędza koszta — w drugim jest więcéj niezależności od widoków rządowych i korzyść wynikająca z użycia ludzi specyalnych i jednemu poświęcających się zadaniu. Pierwszego systematu użyto we Francyi i w Prusiech, drugiego w Belgii, Hiszpanii i Piemoncie, a wszystkie prawie Rządy poczuwają się do ogłaszania prac statystycznych, mniéj więcéj dokładnych. Oficyalna statystyka we Francyi zaprowadzona została przez Napoleona Igo, który o niéj wyrzekł jedno z tych słów na które potężny tylko umysł zdobyć się może „jest to budżet życia narodowego."

Najciekawsze z dwóch powodów dla nas usiłowania statystyczne zrobione były w Anglii, raz dla tego że się tyczą statystyki rolniczéj, a powtóre że noszą cechę zmysłu praktycznego i rzeczywiście odpowiadają potrzebie corocznie odnawiającéj się w Anglii. Produkcya ziemiopłodów w tym kraju niewystarcza jak wiadomo do wyżywienia całéj jego ludności, ztąd konieczność sprowadzania z zagranicy brakującej ilości. Zrozumieli Anglicy od dawna jak ważną by rzeczą było, znać zawczasu ilość ziemiopłodów jakiéj kraj dostarczy, którą odciągnąwszy od ilości koniecznie potrzebnéj, okazywałaby się dokładna ilość jakąby handel dostarczyć musiał. Ztąd wypływałyby korzyści dla całego kraju, bo handel zawiadomiony na czas o jego potrzebie, zaopatrzyłby się wcześnie w zboże zagraniczne, znałby mniéj więcéj zyski na jakie rachować by mógł, kraj byłby regularnie w zboże zaopatrzony, i ochroniony od niespokojności o żywność i obawy o jéj niedostatek. Ten ostatni powód jest jednym z najprzeważniéj dowodzących po-

trzeby i użyteczności statystyki rolniczéj. Nikt, kto się temi przedmiotami niezajmował nieuwierzy, ile i w jak nierozsądnym stopniu obawa niedostatku ziarna wpływa na podwyższenie jego ceny targowéj. Obawa ta niweczy zupełnie stosunek ilości ziarna do ceny przedaży i ktoby myślał że w przybliżeniu nawet cena produktów rolniczych odpowiada ilości tychże w kraju się znajdującéj, w największym byłby błędzie. Dawny ekonomista angielski Gregory King, ułożył następującą formułę stosunku ilości i ceny ziemiopłodów.

Brak (deficit) 10%	w ilości, podnosi cenę o	30%
20%	. . . .	80%
30%	. . . .	160%
40%	. . . .	280%
50%	. . . .	450%

O dokładności matematycznéj formuły powyższéj wątpić można, ale wszyscy kwestyą żywności zajmujący się ludzie fałszywy stosunek w ilości i cen produktów rolniczych za rzecz niezawodną uważają.

W Belgii w r. 1847 cena zboża podniosła się do 45 franków za hektoliter a w przecięciu była 25 fr. 20 c., to jest o trzecią część wyższa od cen dobrych lat. Jednakże dowiedzioném jest, że na konsumcyi 15 do 16 milionów hektolitrów brak (deficit) w tym roku niewynosił więcéj nad 3,980,000 hektolitrów, to jest czwartą część. W r. 1853, ceny doszły do 35 franków w obec deficitu wynoszącego tylko 1,760,000 hektolitrów [2]).

Necker (*sur la législation et le commerce des grains*) tak tłumaczy zjawisko to ekonomiczne:

„Wystawmy sobie, sto tysięcy ludzi w zamkniętéj prze-„strzeni; potrzeba dziennie sto tysięcy chlebów do ich „wyżywienia, i kilku kupców je dostarcza. Dopóki do-

[2]) Szczegóły wyjęte z bardzo zajmującego dziełka o handlu zbożowym: *Conversations familières sur le commerce des grains par M. G. Molinari.*

„stawa ta jest regularna, cena umówiona nie zmienia „się; ale niech braknie raz lub dwa tylko jednego lub „dwóch chlebów, a brak ten pozbawia dwóch ludzi po- „trzebnéj żywności, obawa bycia jednym z tych nieszczę- „śliwych, tak podnieca żądzę kupna, że kupcy dojdą do „cen podwójnych i potrójnych.“

Wszystko dotąd powiedziane, jasno dowodzi korzyści wynikającéj dla kraju kupującego zboże, z wiadomości statystycznych o swojéj produkcyi.

W Anglii, przekonanie to wywołało liczne a nawet kosztowne próby powtarzane od r. 1831. W latach 1853 i 54 rząd niewachał się wydać 300,000 franków na doświadczenia i zastósowania różnych systematów, a p. Leone Levi, znakomity ekonomista angielski, oświadczył przed komisyą, że w jego przekonaniu dobra statystyka rolnicza w Anglii wartałaby rocznie 100,000 funtów ster. czyli 1,000,000 złr. W ostatnim roku komisya Izby Parów, zredagowała konkluzye z których ten wiele uczący wypisujemy ustęp:

„Ułożenie porządku statystyk rolniczych w połączo- „ném królestwie, jest interesem narodowym, a z licznych „klas korzyści ztąd odnoszących, na ludność rolniczą nie- „wątpliwie największeby spadły. Należy aby akt parla- „mentu uzbroił administracyą dostateczną władzą, aby „mogła *zmusic* właścicieli i rolników do dostarczania „wiadomości statystycznych“. Daléj następuje systemat od komisyi wypracowany którego rozbiór za daleko by nas od celu naszéj pracy odwiódł — z tego ustępu okazuje się, naprzód, waga jaką Izba do statystyki rolniczéj przywięzuje, a powtóre trudności na jakie się natrafia w zbieraniu dat statystycznych nawet w Anglii, a to do tego stopnia, że już w roku 1847, rząd uznał konieczność nałożenia obowiązku na rolników dostarczania dat statystycznych, a odnowienie lub fałszywe podanie karał surowemi opłatami. W r. 1854, wszyscy znawcy

zgodzili się na potrzebę środków przymusowych i komitet Izby parów utrzymanie ich najwyraźniéj polecił. Z poszukiwań i doświadczeń angielskich, okazuje się że tablice statystyczne powinny być jasne, proste i nieobejmować tylko koniecznie potrzebne szczegóły—a celem ich ma być oświecenie rządu i kraju o zasobach rolniczych.— Więc 1. w czasie zasiewów, powierzchnia ziemi przeznaczona na produkcyą żywności, ztąd się ocenia produkcyą normalną przybliżoną;—2. po zbiorach, ilość dokładną albo najbardziéj przybliżoną produkcyi otrzymanéj; ztąd wiadomość czyli i w jakiéj ilości potrzeba zboża z za granicy;—3. bogactwo jakie kraj posiada w bydle.

Jesteśmy przekonani że przy zupełnéj wolności handlu zbożowego, przy wzmagającéj się łatwości, prędkości i taniości komunikacyi, przy rychłych i dokładnych podaniach statystyczno-rolniczych, ceny zboża do dziwnéj przyjść by mogły równowagi i co do przestrzeni i co do lat; że tym sposobem uniknęłoby się tych ogromnych różnic w cenach od roku do roku się pojawiających, które to różnice wpływają tak niekorzystnie na wszystkie inne produkcye, które czynią wszystkie przedsiębiorstwa niepewnemi, niebezpiecznemi, bo wpływają na drogość pracy, które wreszcie sprawiają, że żaden przedmiot zamiany, zacząwszy od ziemi aż do najdrobniejszéj rzeczy, niema stałéj ceny albo przynajmniéj ceny zmieniającéj się tylko, jak to być powinno podług normalnie wzrastających potrzeb.

Jeżeli dla kraju kupującego zboże, wiadomości statystyczno-rolnicze, są wielce użyteczne, niewątpliwie o kraju rolniczym zboże eksportującym, toż samo chociaż z powodów zupełnie przeciwnych powiedzieć można. — Kraj kupujący widziałby wiele mu potrzeba, a kraj przedający wiele odstąpić może. — Pod wpływem jawności takowych obrachowań wnetby następywało słuszne po-

rozumienie co do cen, spekulacya i handel miałyby pewne i naprzód obliczone zyski, a ludność zapewnioną i po cenach naprzód obliczonych żywność.—Spokojność i pewność z jakąby postępowały wszystkie przedsiębiorstwa, przyniosłyby nieznane dziś korzyści, bo jeszcze raz powtórzyć musimy, niestałość cen żywności odejmuje podstawę wszelkiemu obrachowaniu.

W naszym kraju, który, mamy przekonanie z przyczyn tylko przejściowych i przypadkowych na brak żywności jest wystawiony, z a natury i położenia przeznaczony na produkcyą zboża przenoszącą potrzeby jego ludności, w kraju naszym statystyka rolnicza wielce by była użyteczną. Czy jéj się można i kiedy spodziewać niewiemy, ale każde usiłowanie w tym kierunku powitalibyśmy z radością. Wiemy że trudności napotkanoby wielkie, że jest wiele ociężałości i mało pojęcia jasnego o własném położeniu, wiemy że przy wzrastających podatkach z pewną obawą i niedowierzaniem odpowiadanoby na pytania wyświęcające stan rzeczywisty rolnictwa — aleć niezapominajmy że i w Anglii musiano nakładać surowe sztrofy na właścicieli i dzierżawców, którzy albo odpowiedzi dawać niechcieli albo takowe fałszywe dawali. W początku i zanimby się uporządkowały prace statystyczne, jesteśmy zdania, że Towarzystwa gospodarsko-rolnicze nietylko by mogły aleby powinny zbierać przynajmniéj elementarne data statystyczne z większych własności. Ułatwiłoby ich działanie na téj drodze urządzenie komitetów filialnych po cyrkułach. Komitety filiane będąc w bezpośredniej i przyjaznéj styczności z posiadaczami włości w cyrkułach, snadniéj i dokładniéj zbieraniem dat statystycznych zająćby się mogły, a raporta te odsełane do komitetów centralnych, stałyby się po niejakim czasie zbiorem o ile być może najdokładniejszym informacyj o stanie i postępie bogactwa rolniczego w kraju. Dodać tu musimy, że w naszéj myśli, tabelle mające obejmować

szczegóły, musiałyby być jaknajprostsze, i na wzór angielski nieobejmujące jak tylko pytania na które każdy rozsądny gospodarz z łatwością odpowiedziećby mógł t. j: 1. przestrzeń przeznaczoną na uprawę zboża. 2. po żniwach ilość pewną sprzętu a spodziewaną ziarna. 3. ilość utrzymywanego inwentarza.

Po tych ogólnych uwagach przejdźmy do myśli któréj zastósowanie ważną w historyi statystyki stanowić będzie epokę.

Myśl zwołania kongresu statystycznego składającego się z ludzi najznakomitszych różnych krajów, pojawiła się podczas wystawy londyńskiéj — i nie dziw — bo na widok téj rozmaitości i ogromu w jedno miejsce zniesionych owoców ludzkiéj pracy, umysł badawczy przenosił się naturalnym biegiem do pracowników,—ich ojczyzny, strefy, praw i rządów pod jakiemi żyją, i pytał o liczbę tych pracowników i o to pod jakiemi żyją warunkami, pod jakiemi warunkami produkują, jakiemi siłami rozporzadzają, co wpływa na cenę wyrobu, słowem wszystkie najważniejsze pytania statystyczne powstawały same jako proste następstwo wystawy światowéj. Otworzono więc statystyki i szukano skrzętnie wszystkiego co mogło prowadzić do porównania przyczyn i skutków fenomenów ekonomicznych różnych krajów, bo porównania i wnioski z nich czynione oświecały prawdziwie naukę i dawały stanowcze odpowiedzi. Statystyki wtedy pokazały się tak różne, tak według różnych ułożone systematów, dla tak różnych wypracowane celów, że porównanie żadne prawie niemogło mieć miejsca ztąd do porozumienia się względen sposobu układania statystyki mogącéj służyć za skazówkę postępu dla całego świata, był tylko krok jeden, i ten zrobiono.

W Brukselli r. 1853 zebrało się zgromadzenie znakomitych ludzi rozmaitych krajów i przysłanych przez rządy i przybyłych z własnéj woli i zamiłowania dla nauki.

Zebranie to nazwało się kongresem statystycznym. Przewodniczący p. Quetelet otwierając sesyą oświadczył, że myśl kongresu natchnęło życzenie, aby ustalić znalezienia porównania między produktami i sprowadzenia możebności ocenienia sił i bogactw różnych narodów. Chodziło więc o wydoskonalenie statystyki porównaczéj tak niedostatecznéj. Przy tém celu jasno wytkniętym niezaniedbano także statystyk szczegółowych i każdy z delegowanych złożył zdanie sprawy o organizacyi administracyjnéj statystyki w swoim kraju.

Co do organizacyi swojéj hierarchicznej kongres Brukselski wyraził życzenie ponowione w paryzkim, ażeby w każdym kraju stworzyć rodzaj komisyi centralnéj statystycznéj, któréjby prace i ich kierunek były wskazywane przez kongres periodycznie zbierać się mający, i ostateczne wydający uchwały.

Drugi kongres statystyczny zebrał się w Paryżu r. 1855 i z prawdziwą otworzył się uroczystością a sam minister handlu i prac publicznych p. Rouher przewodniczył zgromadzeniu, i zagaił go mową z któréj kilka ustępów, jako bliżéj określających i zadanie kongresu i sposób widzenia rządu, podajemy:

„Celem tego kongresu międzynarodowego jest uczy-„nić porównalnemi statystyki wszystkich narodów, po-„równalnemi ale nie jednostajnemi, podobnemi, ale nie „tożsamemi. Różność języka, praw a zwłaszcza obycza-„jów, czyni jedność niepodobną. Szczęściem dostatecznem „będzie dla nauki, jeżeli każda statystyka narodowa bę-„dzie mogła być zbliżona do jakiejś miary wspólnéj, i „jeżeli dla wszystkich będzie punkt porównania.“

Daléj mówiąc o zadaniu statystyki i szerokie pole odkrywając kongresowi dodaje:

„Możecie zwłaszcza, panowie poszukiwać jakie in-„stytucye, jakie prawa, przy dobrych przykładach i „wzniosłych naukach religii, bez któréj nic niema

„skutecznego, przykładają się najdzielniéj, do powściągania namiętności, a do rozniecania miłości ojczyzny i rodziny......

„Zadaniu temu niewydoła ani jeden kongres, ani „jedna generacya; ale na tę drogę przez was stanowczo „otwartą i wytkniętą, cząstka dobrego jaką osiągniecie „powoła nową odwagę i nowe poświęcenia.“

Szczegółowych prac kongresu przechodzić byłoby zbytecznėm, dosyć powiedzieć, że wszystkie prawie przedmioty statystyce podpadające rozbierano, i raporta liczne mianowicie o stanie statystyki w różnych krajach złożono. O kilku atoli więcéj powszechną mających dążność albo bliżéj nas zająć mogących rzeczach wspomniemy.

Na sesyi 12go września, p. Peut (z Francyi) proponował aby kongres paryzki powtórzył życzenie wyrażone już w Brukselli w r. 1853, aby można zaprowadzić jedność miary i wagi dla wszystkich narodów. P. Debrauz (z Austryi) i p. Cieszkowski (z Pruss) popierali tę myśl, nietylko zapatrując się na nią ze stanowiska statystyki, ale wyjaśniając wszystkie korzyści jakieby ztąd wyniknęły dla narodów i Rządów. Obydwa ci panowie, wątpili jednakże, o możności dojścia do porozumienia i osiągnięcia celu bez współdziałania Rządów. Sądzili więc, że kongres powinien polecić Rządom myśl, któréj zastósowanie oprócz ogromnych korzyści, ułatwiłoby poszukiwania statystyki porównawczéj. W tym téż sposobie przyjęto i wyrażono życzenie kongresu.

Na sesyi 15 września p. Block czytał zdanie sprawy o statystyce rolniczéj — a mówiąc o środkach do zbierania dat statystycznych, oświadczył się za agentami płatnymi; ztąd zawiązała się zajmująca rozprawa między członkami kongresu, o najlepszym pod tym względem systemacie, i zgodzono się na propozycyą p. Gasparin (z Francyi) „aby w razie gdyby kommissye nie

„mogły być dobrze urządzone, używano agentów płatnych".

P. Cieszkowski przy téj okoliczności, użala się na opuszczenie, w pytaniach przez kommissyą dla statystyki rolniczéj ułożonych, pytań tyczących się sposobu posiadania i przekazywania własności, pewnych pozostałości, stosunków feudalnych, praw tyczących się podziału własności, własności korporacyów etc. etc. Wnosił umieszczenie ich napowrót do programatu. Wniosek ten jednak przyjętym nie został, i o ile nam wolno być zdania przeciwnego z p. Cieszkowskim będącym ozdobą naszego kraju, zda nam się to słuszném. Gdyby kommissye złożone były z ludzi takich jakim jest p. Cieszkowski, żadne zadanie umysłowe nie byłoby niepodobném, ale tak być nie może i trudności na jakieby trafiano przy wyszukiwaniu praw istniejących względem własności a nawet tradycyj przechowanych, niedokładności i długość tych prac, potrzeba wreszcie otrzymania dla statystyki rolniczéj porównawczéj, nie wielu, ale pewnych dat, usprawiedliwia odsunięcie wniosku pana Cieszkowskiego.

Na sesyi 15 września, podał p. Feliks Belli wniosek i takowy uzasadnił, ażeby na przyszłym kongresie zrobiono spis wszystkich instytucyj finansowych różnych krajów, z tablicami wykazującemi rozkład podatków, koszta poboru, źródła dochodów Państw, własności rządowe, instytucye kredytowe etc. etc.

Gdyby zadanie tu wytknięte dokładnie rozwiązane było, obszerne i w następstwa obfite porównań i wniosków odkryłoby się pole, naprzód dla uczonych a późniéj dla Rządów. Rozwiązanoby pytania, dla czego jedne kraje łatwo znoszą ciężkie podatki, dla czego inne pod lekkiemi upadają? jaki jest najmniéj kosztowny pobór podatku i jego rozkład i jego rodzaj? Nie idzie o to, czy Rządy potrzebują podatków, bo pytanie to

dawno rozwiązane; nie idzie nawet o to aby podatki były jak najmniejsze — ale o to, aby podatki najmniéj kraj kosztowały a najwięcéj Rządowi przynosiły, aby rozkład ich nie wpływał na zmniejszenie produkcyi i bogactwa podatki oddających, ale owszem pomnożeniu ich sprzyjał. Są to wszystko pytania, na które cyfry wymownie odpowiedzieć mogą, i miejmy nadzieję odpowiedzą.

Wieleż to przedstawiało się na kongresie zajmujących przedmiotów, które granice niniejszéj pracy ledwo wymienić pozwalają — takiemi były: statystyka kryminalna, stosunek występków do ludności, w miastach i po wsiach, instytucye dobroczynne, niedostatek i nędza, przypadki na kolejach żelaznych i t. d. i t. d. Przy końcu ostatniéj sesyi na wniosek pana ministra prezydującego, uchwalono, jak się już stało w Brukselli, aby kommissya organizacyjna francuzka upoważnioną była do wyznaczenia miejsca i czasu dla przyszłego kongresu.

Po zamknięciu obrad, nastąpiła wspólna biesiada, zwyczaj z Anglii na cały świat się rozciągający, i wiele dobrych stron mający. Tu ludzie nie krępowani formami, okazują się jakimi są, zbliżają się do siebie, wchodzą w bliższe a czasem i stałe stosunki i myśl objawia się wolniéj. Wnoszono różne toasty, na cześć cesarza i na cześć panujących którzy swych reprezentantów na kongres przysłali, a p. minister zakończył toastem na cześć *Nauki, która zbliża interesa i łączy ludy, a tworząc wspólność myśli oddala nieszczęścia wojen.*

Po tém co poprzedziło widoczna, że kongres statystyczny wynikł ze stosunków cywilizowanego świata, że ma ogromny zakres działania, że mu zewsząd, od rządów, ludzi stanu i uczonych przychodzi pomoc, wnosimy ztąd że ma życie i przyszłość.

Henryk Wodzicki.

PRÓBY MACHIN ROLNICZYCH

na wystawie paryzkiéj z r. 1855

Mamy tu pisać o machinach i narzędziach rolniczych. Przedmiot rozległy i do traktowania pobieżnie niełatwy; bo kiedy niemożna podać rysunku i za pomocą jego zrobić dokładnego opisu machiny lub narzędzia, to niewiele pozostaje do mówienia o nich. W szczupłych przeto granicach jakich trzymać się musimy między wykładem a opowiadaniem, będziemy starali się dostarczyć czytelnikom naszym jak najwięcéj doniesień, mogących służyć im za wskazówki do szukania obszerniejszych wiadomości o rzeczach, które zastanowią ich uwagę. W tym celu podamy naprzód krótkie opisanie uroczystości rolniczéj, która zapewnie będzie powtarzaną we Francyi i stanie się zwyczajem stałym.

Komisya zarządzająca wystawą powszechną wpadła na szczęśliwą myśl zrobienia na gruncie publicznego doświadczenia, albo raczéj popisu machin i narzędzi rolniczych, uznanych już za najlepsze podczas ich pró-

by przed sądem przysięgłych. Widowisko to ciekawe i wspaniałe odbyło się dnia 14go sierpnia w miejscu zwaném *Trappes* niedaleko Wersalu.

Mówiąc o tém co tu było najgodniejszego uwagi, dotkniemy tém samém wyboru przedmiotów rolniczych znajdujących się na obecnéj wystawie, a razem będziemy mieli sposobność dołączenia stósownych wiadomości o główniejszych przynajmniéj rodzajach tych przedmiotów.

Pole które było placem popisu w Trappes, leży o dwa kilometry od drogi żelaznéj z Paryża. Zakreślono na niém równoległobok obejmujący siedem hektarów powierzchni między strumieniem a łanami okrytemi zbożem. Nad brzegiem strumienia, nieco wynioślejszym od reszty płaszczyzny, zrobiono pod cieniem drzew wzdłuż całego równoległoboku prostą i szeroką ulicę dla widzów, a sam równoległobok przecięto w poprzek na siedem części obwiedzionych sznurem i przedzielonych ścieżkami. Każda z tych części była przeznaczona dla osobnego rodzaju doświadczeń. Widzowie przeto wchodząc w ulicę, mieli po lewéj ręce strumień, po prawéj zaś narzędzia i machiny zgromadzone i przygotowane do działania w siedmiu oddziałach, oznaczonych napisami: osuszanie gruntu, dynamometry, oranie, rozmaite przybory, młócenie; siewba i opielanie, nakoniec żniwo i kośba. Oprócz tego napisy na słupach przy machinach i narzędziach wskazywały ich właścicieli. W końcu przeciwnym wnijściu rozciągał się kawał lucerny przeznaczonéj do skoszenia, a naprzeciw niego za strumieniem, łan żyta do zżęcia. Między lucerną i ostatnim oddziałem równoległoboku stał namiot mający z przodu salon dla księcia Napoleona prezesa komisyi wystawowéj, a z tyłu dobrze urządzony bufet. Na drugiej stronie strumienia ciągnął się długi szereg namiotów rozpiętych przez tłumnie przybyłych z okolicy traktierników, kawiarzy, szynkarzy i t. d.

Całe urządzenie było bardzo starannie i przezornie obmyślone; niezapomniano nawet postawić w pobliżu kuźni i warsztatów potrzebnych do naprawy uszkodzeń jakie mogłyby się zdarzyć w szybkim przewozie machin z Paryża.

Trzy brygady żandarmów i pół bataliona piechoty użyto do pilnowania porządku i ostawienia gęstą strażą wszystkich szranek; ostrożność ta wszakże niezupełnie pomogła. Jeden z naocznych świadków opisując uroczystość powiada: „U nas we Francyi podczas tłumnych zgromadzeń, nigdy niemożna liczyć na rozsądną delikatność, którąby trzymając każdego w miejscu jakie mu przypadło, dozwalała wszystkim wygodnie widzieć. Zwykłym więc obyczajem pchano się na przód, każdy chciał wyprzedzić swego sąsiada, stanąć mu przed nosem, i kiedy dziesiątek natarczywszych zdołało wedrzeć się aż pomiędzy machiny i robotników, kilkuset innych zato miało widok zupełnie zasłoniony. Wszystko jednak szło jeszcze jakkolwiek w ciągu doświadczeń ale zaledwo machiny żniwiarskie skończyły swoję robotę, cała zgraja sypnęła się na zżęte pole i niewiedzieć po co przez pół godziny tratowała nogami leżące zboże, aż żal było patrzeć.“

Przegląd rozpoczął się od robót pokazujących rozmaite sposoby osuszania gruntu, czyli tak zwanego drenowania (drainage). Anglikom należy się wynalazek użycia w tym celu rur glinianych zamiast kamieni i faszyny. Rzecz teraz głównie zależy na tém, żeby robić rowy jak najwęższe i umieć dobrze używać stósownych do tego narzędzi. Dwaj francuzcy właściciele ziem, okazali próby prac wykonanych przez robotników wyćwiczonych u siebie i wedle metody w swoich wsiach na obszerną miarę używanéj. Kilka niezasypanych przekopów z rurami ułożonemi w ich głębi, dozwalało widzieć cały ciek wody aż do ostatniego jéj ujścia. Daléj można było o-

glądać piękny zbiór narzędzi angielskich do tego rodzaju robót przeznaczonych.

W drugim oddziale wystąpiły na plac narzędzia do mierzenia siły ciągu, czyli dynamometry, przyłożone do trzech najlepszych pługów. Znany już dawniéj, a teraz świeżo nieco poprawiony dynamometr jenerała Morin otrzymał pierwszeństwo.

Przyszła następnie koléj na pługi. Stało ich zaprzężonych dwadzieścia. Trzy tak zwane grzebiące (charrues fouilleuses), miały wejść w brózna otworzone już przez próbę z dynamometrami; dwa karczowniki (extirpateurs) i dwa zdzieracze (scarificateurs) były skierowane na ściernisko zboża i rzepaku; inne miały przed sobą odłog. Za uderzeniem w bęben, wszystkie ruszyły razem. Dziwno było patrzeć na to zbiorowisko narzędzi budowanych w różnych i dalekich stronach świata, a współcześnie ruszających się na jednym kawałku ziemi. Znajdowało się tu pługów francuzkich 7, angielskich 4, belgijskich 2, toskańskich 2, austryacki 1, wirtemberski 1, duński 1, szwedzki 1, kanadyjski 1; słowiańskiego nie było żadnego. To daje nam powód do zrobienia małego tu ustępu.

Pług, socha, narzędzie tak dawne i powszechne, jak dawne i powszechne jest sianie ziarna, nigdzie zapewnie niema większego znaczenia jak u nas, w krajach naszych nie cząstkowie, nie dodatkowie tylko, ale wyłącznie rolniczych. Jeśliby kiedy cała Słowiańszczyzna szukała dla swojéj chorągwi rodowéj ogólnego godła, zdaje się że przynajmniéj na jednéj stronie płótna, niemogłaby położyć nic innego prócz pługa. Tymczasem dzisiaj inne narody, z natury i ziemi i duszy swojéj mniéj rolnicze, poglądają na pług słowiański jak na zabytek i dowód barbarzyństwa. Przedewszystkiem Anglicy, naród mechaników i spekulantów, szczycą się tém, że rolę obrócili w warsztat poruszany już w zna-

cznéj części machiną parową. Francuzi zazdrośni im szczególniéj o wyższość na drodze rozumowéj, usiłują rolnictwo podciągnąć pod prawidła sztuki scientyficznéj: tradycya i u nich znacznie ustąpiła z pola. Jednak ledwo temu lat 150, jak oba te kraje rozpoczęły w téj mierze nowy swój zawód, w którym pierwszy z nich, aż do ostatnich czasów przewodniczył zawsze drugiemu. Najdawniéj znały one wspólnie z jarzmem i pług rzymski. Przyszedł późniéj do Anglii, niezgrabny i ciężki pług saksoński, rozgościł się nakoniec po obu stronach morza nieco lepszy pług normandzki. Te trzy narzędzia idąc z pokolenia do pokolenia wiele set lat utrzymywały się bez żadnéj zmiany. Dopiero na początku wieku 18go sprowadzony przez jednego rolnika angielskiego pług brabancki, posłużył za wzór do zbudowania pługa zwanego Roterdamskim, który długo uchodził za doskonałość. W tymże prawie czasie inny Anglik, korzystając z wynalazku Hiszpana Józefa *Locatelli*, ulepszył jego siewalnie zaprzężną, zaprowadził sianie w linii prostéj i wymyślił motykę konną. Prawdziwym wszakże twórcą mechaniki rolniczéj w Wielkiéj Brytanii, był szkocki zegarmistrz *Small*, który w r. 1763 założył pierwszą fabrykę narzędzi i machin wyłącznie służących rolnictwu. Mówimy i machin, bo tegoż czasu drugi Szkot *Meikle* zbudował już był pierwszą młocarnię. Obecnie, królestwo połączone W. Brytanii liczy kilkadziesiąt tego rodzaju fabryk, w rzędzie których jest kilkanaście sławnych. Anglicy nawykli do każdéj potrzeby w gospodarstwie, do każdéj okoliczności w uprawie roli tworzyć osobne narzędzie, mają wiele gatunków pługa. Francuzi mniéj zamożni w takie fabryki, mniéj potrzebujący wielkich przyrządzeń w rozdrobnioném swojém rolnictwie, lubo zarzucają Anglikom zbytek wymysłu i pług swój w ogólności uważają za dogodniejszy, idąc wszakże za nimi zaprowadzili u siebie wiele odmian pługa, oznaczo-

nych nazwiskami i jeżeli nie co do całéj jego budowy, to przynajmniéj co do główniejszych części, bardzo różnych. Zresztą najprostszy pług, czy angielski, czy francuzki, czy jakikolwiek inny, któryby można nazwać cywilizowanym albo uczonym, zwykle prawie cały żelazny, złożony z mnóstwa członków wedle rachunku matematycznego wykreślonych, opatrzony w szruby, koła zębate i inne dźwignie mechaniczne, niemoże być porównywany z tym kawałem kłody o grubym lemieszu i drewnianych kołach, którym sześć lub ośm wielkich wołów kraje skiby czarnoziemi ukraińskiéj, a tém bardziéj z tą lekką sochą litewską, z tą widłowatą gałęzią drzewa, przy któréj oprócz pary szczupłych narogów, niemasz ani ćwieczka żelaznego. Język nasz rolniczy niema wyrazów na oznaczenie cząstek obcego nam mechanizmu, nawzajem uczeni cudzoziemcy nieumieją nawet nazwać po swojemu przyrządzeń postrzeganych w naszych pługach. Książe Lobkowič przysłał był na wystawę londyńską pług czeski. Sama jego postać zwięzła i krótka, obok wysmukłych i cienkich pługów zachodnich, zdawała się być umyślnie dobraną sprzecznością. Ale co najbardziéj uderzało angielskich i francuzkich agronomów, to że zamiast kroju i lemiesza ujrzeli niesłychane nigdy *ruchadła.* Jeden uczony profesor cesarskiego konserwatorium sztuk i rzemiosł w Paryżu, do dziśdnia nie może się oddziwić jakim sposobem znamienici agronomowie niemieccy uznali to potworne narzędzie za bardzo korzystne, i niektórzy z nich odrzucając wszystkie inne pługi przyjęli je wyłącznie jako proste, tanie i wybornie uprawiające rolę. „Ruchadło — powiada on — jestto prawdziwy wyzyw rzucony umiejętności przez praktykę.“ Dodamy jednę uwagę. Cała sztuka i mechanika rolnicza w Anglii, ktora jest przedmiotem uwielbień i zazdrości, nie na czém inném stoi, jak na drożyznie przez cła utrzymywanéj. Niechby tylko

prowincyom południowym dawnéj Polski dozwolono wprowadzać ich pszenicę bez opłaty do portów angielskich, wszystkie fabryki i gospodarstwa rolnicze Anglików runęłyby od razu. Umiejętność, która i we Francyi woła o pomoc przez podwyższenie ceny, jestże na to, aby w miarę przybywających wynalazków i machin pierwsze potrzeby, życia stawały się coraz kosztowniejsze, i aby człowiek pracował coraz cięższéj na kęs chleba?

Pomiędzy pługami doświadczanemi w Trappes, odznaczyły się szczególniéj dwa: angielski Howarda i francuzki zakładu rolniczego w Grignon. Pierwszy kosztuje przeszło dwieście, drugi stokilkadziesiąt franków. W ogólności, niemasz na wystawie pługa uznanego za cokolwiek lepszy, któryby niekosztował więcéj dwóchset złotych polskich.

Po pługach poszły brony i walce angielskie, norwegskie i toskańskie. W Anglii i we Francyi powszechnie dzisiaj biorą górę brony łączone, raz że większą zajmują przestrzeń, powtóre, że łatwiéj naginają się do nierówności gruntu. Znana już na wystawie londyńskiéj potrójna żelazna brona Howarda, miała i teraz pierwszeństwo. Składa się ona ze sztabek tworzących małe czworoboki, których każdy róg ma ząb pod spodem. Cztery takie czworoboki zkute razem stanowią pas dwa razy w zygzag wygięty. Para pasów oddalonych od siebie na szerokość czworoboku, a spojonych po obu końcach nieruchomemi prętami jest broną, któréj dwadzieścia zębów niewchodząc w ślad jeden drugiego, kreśli dwadzieścia pręg osobnych. Trzy takie brony przyczepione podwójnemi hakami do stelwagi i połączone między sobą łańcuchami, zajmują więcéj 3 metrów powierzchni. Narzędzie to jest proste, mocne i w użyciu wyborne, ale kosztuje przeszło 400 złotych polskich. Wszystkie brony angielskie mają tę niedogodność, że zęby ich prędko nabie-

rają grudy, dla otrząśnienia któréj trzeba się schylać; zauważano tedy, iż wybornie służyłyby im rączki do podnoszenia, jakie dały się widzieć przy bronach toskańskich. W Anglii coraz bardziéj upowszechnia się walcowata brona norwegska, która niewątpliwie ma wyższość nad wszelkiemi narzędziami tego rodzaju. Skład jéj jest następny. Trójkątna rama drewniana, albo żelazna, służy do utrzymywania dwóch albo trzech osi. Na każdą oś nasuwają się obrączki z lanego żelaza, mające szerokości i średnicy po dziesiątek calów, a opatrzone zewnątrz zębami długiemi na ćwierć łokcia i zakrzywionemi nieco w stronę przeciwną zaprzęgowi. Obrączki te tak są wycinane na krawędziach, że wchodzą bokami jedna w drugą i wszystkie na wspólnéj osi muszą obracać się razem; każdy zaś rząd obrączek, czyli każdy walec zębaty, tak jest ustawiony, że zęby jego idą miejscami nietkniętemi przez zęby walca poprzedniego. Trzy koła mogące podwyższyć się lub zniżyć, w czasie toczenia się nawet, służą do przeprowadzania machiny i do miarkowania głębokości jakiéj zęby mają dosięgać. Najgrubsze i najtrwardsze gruzły rozsypują się na proch pod niemi. Narzędzie to kosztuje 337 franków, to jest około 600 złp.

Aby konie uwolnione od pługów i bron miały czas wytchnąć przed udaniem się do dalszych robót, umieszczono po oddziale rolnictwa, oddział rozmaitych przyborów gospodarskich. Stał tu naprzód wóz drabiniasty, który tylko co posłużył do przywiezienia buraków, ziemniaków, lnu i rozmaitych ziarn dla użycia w doświadczeniach. Widać było daléj machinę parową siły dziewięciu koni dającą ruch razem dwom narzędziom, z których jedno międliło i trzepało len niemoczony, drugie z dziwną szybkością i regularnością, krajało buraki i rzepę na pokarm dla bydła. Narzędzie to dostawione z W. księstwa Badeńskiego, zakasowało podo-

bneż angielskie, chociaż to ostatnie ma w Anglii wielką wziętość i powszechnie jest używane. Pomiędzy sieczkarniami do rznięcia słomy, odznaczała się belgijska. Anglicy, którzy do karmienia bydląt używają wiele ziarna, zauważali, że daleko korzystniéj jest dawać ziarno roztarte czyli rozgniecione, niżeli całe. Do takiego więc rozgniatania, mianowicie owsa, wymyślili narzędzie, nazwane niewłaściwie stępą czy tłoczarnią (*concasseur*). Jestto raczéj prassa złożona z dwóch karbowanych walców, które wedle potrzeby mniéj lub więcéj zbliżone, w obrocie swoim płaszczą i gniotą chwytane między siebie ziarno. Walce te osadzone w skrzyni obracają się za pomocą korby, zboże zasypuje się w koszyk u góry, a wypada przez otwór pod spodem. Najlepsze narzędzie tego rodzaju, służące do rozgniatania nietylko zboża, ale także siemienia lnianego i makuch, nagrodzone na wystawie londyńskiéj, kosztowało fr. 300. Teraz rozgniatacz owsa z fabryki angielskiéj Ransoma, próbowany w Trappes, został kupiony przez księcia prezesa komisyi za franków 94. Do tego rodzaju narzędzi należy jeszcze, nieznana dotąd we Francyi machinka angielska, która oczyszcza jęczmień z ości bynajmniéj nienaruszając ziarna, co w Anglii gdzie najwięcéj jęczmienia obraca się na robienie słodu, jest rzeczą bardzo ważną. Pod względem przyborów do wiania i oczyszczania zboża, występowała tylko jedna arfa francuzka. Jest ich wiele i bardzo dowcipnych na wystawie, ale te co działają najlepiéj są zbyt skomplikowane i zbyt drogie nawet dla Francuzów. W liczbie kilku łuszczarni (egrenoir) do łuszczenia kukurudzy, odznaczyła się styryjska, opatrzona młynkiem wietrznym (volant), który nadaje jéj wielką szybkość. Wzięto nakoniec pod doświadczenie maślnicę czyli bojkę do bicia masła, Belgijczyka *Claës*. Naczynie to półwalcowe z płaską nakrywką, przytwierdzone końcami do dwóch słupków

utkwionych w podnóże, trzyma się na wysokości potrzebnéj do wygodnego obracania korbą. Wewnątrz naczynia, wdłuż jednéj jego ściany sterczy poziomo rzęd zębów czyli palców nakształt grabi, a przez środek także wzdłuż przechodzi oś najeżona cztérma rzędami podobnychże palców. W czasie obrotu osi za pomocą korby, palce jéj przebiegają szybko pomiędzy nieruchomemi palcami ściany, i to stanowi cały mechanizm. Po zbiciu masła otwiera się u dołu gwóźdź dla zlania maślanki. Z 60 litrów mléka, po trzech kwadransach obracania korbą, otrzymano nieco więcéj jak 4 kilogramy masła.

Wszystkie te i tym podobne przedmioty zajmowały mocno uwagę rolników i gospodarzy; ale widowisko daleko ciekawsze dla publiczności nastąpiło w oddziale młócenia.

Sześć młocarni, z których jedna angielska p. *Clayton*, jedna ze Stanów Zjednoczonych Ameryki p. *Pitts*, jedna z Kanady pp. *Paige et Comp.*, trzy francuzkie pp. *Damey*, *Duvoir i Pinet* stały nad kupami snopów przygotowanemi dla każdéj. Pierwsze dwie miały dla siebie machinki parowe, cztery inne zaprzężone były po parę koni. Przy każdéj znajdowała się do posługi potrzebna liczba ludzi. Dwie pierwsze miały ich po sześciu, trzy następne po czterech, ostatnia trzech. Oprócz tego, dla porównania roboty machinowéj z ręczną, było na osobnym toku czyli boisku sześciu młócarzy z cepami. Na dany znak uderzeniem w bęben, rozległ się w powietrzu straszny hałas. Świst machin parowych, trzask z biczów, krzyk poganiaczów, tentent koni i walców, klekot cepów, pomięszał się z wrzaskiem uniesionéj zapałem publiczności, któréj nacisk ledwo cała usilność straży wstrzymać zdołała. W pół godziny wszystko ucichło i pokazał się wypadek następny:

Sześciu młocarzy wybiło snop.		20, z których wyszło ziar. litr.						60.
Młocarnia Pineta	„	„	36	„	„	„	„	150.
„ Duvoira	„	„	58	„	„	„	„	250.
„ Claytona	„	„	117	„	„	„	„	410.
„ Pittsa	„	„	190	„	„	„	„	740.

Młocarnia francuzka p. Damey dla spóźnionych koło niéj przygotowań niemogła ruszyć z miejsca; kanadyjska zaś prędko ustała. Była ona obracana za pomocą ruchomego koła czyli deptaku, na którym dwa konie, bądź że niemiały wprawy, bądź że były kute bez oceców, po krótkiem wysileniu poczęły utykać i padać, tak że musiano dać im pokój.

Żyto wzięte do młócenia było niedojrzałe i niewysuszone; z pod wszystkich tedy młócarni wychodziło mniéj więcéj kłosów niezupełnie wypróżnionych i ziaren roztartych, a umłot w ogólności był za mały. Młócarnia Pittsa, która w 30 minut wybiła 740 litrów, mogłaby w godzinę wybić zboża suchego litrów 1,500; a zatem kiedy sześciu młocarzy bijąc cepami przez 10 godzin otrzymuje ledwo 12 hektolitrów, sześciu robotników za pomocą téj młocarni wydaje w tymże przeciągu czasu hektolitrów 150. Do jéj zalet należy i to jeszcze, że kłosy niecałkiem wytrzęsione niemogą wymykać się razem ze słomą, ale wpadają w wiaderka, które je odnoszą pod walec bijący. Machina parowa siły dziewięciu koni, która była użyta do obracania téj młocarni, jest bardzo lekko zbudowana i daje się łatwo przeprowadzać z miejsca na miejsce, a kosztuje 7,500 franków.

Po młocarni Pittsa najbardziéj zasłużyła na uwagę młocarnia Duvoira z tego względu, że tamta łamie słomę na pięć lub sześć części, ta zaś oddaje ją taką jaką bierze, bez najmniejszego zmięcia i splątania. Postrzegam także że mniéj rozgniata ziarn.

Z kolei otworzony został oddział siewby i opielania

(sarclage). Stały naprzód trzy siewalnie konne, z tych dwie angielskie, *Hornsby* i *Garetta*, jedna belgijska *Claësa*. Sianie albo raczéj sadzenie zboża w linii prostéj, a ztąd i potrzeba użycia rozmaitych do tego machin, wzięły początek w Anglii i dotychczas prawie wyłącznie mają miejsce w tym kraju. Drogość niesłychana zboża zmuszając Anglików do oszczędzania każdego ziarnka, była pierwszym powodem wynalazku. Późniéj, chociaż zmieniły się okoliczności, wprowadzenie nawozów miałkich, jako to mąki kościanéj, guano, makuch tartych, krwi suszonéj i t. p., które najlepiéj działają kiedy są dane roli współcześnie z ziarnem, utrzymało dawne narzędzia i przyczyniło się do nowego ich ukształcenia. Wszystkie niemal siewalnie angielskie, rzucają teraz nawóz razem z nasieniem, a ponieważ niektóre nawozy miałkie, mianowicie guano i makuchy, szkodzą ziarnu jeżeli się z niém stykają bezpośrednio, są przeto między wymyślnemi siewalniami angielskiemi takie, co przedzielają nasienie od nawozu cienką warstwą ziemi. Postrzeżono jeszcze, że ciągłość linii zasianych ułatwia robactwu i myszom wyjadanie ziarna, dla zapobieżenia więc temu utworzono dwa nowe rodzaje siewalni. Jedne, zwane *drop drills*, czyli kroplowe, ryjąc rowki po dawnemu, nie sypią nasienia sznurkiem, ale składają ziarno po ziarnie w żądanych odstępach; drugie znane pod nazwiskiem *dibblers*, dzióbią dołki i zostawują w nich po szczypcie nasion. Narzędzia te służą téż zwyczajnie i do sadzenia roślin, jakoto buraków, rzepy, bobu, fasoli, kukurudzy i t. d.; ale potrzebują dwóch ludzi i dwóch koni, wymagają starannego przygotowania roli, działają nie szybko, a co najgorsza bardzo są delikatne i drogie, kosztują od 700 do 1000 franków. Siewalnia *Hornsby* jedna z najsztuczniejszych, obudziła w Trappes wielką ciekawość; siewalnia *Garetta*, do któréj zamiast nawozu nasypano tłuczonego gipsu, bawiła widzów zo-

stawując po sobie równe rzędy białych prążków; siewalnia *Claësa*, podobnie jak dwie poprzednie znana już na wystawie londyńskiéj, ma zaletę że jest daleko prostsza i tańsza. Francuzi w swojém rozcząstkowaném rolnictwie poprzestając na sianiu ręczném, mają wprawdzie kilka siewalni jednokonnych, ale te są bardzo mało ukształcone i rzadko gdzie używane. Celują oni za to motykami i gracami konnemi. Obok wielu angielskich narzędzi do sadzenia, okopywania i opielania roślin, odznaczyła się zaprzężna motyka znakomitego fabrykanta francuzkiego *Hamoir*.

Na tém skończyła się pierwsza połowa doświadczeń. Po przerwie półgodzinnéj, werbel bębnów oznajmił że się rozpoczyna popis żniwiarski, i cały tłum zwrócił się ku polu na ten cel przeznaczonemu.

Łan żyta był podzielony na siedm części, zawierających po 12 stometrowych zagonów (aves). Sześć tych części było przeznaczonych dla sześciu machin do żęcia, czyli tak zwanych żniwiarek, które dostawili pp. *Mac Cormick*, *Manny*, *Wright*, *Cournier*, *Dray* i *Burgess*, siódma część dla sześciu kośców, mających za sobą sześć kobiet do zbierania garści. Machiny zaprzężone stały na początku swoich wydziałów rozgraniczonych szerokiemi miedzami, kosarze uszykowani czekali także z kosami w ręku. Na dane hasło, konie i ludzie posunęli się naprzód, odkrywając pole przed chwilą osłonione wysokiém zbożem.

Machiny parokonne *Mac Cormicka*, *Manny* i *Wrighta* scięły swoje wydziały: pierwsza w minut 12, druga w minut 15, trzecia w minut 18. Machina jednokonna *Courniera* zrobiła toż samo w minut 19. Dwie inne machiny nie zdołały uzupełnić swojéj roboty; koścy zaś skończyli ją w minut 25.

Machina tedy *Mack Cormicka*, ciągniona przez parę koni i posługiwana przez dwóch ludzi, zabiera trochę

mniéj niż połowę czasu potrzebnego dla sześciu kośców z tyluż garściarkami, czyli zastępuje 12 mężczyzn i 12 kobiet.

Budowa téj machiny jest następna. Składa się ona z powozu i z pomostu. Powóz, ściśle mówiąc jest tylko dyszlem rozdwojonym z tyłu i ma kształt wideł, których ramiona są z desek grubych na kilka, a szerokich na kilkanaście cali. Między temi ramionami trzyma się oś mocna, a na niéj obraca się jedno szerokie żelazne koło, mające na obwodzie w poprzecz wyniosłe karby dla lepszego wrażania się w ziemię. Obrot tego koła służy razem i do posuwania się wozu i do nadawania ruchu całéj machinacyi. Przed kołem, na podniesionym kożle siedzi woźnica, za kołem zaś na również wysokim zedelku, trzyma się obrócony tyłem do woźnicy, a piersiami oparty o poręcz, grabiarz. Pomost czworoboczny, długości przechodzącéj wysokość zboża, a szeroki na parę łokci i obity blachą cynkową, aby nie czepiały się na nim zęby grabiów, przytwierdzony jest do ramienia powozu po lewéj ręce woźnicy, a po prawéj grabiarza, w ten sposób, że brzeg naczelny pomostu i brzeg tylny powozu są na jednéj linii, czyli że pomost idzie za powozem z boku, nie posuwając się jego torem, ale czołem swojém otwierając sobie własną drogę. To czoło pomostu dającego się podwyższyć lub zniżyć, w miarę jak ściernie ma być wyższe lub niższe, jest uzbrojone w narzędzie ścinające zboże. Stérczy przed niém kilkanaście żelaznych trójgraniastych grotów, których trzonki jednolite z niemi, tak są przedziurawione podłużnie, że przez wszystkie przechodzi poziomo piła, mająca zęby szerokie i rzadkie, to jest wycięte pod kątem bardzo otwartym. Brzeg pomostu od strony grabiarza jest niezamknięty, dwa zaś inne są ogrodzone ścianami pionowemi wysokości dziesiątka calów. Ściana przeciwna brzegowi otwartemu wychodzi naprzód daléj niżeli groty i

kończy się ostrym narogiem. Nad tąż ścianą wzniesione dwa słupki utrzymują belkę, która mając odpowiednią sobie podporę, stojącą na zewnętrznėm ramieniu powozu między woźnicą a grabiarzem, służy razem z nią do utrzymywania osi wiatraku. Oś ta równoległa do piły jest znacznie przed nią i na wysokości przechodzącéj wysokość zboża. Cztéry skrzydła wiatraku tak długie jak piła i równoległe do swojéj osi, obracają się w kierunku toczenia się powozu. Koło powozowe, ma z jednéj strony koło zębate, które za pomocą sześcierni (pignon) i drążka nadaje pile ruch poziomy tam i nazad, a z drugiéj strony kloc, który za pomocą spojonego pasa rzemiennego obraca wiatrak.

Skoro tedy machina ma działać, powinna stanąć na węgle łanu tak, aby konie miały przed sobą wolną drogę po za ścianie prawéj, a przód pomostu zajmował cząstkę ściany naczelnéj. Za ruszeniem z miejsca, naróg wysunięty naprzód grotów, odkraja połeć zboża odpowiedni długości piły, groty nakształt rozwartych palców dłoni, wchodząc w ten połeć, rozdzielają go na pęczki, które zaraz piła podrzyna, a w tymże czasie skrzydło wiatraku nagina kłosy w stronę piły i zniewala je padać na pomost. Rzęd pęczków scięty jednym ruchem piły i natychmiast zgarnięty z pomostu przez grabiarza, robi garść. W miarę postępu machiny, garści równo odmierzone zostają jedna po drugiéj na torze powozu. Powóz doszedłszy do końca ściany łanu, nie może zawracać się na miejscu, bo machina znalazłaby się od pola a konie musiałyby brnąć zbożem. Trzeba przeto skierować się pod kątem prostym w lewo, i jeśli naprzykład poczynało się od ściany wschodniéj, wziąść po niéj ścianę północną, następnie zachodnią i nakoniec południową, okrawając łan w koło aż do jego środka. W razie gdyby takie kołowanie miejsca mieć nie mogło, wypada przechodzić bez żęcia ze ściany wschodniej na

zachodnią, i jak pierwéj postępowało się z południa ku północy, tak potém iść z północy na południe, aby pomost był zawsze ze strony zboża.

Machina ta ma jednę ważną niedogodność, że drobny organizm nadający ruch pile, przez rychłe rozpalanie się kółek, łatwo ulega zepsuciu. Kiedy jednak zastanowimy się, jak w wielu okolicach u nas biedna żniwiarka z sierpem, kilka dni męczy się schylona nad jednym morgiem, a gdzie nawet natura gruntu pozwoliła zaprowadzić zwyczaj koszenia żyta i pszenicy, brak rąk nie wystarcza nigdy pożądanemu pośpiechowi korzystania z krótkiéj pogody; kiedy wyobrazimy sobie jak podobne narzędzie wydoskonalone należycie, bujałoby po naszych gładkich i niezmierzonych płaszczyznach, wynalazku tego obojętnie pomijać nie możemy. Żeby mieć dokładniejsze pojęcie o jego postępie i teraźniejszym stanie, zrobimy tu lekką wzmiankę historyczną.

Z tego co Palladius w księdze VII powiada, zdaje się że jakieś narzędzie żniwiarskie ciągnione przez jednego wołu, było u Gallów niemal powszechnie i bardzo pożytecznie używane. Jeżeli to prawda, zarzucić potrzeba późniejszym mieszkańcom Gallii cofnięcie się pod tym względem obok postępu w innych sposobach przemysłu rolniczego. Cokolwiek bądź, to pewna, że do początku wieku naszego, nikt ani pomyślił zastąpić sierp i kosę czémkolwiek lepszém. Dopiéro w r. 1807 Anglik James Smith począł robić pierwsze próby, które nie prędzéj aż w r. 1815 wydały machinę znaną pod nazwiskiem jéj twórcy. Machina Smitha ma zaprząg tak urządzony, że dyszel jest nie z przodu ale z tyłu, i konie ciągnąc pchną ją przed sobą. Obrót kół daje razem za pomocą wrzeciona ruch wirowy kręgowi poziomemu, który postępując na czele machiny, ostremi brzegami swemi ścina zboże, kiedy tymczasem kapturek lejkowaty osadzony na wierzchołku pionowéj osi kręgu, wirując podobnież

potrąca ścięte kłosy i obala je na ziemię. Machina ta zaszczycona dobrém przyjęciem na wielu popisach, nigdy w praktyce rolniczéj przyjętą nie była.

Późniéj w r. 1828, J. Bell wystąpił z nową żniwiarką. Zaprząg jéj jest podobnie urządzony jak poprzedniéj; ale narzędzie tnące należy już do innego systemu. Składa się ono z dwóch pił przystających do siebie i mających długie ostro zakończone zęby. Piły te leżą poziomo u naczelnego brzegu machiny: wierzchnia jest stała, spodnia ruchoma. Skoro tedy machina wchodzi w ścianę zboża, zemknięte zęby pił obu biorą między siebie pęczki słomy, a piła spodnia ruszając swemi zębami w lewo i w prawo, sprawuje cięcie podobne do strzyżenia nożyc sukienniczych. Kłosy padają na płótno zszyte końcami i rozpięte na dwóch ciągle obracających się wałkach, które biegiem swoim nadając bieg płótnu, zrzucają garści w jednę stronę. Machina ta równie jak poprzednia miała swoje powodzenie na popisach, ale odpychana zawsze od rolników, służyła tylko mechanikom za podstawę nowych utworów. Nie lepszy jednak los spotykał wszystkie inne narzędzia, popychane końmi, a uzbrajane czy to w kręgi sierpowate, czy w noże i kosy rozmaitego kształtu. W Europie poczęto już to zadanie uważać za trud daremny, a tymczasem w Ameryce rozwiązanie jego zbliżało się do szczęśliwego kresu.

Współcześnie z Jakóbem Smithem, rolnik Stanów Zjednoczonych Ameryki, nazwiskiem Mac-Cormick, zajmował się tymże wynalazkiem. Jeszcze w r. 1816 robił on na gruncie doświadczenia swojéj machiny żniwiarskiéj, na którą syn jego w r. 1834 wziął pierwszy brewet, ale dopiero w lat dziesiątek późniéj zdołał ją tak wydoskonalić, że w r. 1845 wziąwszy drugi brewet, przedał takich machin sto pięćdziesiąt, a w roku następnym pięćset. Książe Lichnowski będąc natenczas w Ameryce, kupił z nich jednę i sprowadził do Austryi. Fabrykanci

narzędzi rolniczych w Wiedniu, pp. Burg, skopiowali ją wiernie i do roku 1850 przedali około dwóchset egzemplarzy, a w téj chwili przeszło już cztéry tysiące tych narzędzi działało po różnych stronach Stanów Zjednoczonych.

Żniwiarka Mac-Cormicka została przeto uwieńczona przez praktykę i stała się prawdziwym nabytkiem dla rolnictwa. Widziana na wystawie londyńskiéj miała cenę 650 franków; obecna w Paryżu zdaje się być ulepszoną przez niektóre zmiany i dodatki, jak naprzykład ten, że może zniżać swój pomost i zamieniać się w kosiarkę. W Londynie wszystkie machiny żniwiarskie obok niniejszéj, były tylko rozmaitém ukształceniem pierwotworów Smitha i Bella, na wystawie paryzkiéj są już podobne do wzoru Mac-Cormicka, tojest z pomostami przy powozie. Można powiedzieć, że wynalazek ten, jeżeli nieodpowiada zupełnie żądaniu, to przynajmniéj jest już na dobréj drodze.

Po doświadczeniu żniwa wszystko obróciło się ku polu lucerny przeznaczonéj do skoszenia. Trzy z pomiędzy machin, które dopiero co były żniwiarkami, przemieniły się w kosiarki. Machina *Manny* potrzebuje na to tylko parę minut, machina *Mac-Cormicka* minut 15, a machina *Wrighta* minut 20. Żniwiarka *Courniera* nie jest usposobiona do przemiany. Obok machin stało także sześciu kosarzy.

Pole było podzielone na wydziały po 1400 metrów powierzchni. Machina *Manny* skosiła swój wydział w minut 15, *Mac-Cormicka* w minut 19, *Wrighta* w minut 20; kosarze tnąc z całego ramienia i biegiem, zdołali dorównać machinie *Mac-Cormicka*, ścięli swój wydział także w minut 19.

Skoro pole zostało skoszone, przyszły zaraz cztéry zaprzężne po jednym koniu grabie, angielskie, francuzkie, sardyńskie i kanadyjskie. Zgarniały one siano jak

gdyby już było suche i tworzyły kopy bardzo sprawnie. Sąto zwyczajnie pręty parę łokci długie, opatrzone rzędem zębów i toczą się na dwóch kołach. Szczególne ukształcenie kół i ruchomość zębów, czynią angielskie grabie Howarda zdolnemi do działania nawet na gruncie nierównym. Narzędzie to uznane już na wystawie londyńskiéj za najlepsze w swoim rodzaju, kosztuje 175 franków. Grabie konne służą równie dobrze do owsa i jęczmienia jak i do siana.

Całe widowisko zakończyło się tryumfalnym przelotem lekkiéj i raźnéj suszarki angielskiéj Smitha. Widząc tę machinę w szybkim biegu rozsypującą koło siebie tuman zieloności, zdziwieni widzowie nie wiedzieli zrazu co to ma znaczyć, aż dopiero po chwili gdy postrzegli na ziemi cienko i porządnie rozesłane płasty trawy, z uniesieniem dali oklask tak użytecznemu narzędziu.

Suszarki, czy jak się podoba je nazwać (faneuses), są wynalazkiem bardzo przydatnym wszędzie, gdzie jest obfitość łąk, lub paszy zasiewanéj, a niestałość powietrza nakazuje spieszyć z sianobraniem. Od początku wieku teraźniejszego Anglicy wymyślali rozmaite narzędzia do rychłego przewracania i suszenia ściętéj trawy. Z pomiędzy licznych systemów utrzymał się wzór podany w r. 1816 przez *Salmona* z Woburn. Późniejsze udoskonalenia i dodatki nie zmieniły głównego składu i kształtu machiny. Jestto zawsze tak zwany bęben czyli walec przejrzysty, niby beczka mająca klepki porozsuwane. Te klepki, łaty albo sztaby, uzbrojone w lekko zagięte zęby, są na sprężynach, które dozwalają im cofać się w głąb walca. Walec toczy się na kołach, a oś jego za pomocą karbów u jéj końca i w piaście jednego koła, ma ruch bardzo przyśpieszony. W biegu przeto walca, zęby sztab chwytają leżącą pokosami trawę i wartko wyrzucają w górę, zkąd opada wybornie roztrzęsiona. Jeżeli walec napotyka kępę lub wyniosłość

gruntu, sprężystość sztab niweczy zawadę. W suszarkach ulepszonych starano się ułatwić podnoszenie lub zniżenie walca wedle potrzeby, jakotéż umniejszyć tarcie karbów przyśpieszających jego obrot. W tym ostatnim celu walec przecina się na dwie połowy niezależne od siebie i poruszane osobno przez mechanizm w każdém z dwóch kół osadzony. Wszyscy celniejsi fabrykanci angielscy, Howard, Garrett, Ransome, tudzież Exhall i Andrews, robią wyśmienite narzędzia tego rodzaju; ale od r. 1846 suszarka Smitha ze Stamfordu, stale otrzymuje pierwszeństwo. Szkoda że cena jéj wysoka, przechodzi 300 franków. Francuzi tak dla drogości tych machin, jak dla rozdrobienia łąk i stalszego klimatu w swoim kraju, nie przyswoili sobie tego wynalazku. W Anglii wyrachowano, że jedna taka machina zastępuje robotę dziesięciu, dwónastu i nawet piętnastu kobiet.

EDWARD WINIEWICZ.

DWANAŚCIE LISTÓW

HETMANA MAZEPY

DO

Stanisława Mateusza Rzewuskiego

REFERENDARZA KORONNEGO.

Listy Mazepy, które tu po pierwszy raz ogłoszone, pochodzą z bogatego archiwum hetmanów Rzewuskich w podhoreckim zamku, i przypadają, jak pokazują daty na rok 1705 i 1706, kiedy Mazepa wtargnąwszy w kraje rzeczpospolitéj w sile 35 tysięcy kozaków, 150 tysięcy koni i 11 tysięcy wozów — (mylnie Erazm Otwinowski podaje siły jego na 80 tysięcy) rozciągnął się linią od Zamościa *) ku Dubnu, gdzie zdaje

---

*) We wrześniu 1705 podstąpił Mazepa pod Zamość; mając tak przeważne siły przeciw sobie Zamojski poddał się, lecz warunki kapitulacyi sam spisał; z tych ten był najosobliwszy, że kozacki komendant twierdzy tylko od pana Ordynata odbierać będzie rozkazy, garnizon zaś polski dostanie miesięczny żołd od Mazepy. Wszystko to dowodziło, iż Mazepa gdzie mógł, skarbił sobie przyjaźń potężnych panów rzeczpospolitéj, potrzebną mu w dalszych zamysłach.

się miał główną kwaterę (nie zaś w Łapizach jak powiada Otwinowski) i daléj jeszcze ku Litwie, przypierając zapewne jedném skrzydłem do Grodna, gdzie sukursa moskiewskie przybyły w pomoc Augustowi II, w sile 10 tysięcy jazdy a 20 piechoty. Kwarciane wojska stały podówczas koło Kowla. Zapewne musiał tam znajdować się i Referendarz koronny, mąż również biegły w rzemiośle wojenném, jak i statysta, bo dwakroć posłował do Porty, w skutek których traktowań doprowadził zwrót Kamieńca-podolskiego, trzymanego przez Turków. Za tyle zasług konferował mu król hetmaństwo polne koronne, a po śmierci Adama Sieniawskiego hetmaństwo Wielkie. Treść tych listów Mazepy, odnosi się szczególniéj do użaleń nad uciążliwościami jakie musiał odbierać od Referendarza koronnego z powodu konsystencyi półków kozackich ciążących niezmiernie na tych ziemiach, gdzie były rozłożone. Widać w tłumaczeniu się Mazepy, że radby wszystkiemu dogodzić, lubo się skarży, że jego kozaków ruguje z konsystencyi *efrenata licentia* panów związkowych (z konfederacyi Sandomierskiéj stojącéj przy Auguście). W ostatnim zaś liście (12) datowanym 10 lutego 1706 roku, powiada, że właśnie posłał na Litwę 3,000 kozaka dla powstrzymania ciągnącego nieprzyjaciela, i że sam niebawem ruszy się ze swojéj statiwy, albowiem kurier z Moskwy przyniósł mu rozkaz skupić wojska swoje pod Dubno, i *unitis viribus* iść ku Litwie do boku Jego Cesarskiego Prześwietnego Wieliczestwa. Pokazuje się z tego, że już przewidywano niefortunną koléj jaka miała

spotkać wojska Saskie i Rossyjskie pod Wschową, gdzie na d. 13 lutego Reinszild jen. Szwedzki pobił na głowę Saskiego Szulemburga, tem bardziéj ze król Szwedzki ze swojéj strony ciągnął ku Litwie, gdzie wiedział iż August wsparty licznemi posiłkami rosyjskiemi umyślił stawić mu opór. Cała ta kampania jak się pokazuje, najgorzéj prowadzona przez partyję sasko-rosyjską, wzięła obrót cale inny;— za zbliżeniem się Szwedów wojska poszły w rozerwanie: litewskie wojsko cofnęło się na Białoruś; August z Sasami, dywizyą Szmigielskiego i jazdą Moskiewską przebiérał się z Grodna do Krakowa, gdzie Szwedów niebyło; albowiem należało do smutnéj taktyki, téj nieszczęśliwéj wojny srodze niszczącéj kraj, nietyle szukać nieprzyjaciela i stawić mu czoło, ile grassować po dobrach partyzantów przeciwnéj strony.

Tyle, co do chwilowego położenia, w którém były pisane listy Mazepy. Co zaś do osoby samego Hetmana wojsk Zaporoskich, wielka ta postać ostatniego z kozackich Hetmanów popularną jest u nas, ze strony miłośnych jego przygód dostarczających obfitego materyału i naszym poetom, jak Zaleski Bohdan i Słowacki Juliusz, i obcym, jak Byron, Puszkin, Bułharyn. Koléj zaś jego życia na hetmaństwie, kiedy to musiał być i żołnierzem i politykiem, mniéj jest znaną, a przynajmniéj nie tak wyjaśnioną i obrobioną, aby piszących w tym przedmiocie niepomówić, iż z jednostronnych czerpali źródeł. Dwa tego rodzaju ważniejsze są pisma, jedno hr. Alexandra Przeździeckiego w Atheneum (1 zeszyt, oddział 2gi r. 1842), gdzie

są także i listy Mazepy pisane po polsku, jako to do Piasoczyńskiego Starosty Ułanowskiego z obozu pod Lubarem 1704 r. i do Stanisława Leszczyńskiego datowany z Romna 1708 r. aby przybywał czemprędzéj z wojskiem, albowiem jak mówi: »Moskwa zaczęła *hramotami* swemi prosty fomentować naród, i *civile* wyrabiać *bellum*.« Inne listy z polska po rusku pisane, a przytoczone przez Przeździeckiego zawierają miłośną korespondencyę 60 letniego hetmana z młodą Motroną Koczubejowną, któréj wyznaje iż *jeszczo niekoho na świecie nie lubiw tak.* — Drugie dzieło dające obszerną wiadomość o Żywocie Mazepy, jest: *Ukraina i Zaporoże czyli historya kozaków* przez J. N. Czarnowskiego (Warszawa 1854). Jak w jednéj tak i w drugiéj pracy opartéj najwięcéj na rosyjskich źródłach, Mazepa wystawiony jest jako potwór niewdzięczności, nietylko względem Piotra W. ale i innych swoich przyjaciół moskiewskich, jako wreszcie ciemiężyciel i zdzierca kozaczyzny. Zapewne, usunąwszy tylko z przed oczu cel do jakiego Mazepa w bardzo trudnych postawiony stosunkach, ciągle zmierzał na swoim urzędzie hetmańskim, postępkom jego, wziętym ze strony oficialnéj można zadać fałsz machiawelski, zdradę i niewdzięczność. — Uważając go zaś jako statystę czyli jak dziś mówimy polityka, odkrywa się w nim niepospolity człowiek, szerszego poglądu, kochający swoje Zaporoże, pojmujący ducha cywilizacyi, zgoła charakter i umysł wyższy jaki tylko mógł się był wychować w Rzeczpospolitéj, co choć szła do upadku, niemniéj jednak żywiła w sobie wiel-

kie tradycye swobód obywatelskich i Kościoła. Trudna gra, którą z Piotrem W. tak mądrze prowadził, że ani żadne oskarżenia Koczubeja, ani tylokrotne intrygi zazdrosnych niemogły go z łaski Cara wyrzucić aż do chwili, w któréj sam się odsłonił i przeszedł na stronę Karola i Leszczyńskiego, najlepiéj świadczy o jego zdolnościach. Widać to z listów jego i licznych stosunków z pierwszemi osobami w Rzeczpospolitéj do czego zmierzał, i jak sprawami kierował, przyjaciół bowiem miał tak w jednym jak w drugim obozie, zawsze rachując na to, że któraś partya górę weźmie i ustali się w narodzie, a on dopiéro stanie przy niéj otwarcie i zapewni niepodległość Małorusi. Świetne zwycięztwa Karola XII wdzierającego się w głąb Moskwy, zdecydowały go; lecz nieszczęśliwa Półtawska bitwa nietylko niedała mu używać owocu długoletnich usiłowań, ale jeszcze potępiła go w oczach pisarzy sądzących człowieka z jego powodzeń. Mógłby kto zarzucić, że właśnie tym krokiem przyspieszył upadek Ukrainy i swobód Kozackich; — lecz wiadomo, że i bez tego Piotr W. niemógł znieść téj kozaczéj buty, i często odgrażał się, że kozaków zmieni na półki regularne, a Małoruś na gubernią. Pewnego nawet razu miał porwać Mazepę za wąs i powiedzieć: *Czas już wziąść się do was.* Współcześni i z jednéj i z drugiéj strony lepiéj zapewne znali charakter Mazepy. Jakoż Teotym Prokopowicz historyk Piotra W. osobiście Mazepę znający, tak go kreśli: Mazepa był oddany Polakom i nienawidził Moskali, ale nikt tego uczucia niezdołał w nim do-

strzedz, zawsze bowiem okazywał im poświęcenie się, miłość i poszanowanie. Umysł jego śledził postępki ludzi, ważył każde słowo, starał się przeniknąć myśl, a tak był skryty i ostrożny, że częstokroć zdawał się niepoznawać na dwuznaczności. Niekiedy udawał pijanego niebędąc nim, chwalił szczerość, powstawał na chytrych, rozpalał mówiących i podchwytywał ich tajemnice.

Erazm Otwinowski w swoich pamiętnikach tak samo go wystawia: »Mazepa, ów wielki hetman zadnieprski, że się był do Szweda udał, uczynił to jako starożytny szlachcic polski, *non alio intuitu*, tylko miłością kraju pałający, rozumiejąc że tym sposobem z całem Zadnieprzem powrócić się może do Rzeczpospolitéj.... Był on godności i przymiotów wielkich, żył w wielkiém szczęściu będąc u narodu całego *in amore venerativo et adorativo timore.*«

Pokazuje się z tych świadectw, wziętych z dwóch stron wprost sobie przeciwnych, że krok Mazepy był wypływem jego przekonań, skłonności i niepodległéj woli, nie zaś skutkiem jakicheś romansowych namów staréj księżny Dolskiéj, lub intryg Jezuity Załęskiego. Jeżeli historycy rosyjscy radzi powtarzają jako cała wojna o Dymitra Samozwańca, była dziełem Jezuickich konszachtów, jeżeli toż samo mówią o Mazepie, dając mu wzgardliwy przydomek: wychowańca Jezuitów zapewne za to, że się chował na dworze Jana Kazimierza, i że O. Załęski z tow. Jezusowego był jego przyjacielem, a może i spowiednikiem;— tedy dziwno jest czytać w wyż przytoczonéj: Historyi Kozaków *napisa-*

néj (jak stoi na tytule) *według najlepszych źródeł*, ubliżające uwagi wielkiéj historycznéj postaci Mazepy, którego autor to *wychowankiem jezuitów*, to niewdzięcznikiem, to zdziercą być mieni; posuwając to jeszcze daléj, gdy mu odejmuje wszelkie wyższe pobudki, a za jedyny bodziec naznacza żądzę zbogacenia się i ambicyę w wyniesieniu się na jakie udzielne księstwo. Smieszny to sposób oceniać kroki ludzi wysoko postawionych, zawsze i tylko na skalę interesu i ambicyi, kiedy od tego uczucia mało kto wolen, gdziekolwiek go los postawił. Sięgać zaś Hetmanowi obu Ukrain po berło udzielne, niezdradzałc to przecież tak nadzwyczajnéj dumy, żeby postępkom jego i usiłowaniom niemożna było innéj, istotniejszéj a nawet szlachetniejszéj naznaczyć przyczyny. Wartoby tę zajmującą figurę wystawić w takiem świetle, coby nietylko z jednéj padało strony.

L. S.

LIST I.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie

Stanąwszy tu szczęśliwie w Dubnie na zimowey Consistencyey nie ustawam *in cursu candidus* Braterskiego affektu *Stadiodromus*, który nietylko *ago indistans*, lecz *pennato* prawie *amore involo in charitativos* WMości Pana *amplexus*, przypominając się *remoto calamo* tey WM.

Pana konfidencyey, która nas *ad praesens in unionem animorum stricto* spoiła *foedere*, iakoż przyznam to *sine fuco*, że gdziekolwiek *subsistam*, na każdym miejscu *Coelum non animum mutabo*. O Szwedach rozgłosiła tu u nas *loquax fama*, jakoby w 12 tysięcy przeprawiwszy się przez most pod Warszawą, *tendunt et intendunt* gdzieś *Marsem irruere*, co ieżeli *actu verificatur*, tak rozumiem że dotąd *constat* WMPana *in contiguitate* Warszawy zostającemu, iakom tedy raz oddał WMPanu *sub regimen*, et *Umbonem* Jego Protectiey, Nakaźnego mego Czernihowskiego Połkownika, y Półtawskiego Połkownika, z inszemi Nakaźnemi Półkownikami tak *eo vigore* racz WMPan ich do wszelkich operaciej y akciej woiennych, poufale zażywać, ktorzy niwczym nie powinni będą nutibus y ordinansom WMPana *recalcitrare*. W Targowicy będąc zostawiłem tam na zimowey konsistencyey dwa Połki Samusia y Iskrę [1]), Gubernatora zaś tameyszego ieszcze ztamtąd nie expediowałem zapatruiąc się na Jmc Pana Kunickiego, do którego we wszystkim tym, o czymem z WMPanem *ad praesens* konferował, przez Jmć Pana Baranowskiego Połkownika Jego Krolewskiej Mości Ordynacyey Ostrogskiey referowałem się, na co czekam rezolucyey. Do Brod także ordynowałem dwa Połki na Consistencyą, Perejasławski y Łubenski, gdzie lubo w mieście iuż na zimowych kwaterach *subsistunt*, jednak do Zamku Gwarnizonu wprowadzać

---

1) *Samuś* jeszcze przez Sobieskiego naznaczony był Atamanem kozackim na miejscu Mikuty. Razem z Palejem łupieżył on polską Ukrainę; dopiero w 1703 schwytał Paleja Mazepa i odesłał na Sybir, Samuś zaś poddał się i został pułkownikiem bohusławskim. *Iskra* połkownik półtawski wraz z Koczubejem należeli później do oskarżenia Mazepy o zdradę przed Piotrem W. obydwóch oskarżycieli nie nagroda lecz spotkała kara, w Berszarówce pod Białocerkwią spadły ich głowy.

ieszcze Gubernator tameyszy wzbrania się y *nititur in adversum*, *laetor* przeto speransą *votorum*, że po długim dąsaniu się zechce *Praesidiarios nostros* do Fortecy wpuścić, o czym *omni arte* starać się *iniunxi*, niechay tedy, tak Imć Pan Woiewoda Bracławski [2]) z Brodami, jak y Jmc Pan Kunicki [3]) z Targowicą co mają czynić czynią, *celeritate agendorum*, bo *res non patitur moram*, lubo *cunctatione senescunt consilia*. Co WMPana *pro rectitudine et aequanimitate mea* doniosłszy, znam się bydź *aeviterne*

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem
y sługą uniżonym
Jan Mazepa Hetman y Kawaler
Jego Carskiego Prześwietnego Wieliczestwa
Woysk Zaporozkich m. p.

P. S. Oznaymuię WMuPanu pocieszną nowinę, y w teraznieyszych koniuncturach pożądaną, iż Commissia graniczna *felici eventu* z Portą Ottomanską doszła y na pismie a nie kopcami potwierdzona, którą po śmierci Tureckiego kommissarza Bender Basza z Beia *creatus* zakonczył, o czym od Kommissarza Naszego dając znać *citissimis passibus* Kurier do dworu Jego Carskiego Wieliczestwa pobiegł.

w Dubnie 9bis 22 V. S.
Anno 1705.

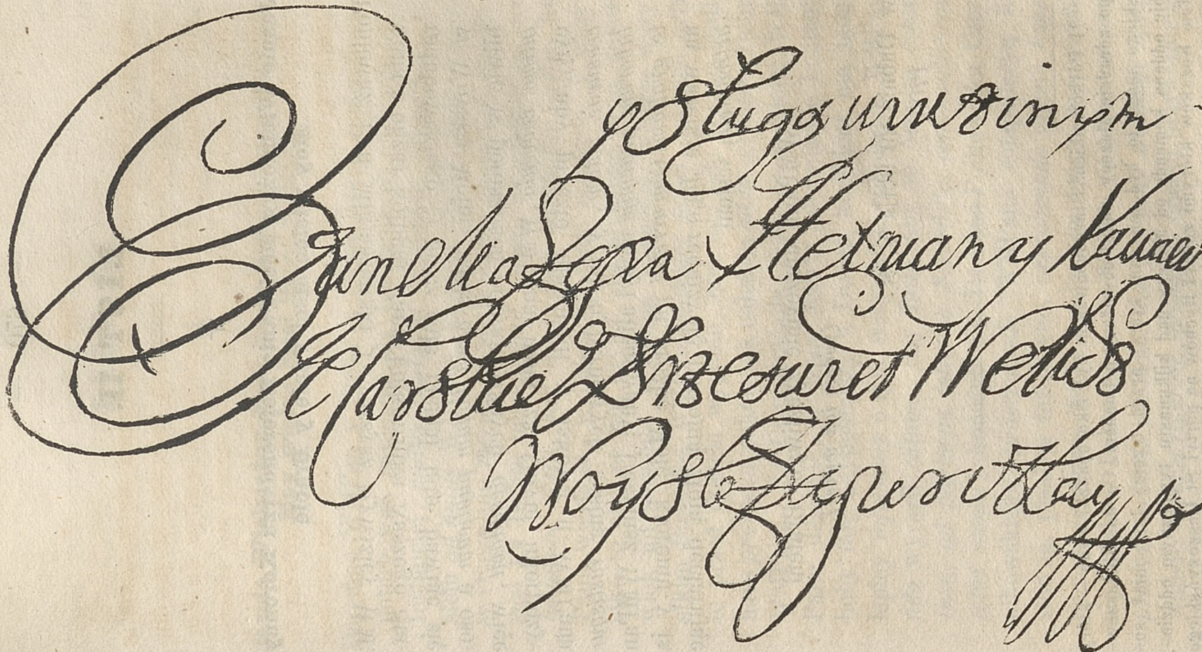
+

(Adres:) Jasnie Wielmożnemu Jmsci Panu Rzewuskiemu Refferendarzowi Koronnemu, Memu Wielce Msciwemu Panu y Bratu.

---

[2]) **Koniecpolski Jan.**

[3]) **Kunicki podczaszy czernihowski, z którego córką ożenił się Rzewuski ref. kor.**



LIST II.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny
Moy wielce Msci Panie y Bracie

Ponieważ Pan Mikłaszewski Towarzysz Dywiziey WM. Pana a blizki kolligat Pana Połkownika Naszego Starodubowskiego [3]) przez całe niemal lato bawiąc się w Woysku Moim, wiele *circa bonum publicum* a osobliwie w podiazdach odprawowanych *desudavit*, więc *intime convenio* WMPana moią za Onym interpozycyą, aby przezto niepopadł w iakową u WMPana *censurae notam*, y od hybernowych zasług *iustisque laborum praemijs* niebył alienowany; Uczynisz WMPan te *gratiam Concurrenti* na prożbę Moię, którému y ia na wszelkie Jego requizycię powolną Moją declarując *activitatem*, iestem

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem
(podpis iak wyżéj).

w Dubnie 29 9bris V. S.
1705.

---

[3]) **Półkownikiem Starodubowskim był Skoropadzki Iwan — który po zdradzie Mazepy został obwołany hetmanem. Co do Mikłaszewskiego mógł to być ten sam który przed trzema laty miał sobie oddaną komendę od Mazepy nad kilkunastu tysięcznym oddziałem Kozaków którymi zdobył Bychów na partyi St. Leszczyńskiego**

LIST III.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny
Moy wielce Msci Panie y Bracie

Daremno WMPan y Siebie y Dwor Swoią Compellacyą poturbował, ponieważ Ja bez żadnych Ordinansów y Instanciej, *multis titulis et nominibus* obligowany iestem *ad nutus* WMPana, ktorego wielkie Imie, *magna* w Oyczyźnie *merita*, wysokie *animi qualitates*, *indefessum* ku Dobru pospolitemu *zelum*, nieprzekonaną *nec bellorum aestu*, *nec conjuratae hostilitatis aestu*, ku Panu wierność, w należytey mam obserwie, y wszystko to chętnie rad czynić, dla przysługi Jego, cokolwiek mi *mandata* WMPana *iniungunt*, w czym wszystkim Samegoż WMPana *obtestor fidem*, gdyżem *actu* to przed czasem wypełnił, nim mię ode Dworu Ordinans *praevenit*, cokolwiek należało *ad integritatem* Dobr. WMPana. Za Communicatią *Sciendorum* wielce WM. Panu dziękuię, z czego iestem niezmiernie kontent, boby mię naypoufalszy u Dworu konfident nie mogł lepiey *informare* o tym wszystkim, cokolwiek WMPan *fido* wyraził *calamo*, day Boże áby te *Senatus consilium*, *ad publicam internae Securitatis conservationem*, *felici eventu* zakończyło się. Do Pana Połkownika Czernihowskiego *praeveniendo* WMPana compellacyą listowną, pisałem iuż dawno, *exprobrando* onemu *temerariam licentiam*, że bez ordinansu mego, rezolwował się ludzkiey Połku swego w Zołkwi y Olesku *ex proprio suo arbitrio* lokować, ktorych żeby z tamtąd sprowadził, *serio et rigorose intimando* onemu przykazałem,

tylko chciey WMPan choć z Ziemi Lwowskiey *supplere vices* tey Zołkiewskiej Consistentiey iakowemi wioskami, według Swoiey deklaracyey. Dispozyciey Dworu Jego Krolewskiey Mości, niechcę *recalcitrare*, *et contra torrentem niti* iednak racz WMPan *angustias* Zimowych kwater w Ziemi Chełmskiey w przezorną swą wziąć animadwersią, dla ktorych (iako do mnie Pan Połkownik Połtawski pisze) do tych czas ludzi *Regiminis mei sub rigido et frigido coelo*, po ulicach po pod płotami bez konsistenciey mizeruiąc się *excubant*, a drudzy nie mogąc dłużey *tanta mala pati*, *qûa datâ Portâ ruunt* uciekaiąc ku Domowi, Sprowadziwszy zaś ich ztamtąd niewiem gdzie mam lokować, ponieważ tu wszędzie *non datur vacuum*. Zwłaszcza gdy rożni JchMMXżęta y Senatorowie w Woiewodztwie Wołhyńskim to instancyami y Ordynansami ode Dworu, to usilnemi swemi reqwiziciami pouwolniali *opulentissima* Dobra Swoie *a publico onere hybernali*, Szlachta zaś uboga pod tym ciężarem *ingemiscunt*, y *acclamationibus auras et aures implent*, że to iest *novum emergens*, *locatio* Woysk w Dobrach Dziedzicznych, Jakom tedy raz oddał w Protectią Połkownika mego Połtawskiego WMPanu, y Ordinansow Jego słuchać we wszystkim rozkazałem, tak racz WMPan z nim o tym *conferre*. Pan Połkownik Czernihowski, iako do mnie pisał w liście Swoim Cedułę, tę posyłam do rąk WMPana, ktorą roskaż WMPan komukolwiek umieiącemu po rusku, przeczytać, y wyrozumiawszy *contenta*, *cohibere loras* tey insolencyey. O co WMPana *geminata prece conveniendo*, z tym się deklaruię żem iest

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(*podpis jak wyżéj*).

P. S. Powtornie *conqueror* na codzienne turbacye, dla ktorych ostatnią zdrowia *medullam* utraciłem, *beatior* WMPan w tey mierze iestes, ponieważ tak w puchowe zaszyłeś się pierzyny, że choćby kto y szukał nie łatwo znaydzie, a u mnie na obozowym woyłoku, czy to siedzącego czyli leżącego, łatwo każdy może *adire Corynthum.*

w Dubnie 10bris 2 V. S.
Anno 1705.

LIST IV.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie

List WMPana tak dawnieyszy przez Pocztę przy liście Xzcia Jmsci Posła, iako y teraznieyszy przez Wielmożnego Jmsci Pana Podczaszego Czernihowskiego MPana, *cum eâ quae par est magno* WMPana *Nomini observantiâ* przyiąłem, z ktorych *suavissimam grati mei sensûs colligo dulcedinem*, iaką poty nie mogę *ad satietatem saturari*, poki *associatum* mnie *bellicis laboribus, et stricto* confidencyey *glutine* WMPana, *personali amplexu* nieuwenerurię, ktorego praesencyey, *cum toedio* et *ferventi desiderio expectans expecto.* O Ewakucyey Woyska Commendy moiey, z Dobr Krolewskich y Duchownych w Woiewodztwie Bełzkim, y Ziemi Chełmskiey, żadnego dotąd *de super* nie miałem y niemam ordinansu, oprócz tego, że mi *imposita cura supremo mandato*, abym 10 tysięcy Woyska *Re-*

giminis mei ordinował przy Generale Saxonskim ku Krakowu y Sandomirzu, O czym posłałem iuż ordinanse moie do Panow Połkownikow Czernihowskiego, y Nakaznych Niżynskiego, Hadiackiego y Łubenskiego żeby się do Marszu gotowali, Co iezli się nie odmieni, tedy pewnie w Woiewódzwie Bełzkim, y Ziemi Chełmskiey *ampliabitur* diwizyey WMPana zimowa Consistencia, a Jabym rad *in instanti desiderijs* WMPana parierując *actu* one *exequi*, ieśliby mi Sama *extrema impossibilitas* do tego *non impediret*, ponieważ ewakuowawszy ich ztamtąd, pewnie nieznaydę *manentem Civitatem* dla konsistenciej onych, gdyż ta w Woiewodztwie Wołynskim Diwizie JchMość Panow Marszałka Związkowego [4]), Kasztelana Połanieckiego [5]), y Lubomirskich, tak mię scisnęli, że boday *ad ultima resolutoria* nieprzyidzie, zwłaszcza kiedy JchMM nazbyt niedyskretnie postępuią, Woyska moie affrontuią, y z kwater ruguią, nie kontentuiąc się krolewskiemi y Duchownemi Dobrami, ważą się *in alienam messem immitere falcem cum dolendo praejudicio* wydzielonych nam kwater, na Polesiu zaś około Owruczewa y daley, ciż Panowie Związkowi wszędzie *subsistentiâ suâ* pozastępowali mieysca, Owo zgoła *multa uno complector verbo*, że *non datur vacuum*. Dobra Krolewiczow JMC uwolnione są dotąd od Konsistenciej Woyska mego, oczym niedopiero pozasyłałem ordinanse moie, dokąd diwiziey WMPana *parata est via*. O Targowicy konferowałem Ja ustnie z JmćPanem Podczaszym Czernihowskim MPanem, z ktorym *constitutum*, aby tam ieszcze ludzie moi mogli *subsistere*, ponieważ mam *ex relatis*, że JMPan Obozny Ko-

---

[4]) **Chomentowskiego Starostę radomskiego.**

[5]) **Felicyan Czermiński kaszt. połaniecki był substytutem Denhofa Łow. w. k. lit. Marszałka Konfederacyi Sandomirskiéj. Najdzielniejszy to ze stronników Augusta II.**

ronny [6]), coś *molitur*, y *intendit* iakowyś experiment nad temi ludźmi uczynić, iako i z listu Jego łatwo *devenire in cognitionem* przeciwnych imprez, ktory do mnie adresował. Za Communicacyą *Sciendorum*, wielce WMPanu dziękuię, y o kontinuacyą tegoż affektu Braterskiego uniżenie upraszam, ktoremu Siebie Samego *cum omni Studiorum genere insinuo*, znaiąc się bydź *aeviterne*

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem
(podpis jak wyżéj).

P. S. Po dokończonym tym liscie doszedł mię teraz dopiero drugi od WMPana *de data praesentis* 18 list, w ktorym wyrażone *Contenta* że tenże sam *concernunt* interess, o czym tu piszę przeto *non multiplicando entia sine necessitate*, referuię się na tenże samy respons.

w Dubnie 10bris 10 V. S.
A° 1705.

LIST V.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie.

Nie może nigdy z życzliwego, y *multis titulis ac Nominibus*, do Usług WMPana obowiązanego mego Serca,

---

[6]) Lubomirski.

Wielkie WMPana Imie *evanescere*, y *evacuari*, ponieważ *magnitudo* onego *adimplet* zawsze poufałą Correspondencyą uprzeymey propensiey *mensuram*, wzniecasz WMPan y teraz *dulces in grato meo pectore* faworow y affektow swoich *recordationes*, kiedy się to *fido calamo*, to Communicatią publicznych gazet, przypominasz, gruntując we mnie *omnes in usus* dożywotną obligacyą. Dziękuię tedy za ten WMPana *Candor*, *altâ quae emerito* Jego *debetur Ministerio et honori submissione*, y o kontinuacyą teyże samey przyiaźni, ktora nas *consociatis laboribus* na przeszłey Campaniey *copulavit* uniżenie upraszam. O Ewakuacyey Woyska mego z Dobr Krolewskich y Duchownych, w Ziemi Chełmskiey, iużem Ia raz przedtym niedawno w liscie moim *cathegorice* WMPana *mentem meam explanavi*, a teraz niechcąc *unum idemque bis repetere*, *et multiplicare* z tym się *repetitis et infinitis vicibus* manifestuię że *sine termino* iestem

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(podpis jak wyżéj).

P. S. Podaię to WMPanu do uwagi y przezorney animadwersiey że ieslibym tak wielką qwotę 5 tysięcy Woyska sprowadził z Dobr Krolewskich i Duchownych w Ziemi Chełmskiey gdzieżbym ich miał *per commutationem* lokować, ponieważ tu na Wołhyniu zewsząd iestem tak od Diwiziey IchMPanow Hetmanow Koronnych iako y od IchMPanow Związkowych scisniony, że y do tych czas nie maiąc Consistenciey, niektorzy się od wsi do wsi włoczą. Chciałem Ia wprawdzie *alleviare onera* Ziemi Chełmskiey, y niektore mieysca dla diwiziey WMPana *evacuare*, naznaczywszy zimowe qwatiery także *per commutationem* Woyska

mego w Stanisławowie, gdzie dla wiadomości ludzie moi będąc, gdy ztamtąd powrocili, uczynili mi relacyą, że tam *deserta Colonia* w samym miescie y po wsiach zgoła ludziey niemasz oprocz tylko tych ktorzy *mendicantibus* żyją Suffragijs, toż samo *confirmavit* ImcPan Szumlanski Synowiec ImcOyca Eppa Lwowskiego ktory mi *retulit* że ludzie wszyscy pouchodzili w gury obawiaiąc się Kozakow, dla ktorych wielkie w tym kraiu *augentur metus et metus*, a tak com tam miał lokować Woysko moie iuż *contrarius eventus spes meas elusit.* Zaczym chciey WMPan do tego czasu bydź cierpliwym nim się ruszą ztamtąd Woyska Directiey moiey ku Krakowu i Sandomirzu.

w Dubnie Xbris 18 V. S.
A° 1705.

LIST VI.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Refferendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie.

Częsta WMPana correspondencia bynajmniey mnie *non onerat*, owszem *ornat* mi auctią honoru który ztąd *assumo* sobie. Poczty także tak w Publicznych jako y prywatnych WMPana interessach do mnie adressowane, żadne mi nie czynią *gravamina*, kiedy to wszystko *alleviat amor* którego *propensione* zawsze *feror* ku WMPanu. Requizycia WMPana, *ratione* ewacuowania Woysk *mei regiminis* od konsystenciey z Dobr

Krolewskich i Duchownych w Woiewodztwie Bełzkim y Ziemi Chełmskiey, teraz *felici eventu effectuatur*; ponieważ odebrałem swieże od Naiasnieyszego Principała Mego Jego Carskiego Przeswietnego Wieliczestwa takowe *mandatum*, abym szesć albo siedm tysięcy Woyską *mei regiminis* ordynował w Woiewodztwo Sędomirskie albo Krakowskie do ImcPana Generała Brudzewskiego, o czym iuż zasłałem ordynansy tak do Pana Połkownika Czernihowskiego iako y drugich PP. Połkownikow w Woiewodztwie Bełzkim y Ziemi Chełmskiey subsistuiących, ażeby *congregatis viribus, in coniunctionem armorum quam citissimo passu* tamtędy iterowali; Po ktorych odeściu, iako wiele kwatyr wolnych w Dobrach Krolewskich y Duchownych zostanie, chciey WMPan na tych wszystkich *ad beneplacitum sui* Chorągwie swoiey Dywizyi lokować. Z Zołkwi y Oleska Towarzystwo *pari motivo* zaraz ustąpią, ponieważ za swemi Połkownikami w tąż drogę muszą *properare*. A że onych y pierwiey ztamtąd Pan Połkownik Czernihowski niesprowadził, y *renuit* w tym roskazowi memu, więc piszę do Onego exprobrując Jemu *hanc temeritatem*. Przy tym na wszelkie *nutus* WMPana Moją chcąc accomodować przysługę iestem

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(*podpis jak wyżéj*).

w Dubnie 20 10bris. V. S.
1705.

LIST VII.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie.

Iużem Ia o ewakuacyey Woysk *Regiminis mei* z Dobr Krolewskich y Duchownych pisał do WMPana *toties*, *quoties* mię zachodziła od WMPana requizycia o tym. Wypisywałem *profusissimo stylo impossibilitates*, produkowałem *evidentissimas angustias*, któremi zewsząd *coarctor*, energizowałem na ostatek *haec mala*, jakie Woysko moie *patitur* y po dziś dzień *sub tecto Jovis* campując. Teraz zaś gdy do mnie pisze Pan Połkownik Połtawski, *enucleando* mi wolę *et mentem* WMPana, która *a Supremo mandato* oboygu Naiasnieyszych Monarchow *dependet*, aby on w Ziemi Chełmskiey z Dobr Krolewskich y Duchownych ustąpił, *parando viam* diwizyey WMPana, przeto lubo Ia o tym żadney naymnieyszey niemam Noty, y ieszcze tu u mnie takowego ordinansu *facies non apparuit* ode Dworu Monarchi mego Iego Carskiego Wieliczestwa y Iego Krolewskiey Mości, iednak *parendo necessitati et parcendo tempori*, *cogor ad consensum et ad effectuationem desideriorum* WMPana, *salva* iednak *hac conditione*, iesli WMPan *per commutationem* tych Dobr Krolewskich y Duchownych, tamże w Ziemi Chełmskiey, pokaże mieysce na Subsistencyą w Dobrach Dziedzicznych, ktoreby mogły *coaequari* Dobrom pomienionym Krolewskim y Duchownym, *sin secus*, tedy *evacuatio* ta inaczey niemoże *subsequi*, chiba tym sposobem, żeby ten Połk Połtawski do domu odpuscić, czego żadną miarą uczynić nie bez wyraznego ordinansu Naiasnieyszego Principała Mego niepodobna, ponieważ

mi to przez Pana Skoropackiego *specialiter demandatum*, aby Połkownik Połtawski *attendere securitati* Fortecy Zamoyskiey, y *in casu ingruentis periculi* starał się *vim vi retundere, praeterire* zaś *terminos* tego Ordinansu, y oddalić Połk Połtawski dla tych Consistenciey od Zamościa, uważ WMPan Sam iakie ztąd *sequuntur* honoru i życia mego *discrimina*, iakoż Sam WMPan możesz *sapientissimâ trutinâ* u Siebie to zważyć, iż u Nas *pro suprema lege mandata Principum coluntur*, y *stricte observantur*. Jesli przeto WMPan cale tey chce ewakuacyey, tedy racz WMPan lub do Dworu pisać o tym; gdzie każą Połk Połtawski obrocić, lub *per commutationem providere* mu *coaequalem subsistentiam*, żeby z Dobr Duchownych y Krolewskich ustąpiwszy, mieli gdzie *caput reclinare*. Piszę Ia o tym y do Pana Połkownika Połtawskiego *ut conferat* z WMPanem, iako z tym ktory umiesz *rebus succurrere lapsis*, y w takowych trudnosciach *discernere causas*. Pomiarkuie to wszystko *altissimum* WMPana *iudicium et provida* w tych circumstanciach *cura*. O co y Ia *ex statione mea* proszę, y tym *obsigillo* chęci moie żem iest

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(podpis jak wyżéj).

PS. Pisał WMPan do mnie, abym *pro sappetijs* zostawił tam w Woiewodztwie Bełzkim y Ziemi Chełmskiey kilka tysięcy od Pana Połkownika Czernihowskiego *in casum alicuius periculi*, gdzież te tysiączne Woyska będą się miescić kiedy jednego Połku Połtawskiego *residuitatem* Ziemia Chełmska niemoże *complecti* y *continere*.

w Dubnie Xbris 24 V. S.
A° 1705.

LIST VIII.

+

**Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny
Moy wielce Msci Panie y Bracie.**

Czesto to bywa że nie zawsze *praesagia effectuantur:* bo *fallitur augurio spes mala saepe suo*, nie dziw tedy że y WMPana *praesaga mens praeiudendo* y *praesentiendo* iakoweś we mnie Correspondencyey Swoiey *fastidia*, niemoże nigdy onych doyzrzeć, y *augurij sui sortiri effectum*, ponieważ tak mnie wzaiemna przyiaźń *in unam* prawie *compagem* z WMPanem *conglutinavit* że *communicativo jure unum velle unumque nolle* chce z WMPanem participować, iakoż bynamniey nieważyłbym się *refrago animo menti* WMPana ktora *nititur* na Woli Iego Krolewskiey Mosci z samego początku *reluctari*, y pewniebym *promptissimo Studio desiderijs* WMPana *assentire* nieodmowił, gdyby mię od tey Ewakuacyey, *solidas rationes*, iakie w kilkokrotnych moich listach WMPanu *luculentissime explanavi*, nie wstrzymywały, ieżeli tedy pioro *sua celeritate et innata levitate* tak nieostrożnie *lora remisit*, że *suo impetu* w czymkolwiek WMPana dotknęło, y *benevolum* Iego ku mnie *irritavit affectum*, proszę uniżenie *parce petenti*, y niechciey tego *vitio imputare* bo Ia *sine omni vicissitudine*, znam się bydź *aeviterne*

WMPana uprzeymie życzliwym Bratem

(*podpis jak wyżéj*).

P. S. Dzisiay pożegnali mię IchMMPP Kasztelan Rawski [7])

---

[7]) Hieronim Załuski — podług Spisu Kasztelanów w Skarbcu.

Marszałek Woysk Skonfederowanych, Kasztelan Połaniecki, po trzydniowey goscinie odiechawszy, ktorzy IchMM inszego tu u mnie *non proponebant, et non usurpant*, tylko Consistenciey, Ia zaś y sam daley *quo me vertam nescio*, będąc *ab utrinque* dość na szczupłych Consistenciach *coarctatus*.

w Dubnie *Ianuarij* $^{15}/_{6}$
A° 1706.

LIST IX.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie.

Ieżeli list moy o ewakuacyey Dobr Duchownych y Krolewskich, w Woiewodztwie Bełzkim, y Ziemi Chełmskiey, nieostrożnie *benevolum* WMPana ku mnie *animum irritavit*, y *delicatam* Iego *mentem sauciavit*, zkąd WMPan snać *patitur telis vulnera facta meis*, kiedy na to *interpres* WMPana *conqueritur litera*, tedy iakom niedawno *vicario calamo* przepraszał WMPana tak y teraz chcąc te serdeczne blizny *mederi*, nie inne applikuię y *appono anthidota*, tylko te abyś WMPan chciał *parcere subiectis*, a w dalszy czas *cautius procedam*, ile tego, ktorego Wielkie Imie, y życzliwą correspondencyą zawsze *in ore et amore pro suavissimâ* mam *ambrosiâ*, iaka wszelką *pellit* od siebie *nauseam*, A ieżeli to WMPana *tangit et angit*, żem *ad primam* Iego *requisitionem* nie ewakuował Dobr

Krolewskich y Duchownych w pomienionym Woiewodztwie Bełzkim y Ziemi Chełmskiey, tedy y tego niechciey WMPan *vitio imputare*, zważywszy *altissimo suo iudicio* tak *strictam observantiam* Ordinansow *huius Potestatis à qua dependeo*, iako y *angustias consitentiey* Ludziey *Regiminis mei*, ktorzy mi *quaerulos* niepoiednokrotnie *interponebant dolores*, że w Lubomlu, Ratnie, y po tey stronie Bugu, *effrenata* Panow Związkowych *licentia* z consistenciey onych wyciskała, y wielu *laetaliter* raniła, a nadto sprowadziwszy ztamtąd Woysko moie, gdzieżbym miał tak nagle lokować, będąc zewsząd *coarctatus*, chiba *sub libero Iove. Paucis rem complector*, *cooperiat* to wszystko WMPan *charitativâ veniâ*, w czymkolwiek nieostrożne pioro *deviavit extra terminos* należytey observantiey. Za innotescencyą lubo niesmaczney wiadomości wielce WMPanu dziękuię, *invigilabo* tedy *eâ curâ quae Ministerium meum spectat*, a chociaż Woysko Regimentu mego, opodal odemnie, to w Ziemi Halickiey, to po inszych mieyscach w Woiewodztwie Ruskim na zimowych zostaie kwaterach iednak posłałem ordinanse, serio roskazuiąc, aby się do boku mego *pro dandis* nieprzyiacielowi *repraessalijs*, rozumiem że y WMPan w tym *aget Hectorem*. Pan Połkownik Połtawski nietylko odemnie, lecz y *desuper* tak z Grodna, iako y teraz na tych dniach *recentissime* z Moskwy ma ordinans do mnie reguluiący się, aby *securitatem* Fortecy Zamoyskiey *providere* starał się, y *in casu ingruentis* od nieprzyiaciela *periculi*, szedł z Połkiem swoim *ad intrinseca Praesidij, pro defensiva repugnantia.* Do Tanskiego posłałem teraz dopiero takowy ordinans, aby nie idąc ku Krakowu z Panem Połkownikiem Czernihowskim, pilnował Lublina, y we wszystkim *in operationibus belli penderet à nutibus* WMPana.

To WMPanu donioszszy siebie samego łasce Iego *consecro* znaiąc się bydź *usque ad aras*

WMPana uprzeymie życzliwym Bratem
(podpis jak wyżéj).

P. S. Ia serdecznie sobie życzę powitania się z WMPanem zwłaszcza *sic stantibus rebus*, chcąc od WMPana informować się.

w Dubnie *Ianuarij* 11/20.
A° 1706.

LIST X.

+

Jaśnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie

Jak dalece iestem *sympathico* Braterskiego affectu *nexu* WMPanu *accatenatus*, że żadna *rerum vicissitudo* nie może we mnie *causare* iakowey od WMPana awersiey, którego *tot demonstrationibus* swiadczony mi mi *candor*, *thaumaturga quadam virtute*, nietylko mnie *allicit*, lecz *attrahit* ku sobie, nie wątpię y o tym że WMPan zawsze ze mną *sine fuco puro corde et rectitudine animi* certuiesz. Z listowną moią correspondencyą, iużbym się dawno WMPanu odezwał, ieslibym wiedział *ubicationem* WMPana, a naybardziey dla tegom utrzymał *officiosum calamum á commercio literali*, żem się spodziewał tu w tych kraiach *personali cultu* przywitać WMPana, iakoś mi sam WMPan

w liscie swoim deklarował, żeś miał w przyszłą niedzielę z Lubomla wyiechać, dla czego *ferventissimo desiderio* oczekiwałem na WMPana, y *expansa brachia et pectus* gotowałem *in venerabundum* Jego *amplexum*, teraz zaś kiedy *renuntiâ literâ* odbieram od WMPana tę wiadomość, że WMPan ieszcze teraz wyieżdża do Lubomla, ścigam y tu *heroicos* Jego *passus*, żałosnym będąc, iż speransę moią widzenia się z WMPanem *contrarius elusit eventus*. Ja niedawno odebrałem od Jego Krolewskiey Mosci takowy ordinans, aby *sociatis viribus* z Woyskami Koronnemi, starał się *a tergo* inkommodować, nudzić, rwać, y ruinować nieprzyiaciela, iesliby miał trzema szlakami *divertere* ku Litwie, a teraz *de novo* iaki odebrałem ordinans do siebie adressowany, z copią listu do Jasnie Wielmożnego JmcPana Kasztelana Krakowskiego [8]) WMPana pisanego, ten kommunikuię WMPanu, wespoł y z tym listem *copiatim*, ktorych *magnae rerum importantiae edocebunt* WMPana, *quid agendum* w teraznieyszych coniuncturach, Więc dziwuię się bardzo że w tenczas kiedy *hostilitas inhiat*; My *stamus otiosi*. Ordinowałem Ja do Brzescia Litewskiego Połkownika Łubenskiego z Ratna według ordinansu Jego Krolewskiey Mosci, także z Łokacz setnią Nowogrodzką w pięciuset ludziey, *insuper* cały Połk Moskiewski z pod Commendy JmcPana Niepkina, ktorzy *Praesidiarij* iesliby nie mogli do Brzescia *accelerare et intrare*, a nieprzyiaciel miałby ten pass *praeoccupare*, tedy trudno ich narażać *in discrimina*, zaczym wielce WM. Pana upraszam, abyś *in providendo securitatem* raczył ordinansem swoim retirować ich *a praefixo passu*, y tamże w Ratnie w dziedzicznych Dobrach na kwaterach zimowych lokować. JmcPan Obozny Koronny,

---

[8]) Lubomirski Hetman W. K.

iaki list pisze do mnie o Targowicy, ten przekopiowawszy kommunikuię WMPanu, odpisałem Ja do onego *renuendo desiderijs ratione* ewakuowania Kozakow ztamtąd, dla tego że *turbidus praesens status* każe mi *in contiguitate et individua unione* trzymać Woyska, y oznaymiłem mu że WMPan tam *correlativo et naturali iure per Plenipotentiarium suum extendet* possessią swoią, Chciey przeto WMPan dla utrzymania tey Targowicy *o violento invasore* przysłać ludziey swoich do tego Administratora który *unus nullus Detulit* mnie to JmcPan Baranowski, że *in attinentijs* Targowicy, *Comissarij* Woiewody Sieradzkiego wybieraią pieniądze y iuż 5 tysięcy Złotych wybrano, pisałem tedy Ia do Jskry, żeby y pieniądze te od nich odebrał, y ich samych do dalszey moiey woli w Zamku pod aresztem y karautem przytrzymał. Co WMPanu donioszszy siebie samego *cum omni obsequiorum genere* łasce Jego *insinuo* zostaiąc *irremissibiliter*

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem
(*podpis jako wyżéj*)

w Dubnie *Januarij* 18/29.
A⁰ 1706.

LIST XI.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny Moy wielce Msci Panie y Bracie

Stało to *per errorem*, że co miałem stanąc o trzy mile od Dubna, na pierwszy nocleg, to zaiechałem aż do

Ołyki, co *causarunt* zli y niesprawni Kałauzowie, więc y ztąd *convenio* WMPana *ea quae par est magno* Jego *Nomini veneratione, omni precum intensione* przepraszając żem się tak *a vicinio* WMPana oddalił, a chcąc *adimplere vota mea mutuo* WMPana *amplexu* y *personali* godney Jego Osoby *cultu*, będę tu czekał *ferventissimo desiderio* na iutrzeyszy ranek WMPana, iesli w tym łaska WMPana *votis meis succedet.* A teraz *in spe* widzenia się z WMPanem zostawam, y *ad funera* iestem

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(podpis jak wyżéj.)

w Dubnie *Februarij* 13/24
A° 1706.

LIST XII.

+

Jasnie Wielmożny Msci Panie Referendarzu Koronny
Moy wielce Msci Panie y Bracie

Jużem y oczy wypatrzył wyglądając *taediosa mente* na szczęśliwe WMPana przybycie, zwłaszcza, kiedyś WM. Pan sam w liście swoim zagrzał *fervens* we mnie *desiderium* widzenia się z sobą, determinowawszy wyiazd swoy o wtorku albo o srzodzie przeszłey, y niemogę wiedzieć dla czego to WMPan *testudineo* pospieszasz *passu*, we mnie zaś *publicae curae* niezmierną *excitant*, tęsknicę do conferencyey ustney z WM Panem, ktorego *ad praesens amplecti*, że niemogę

bydz *voti mei compos*, *indolere* na to muszę. Tu u mnie cokolwiek *occurrit*, oznaymuię WMPanu poufale: Jasnie Wielmożni JchMość Panowie Hetmani WWMM. Panowie, byli u mnie w Targowicy, gdzie *in bellico consilio*, między nami *stetit conclusum*, abym Ja ordinował 3 tysiące ludzi *Regiminis mei* ku Litwie *ad reprimendos hostiles impetus*, a JchMMPanowie maią ordinować 25 Chorągwi pod directią JmcPana Kalinowskiego na Polesiu Woiewodztwa Kijowskiego zostaiących, Ja tedy *quâ possum arte valere*, będę się starał *omni conatu*, wyprawić umowione *suppetias*, lecz wątpię aby ci JchMM Polescy, mogli *in societatem armorum* pospieszyć, ktorym iako widzę bardziey smakuią *otia* aniżeli *negotia*, a do tego dla odległosci mieysca zechcą bydź *excusabiles*, ieżeli *gressum suum retardabunt*. Curier na tych dniach, dość *citatis passibus* przybiegł do mnie z Moskwy przez Smolensk, z takowym ordinansem, abym kupił Woyska moie pod Dubno, y *unitis viribus* szedł ku Litwie do boku Jego Carskiego Przeswietnego Wieliczestwa Pana Mego Miłosciwego, co iuż *actu exequor*, a nim się wszystkie Woyska skupią, ordinuię *ante faciem meam* te 3 tysiące z Jasnie Wielmożnemi JchMMPanami Hetmanami umowione, a y sam prętko z Statiwy moiey Uruszę. JchMMPanowie Kommissarze do odebrania Ukrainy *destituti*, także byli u mnie w Targowicy na ustney *muneris sui* konferencyey, ktorzy chcąc z między siebie JchMMPanów Kasztelana Wołhynskiego [9]) y Podkomorzego Kijówskiego dla exekucyey *tanti publici operis destituere*, prosili mię, abym im w tym według ordinansu Najasnieyszego Pryncipała Mego Jego Carskiego Wieliczestwa mogł *succurrere*, w czym JchMMPanom *omnem* deklarowałem *facilitatem*. Zy-

---

[9]) **Wielohórski Wacław — podług spisu w Skarbcu.—**

czyłbym Ja y WMPanu kiedy *proximus ardet Ucalegon*, *in hoc bellorum aestu*, cokolwiek *operare*, y Diwizią swoią iakożkolwiek nieprzyiaciela inkommodować, ktory (jako tu *invaluit rumor*) ominąwszy Grodno, poszedł na Litwę, teraz tedy *in herba* trzebaby mało *occurrere*, żebysmy na potym uchoway Boże *post bellum* nieprzyniesli *auxilium*. Co WMPanu donioszszy siebie samego łasce Jego *consecro*, będąc

WMPanu uprzeymie życzliwym Bratem

(podpis jako wyżéj.)

P. S. Uskarżam się WMPanu na pedogryczną moią affekcyą, ktorey paroxizmami *crucior*, tak dalece, że y dnia y nocy wolney mieć niemogę. Każę się tedy sankami prowadzić, bylebym wolę mogł Principała Mego *adimplere*.

w Dubnie *Februarij* $^{30}/_{10}$.
A° 1706.

O PARYŻU I FRANCYI

w roku 1856.

I.

Powszechna Wystawa angielska roku 1851 i powszechna Wystawa francuzka roku 1855, sprowadziły ten sam skutek, to jest stały się miarą, według któréj może się mierzyć materyalna cywilizacya dwóch wielkich zachodnich narodów. Z tego powodu, rozpoczęty rok 1856 jest ważnym dla Francyi. Rok ten stał się, że tak powiem epoką rachunku narodowego sumienia. Nic nie ma ciekawszego nad artykuły ogłaszane w przeglądach i dziennikach francuzkich w przedmiocie Wystawy paryzkiéj. Artykuły te były pisane z talentem, i co dotąd było rzadkiem we Francyi, były pisane z talentem rozległym, obejmującym sztukę i przemysł pod względem prawdziwie powszechnym. Nie można nie wyznać, że roku 1851 Anglicy nie pokazali tego talentu, mianowicie tego delikatnego czucia odcieni, które nazywamy krytyką. W tym rodzaju pracy zasłużyli się najwięcéj pp. Gustaw Planche i Leon de Lavergne, krytycy *Revue des Deux Mondes*, p. Teofil Gauthier, krytyk *Monitora*, i p. Delecluze, krytyk *Debatów*. Ostatni jest może zbyt

surowy, drugi jest może zbyt pobłażający, tylko dwaj pierwsi mogą być uważani za krytyków prawdziwie powszechnych i godnych dla tego powszechnéj uwagi. P. Teofil Gauthier ogłosił osobno swe artykuły pod tytułem *les Arts en Europe.* PP. Delecluze i Leon de Lavergne mają postąpić wkrótce podobnie. Co do p. Gustawa Planche, ten zbyt mało ceni swój piękny talent, a zbyt miłuje swój użyteczny zawód, aby mógł dbać o przejście granic przeglądowego krytyka i pokazanie się w majestacie kilkotomowego autora.

Krytyka Wystawy paryzkiéj wyprowadziła wniosek, niezaprzeczony dotąd przez nikogo, że od roku 1851 do roku 1855, Francya zrobiła ogromny postęp w cywilizacyi materyalnéj, i że w tym zawodzie postęp Anglii, już przesyconéj bogactwem, był mniejszy. Dołączywszy wyższość i sławę Francyi w zawodzie wojennym, rok 1856 pokazał Francyą potężną, świetną i wielką. Odsłaniający się nowy Luwr daje piętno materialnéj cywilizacyi francuzkiéj. Pod względem sztuki, nowy Luwr ulega nie jednéj krytyce; ozdoby jego są za zbytkowne, nie odpowiadające ni staremu Luwrowi ni Tulierom, ale cały gmach jest wspaniały i żadna stolica świata niczém podobnym poszczycić się nie może. Co się dzieje w granicach Luwru, dzieje się także w granicach Paryża. Paryż zamieni się w krótce w miasto, które przypomni Rzym Augustowski. Olbrzymia ulica Rivoli, jest już arcydziełem perspektywy i żadne miasto ani europejskie ani amerykańskie podobnej ulicy nie przedstawia. Inne ulice paryzkie przybiorą z czasem, jeżeli nie podobną okazałość, to podobną perspektywę w skutek rządowego postanowienia, na mocy którego, stawiające się domy mają być odtąd sądzone nie tylko według warunków bezpieczeństwa i trwałości, lecz także według warunków harmonii z domami sąsiedzkiemi i całą ulicą. Komissya, która ma w tym przedmiocie wy-

dawać wyroki zrealizuje długie życzenia artystów i postępować będzie jako *magister elegantiorum* całéj zachodniéj stolicy.

Sztuka byłaby niewdzięczną, gdyby się skarżyła na nowe Cesarstwo. Cesarstwo poświęca dla niéj miliony. Sztuka nie może się także skarżyć na kapitał. Rzeźbiarze i malarze robią majątki. Wszystko co się dotyczy sztuki, dobrze się sprzedaje. Jeszcze przeszłego miesiąca szkice pozostałe po Kamilu Roqueplanie były rozkupione prawie z zapałem i przyniosły stosunkowo summę bajeczną. Sztuka weszła w potrzeby domowego życia we Francyi. Nie ma w Paryżu bogatszego domu, któryby nie posiadał jakiegoś ważnego utworu czy to malarskiego czy rzeźbiarskiego. Pod tym względem książe de Lugnes może być uważany, po rządzie, za mecenasa sztuki. Po nim idzie podobno, w prostéj linii, panna Rachel. Dom téj aktorki, położony przy ulicy Trudon, jest cackiem sztuki i tak pięknym cackiem, że panna Rachel nie śmie prawie w nim przebywać, i kiedy jest samą przekłada nad królewskie komnaty pierwszego piętra, skromne pokoje na poddaszu. Jednakże dobre powodzenie sztuk w dzisiejszéj Francyi, nie pochodzi tyle z czystéj miłości do sztuki, ile z ducha spekulacyi. Kapitaliści, jak hrabia de Morny, bankierowie, jak baron Rotszyld, kupują posągi i obrazy w nadziei zysku. Galerye ich zamieniły się dla tego w prawdziwe bazary, a oni sami w tak zwanych tandeciarzy. Już hrabia de Morny sprzedał zyskownie parę podobnych bazarów, i jak mówiono, gotuje się do sprzedania trzeciego. Panna Rachel zbyt lubi spekulacyą, aby nie miała z czasem toż samo uczynić.

Sztuka jest na Zachodzie miarą narodowego zbytku. Zbytek jest ogromny we Francyi i zbytek ten idzie coraz bardziéj w sensie dawnego Rzymu, w sensie niebezpiecznym, a nawet groźnym. Za dawnéj monarchii,

zbytek ograniczał się do dworu, złożonego z pięćset lub sześćset osób; dziś dwór, który pociąga za sobą stolicę, a stolica, która chce być sama sobie dworem, łączą się w rozwoju niesłychanéj okazałości. Hafty i koronki, każda bogatsza kobieta nosi; diamenty, każda niemi jaśnieje; sobole, każda ma je na sobie i pod swemi nogami; nie dosyć sukien po pięć lub sześć tysięcy franków, trzeba jeszcze do nich ogonów; ekwipaże, trzeba żeby było złocone, galonowane, herbowane i ciągle zmieniane; obiady muszą łączyć pamięć Trimaliona, Baltazara z pamięcią Lukullusa. Bale, kto je sobie wystawi w wyobraźni, jeżeli ich nie widział? Bale tuleryjskie, ministeryalne, ratuszowe, bale nawet prywatne, przesadziły Operę w czwartym akcie Proroka.

Natomiast Paryż nie składa już bibliotek, zaniedbuje koncerta i muzykę, opuszcza operę włoską i wszystko co dawniéj było jego rozkoszą. Natomiast małżeństwa stają się trudniejsze, powiększa się liczba *injustae nuptiae* a zmniejsza liczba prawdziwych obywateli, dość zamożnych, aby mogli mieć, jak w dawnym Rzymie, prawo do *justae nuptiae*. Nieprzyjaciele dzisiejszego porządku rzeczy wyprowadzają z tego wniosek, że zbytek francuzki jest pozornym. Nie bronią zbytku, szczególniéj takiego jak dawniejszy Rzymski a dzisiejszy francuzki, ale nie mogą nie wyznać, że bogactwo dzisiejszéj Francyi uważane za rzeczywiste, za wynik powiększenia się narodowego bogactwa, a złe wywięzujące się z tego bogactwa zwalone na charakter, na powody moralne i na prawa francuzkie, które przez swe dziecinne formalności, zdawały się być nieprzyjaciołami małżeństwa. Francya zbogaciła się od roku 1851 i jeszcze się bogaci i na dowód tego mamy liczby wzmagających się ciągle przychodów francuzkiego skarbu.

Rzecz godna uwagi, że Francya rzuciła się za Ludwika Filipa i prezydencyi Ludwika Napoleona na

drogę cywilizacyi materyalnéj naśladując Anglią i Stany Zjednoczone, ale jak zostało zaprowadzone cesarstwo, rzuciła się zaraz do naśladownictwa dawnego Rzymu. Cesarstwo francuzkie nie rozumie pracy jako religii, jak się to dzieje w Anglii; rozumie ono ją jedynie jako potęgę i poezyą. W dzisiejszéj Francyi, praca nie daje pokoju duszy, jak w Anglii, lecz samo bogactwo, a bogactwo daje tylko sztukę, zbytek i piękność. Trzeba być dziś bogatym wulkanem, aby posiadać Wenerę. Cesarstwo a może nawet Francya, nie przyjdzie zapewnie nigdy do religii pracy i religii zbytku, jak Anglia. Bogactwo i zbytek nie wezwą zapewnie nigdy we Francyi drogi chrześciańskiéj i obyczajowéj; bogate rodziny nie będą się rujnować przez dobroczynne i narodowe uczynki. Francya, mówią pisarze rządowi, unowożytnia się za przykładem Anglii i Stanów Zjednoczonych, ale w gruncie rzeczy ustarożytnia się za przykładem dawnego państwa rzymskiego. Anglia zachowała dawne formy a przyjęła nowe idee. Francya obaliła dawne formy, a nie wytępiła dawnych idei. Anglia wyniosła na wysokość zasady towarzyskiéj gentelmaństwo, to jest, przymioty moralne człowieka, a Francya, jeżeli już nie polityczna to zwyczajowa, stoi jeszcze przykuta do przymiotu rodowego szlachectwa. Anglia jest dziś narodem prawie nowożytnym, jak Stany Zjednoczone, kiedy Francya, pomimo licznych ruin i rewolucyj, jest jeszcze pod wielu względami narodem starożytnym, gallickim i średniowiecznym, miłującym dawne dystynkcye i próżności.

Różnica skutków cywilizacyi materyalnéj w Anglii i we Francyi pochodzi, jak widzimy, z różnicy cywilizacyi moralnéj dwóch narodów, to jest z różnicy obyczajów i charakteru. O téj różnicy zbyt wiele już pisano, aby można dodać coś nowego. Można tylko niektóre różnice przypomnieć i ułatwić zrozumienie tak dawnéj

jak dzisiejszéj Francyi, lubiącéj pozornie nowości a w gruncie kochającéj się w nałogu. Pod tym względem, sąd Szwajcara de Muralt jest podobno najtrafniejszy, bo jest ni angielski ni francuzki. Muralt pisał swe listy o Francuzach i Anglikach r. 1725 a zdawałoby się, że pisał je wczoraj, tak charakter narodowy jest zawsze uparty i prawie niezmienny. Zrobię krótki wyciąg z nowo wydanych listów Muralta. Wyciąg ten posłuży mi za punkt przejścia od materyalnéj do moralnéj cywilizacyi francuzkiéj.

Anglik, mówi Muralt, lubi ostateczności tak w dobrém jak w złém; lubi się pokazywać takim jakim jest istotnie, ociężałym a zarazem czynnym i odważnym, odważnym szczególnie w dobrym uczynku i trzymaniu się rozumu a nie nałogu. Anglik jest ludzkim a zarazem gwałtownym i ta gwałtowność służy mu za rękojmię jego wolności. Wolność potrzebuje hartu, choćby dochodzącego do gwałtu i dzikości. Anglik jest dumnym i wyłącznym, ceni więcéj rozsądek niż dowcip, posiada wielki charakter, wielkie serce i wyobraźnią, która jak kamienny węgiel angielski, więcéj grzeje niż błyszczy. Anglik jest niecierpliwym, i zawsze jest gotów rozcinać węzeł gordyjski. Jest on łatwowiernym i trzeba mu długiego czasu, aby rozpoznał nieprawdę, w którą uwierzył. Mówi on mało, bo wie, że kto mówi aby mówić, nie może uniknąć niedorzeczności. W Anglii, konwersacya jest wymianą uczuć a nie słów, a że wymiana uczuć nie może być długą, konwersacya angielska nie może tylko być krótką.

Francuz, mówi daléj Muralt, stworzony do towarzystwa, lubi ludzi, i dla tego jest lubionym. Francuz jest najgrzeczniejszym, a przytém jest ludzkim. Jest on żywym i łatwym w pożyciu, ale natomiast, jak dawny Gal, jest próżnym, chełpliwym, mało ceniącym rozsądek, lubiącym tytuły, honory, dworactwo, dowództwo, lubią-

cym mianowicie modę, dowcip i *bons mots*. Lud francuzki znosi cierpliwie przemoc choćby była najnieznośniejszą i wielbi to co ma pozor wielkości. Wolność i spoczynek czynią go nieszczęśliwym. Francuzi nie znają wolności, wyjąwszy wolności tak zwanéj francuzkiéj, która zasadza się na swobodzie i rozpasaniu życia. Francuzki są śmiałe, wyraziste, lubią zbytek, intrygi i panowanie. Największą zaletą Francuza, jest jego wrodzona dobroć, ale ta dobroć jest każoną przez obawę, aby nie była przeciwną dowcipowi. Francuz prowadzi się według przysłowia: *il vaut mieux être malin que bête*. Jedynym człowiekiem we Francyi jest żołnierz. Uczucie honoru, powinności i przywyknienia do niebezpieczeństw, czynią go prawdziwie wielkim i skromnym. Żołnierz jest tylko we Francyi *człowiekiem zupełnym*, *i on tylko jest prawdziwie religijnym*. Od czasów najdawniejszych uważano, że po wojnie żołnierz francuzki lubił wchodzić do klasztoru i zwykle do surowego klasztoru. Muralt kończy porównanie charakteru dwóch narodów tą uwagą: „wolałbym być dobrym Anglikiem niż dobrym Francuzem, ale wolałbym być złym Francuzem niż złym Anglikiem.“

Jeżeli się nie mylę, to co powiedział Muralt o żołnierzu francuzkim tłumaczy każdemu tajemnicę dzisiejszéj Francyi, wielkiéj szczególnie z powodu zwycięztw i bohaterstw krymskich. Francya jest prawdziwie wielką kiedy pracuje i wydaje takie utwory jakieśmy na przeszłorocznéj Wystawie widzieli. Ostatnia Wystawa pokazała Europie, że Francya zrobiła postęp w téj części życia cywilnego. Postęp nie był trudnym, dlatego że wymagał tylko jednego warunku: wolnéj organizacyi pracy, a pod tym względem organizacya warsztatów i fabryk nie wiele pozostawia do życzenia we Francyi. Dalszy postęp cywilny okazał się trudniejszym. Nie chcąc dotykać polityki, ograniczę postęp do strony czysto oby-

czajowéj i umysłowéj. Postęp ten, aby się stał dobroczynnym, powinien był iść po drodze chrześciańsko-nowożytnéj. Nieszczęściem w tym pochodzie Francya napotkała na niemałe trudności. Mężczyzni jak p. de Tocqueville, jak p. Michał Chevalier, jak p. Ampère i t. d. wielbili Anglią i Stany Zjednoczone, kiedy kobiety, jak pani Trollope, jak Marya Fontenay (autorka *Autre Monde*) i t. d. rzucali na nie przekleństwo. Mężczyzni byli za życiem surowém, wolném i rodzinném, za komfortem, za *at home* i zdrowym rozsądkiem, słowem za wszystkiem co podnosi wielkość człowieka, kiedy kobiety były zatém, co podnosi wielkość kobiety, za światowością, elegancyą, i życiem gromadném, za tém wszystkiem co przypomina, jeżeli nie dawny Rzym, to dawną Francyą. Roku 1851, mężczyzni byli we Francyi, albo republikanami albo konstytucyjonistami, kiedy kobiety pokazały się stronniczkami. *juste milieu.* Niech się nikt nie śmieje z tego co piszę i rywalizacya wpływu płci we Francyi nie toczyła się głośno, toczyła się ona w sercu, myśli, usposobieniu i konfesionale, ale rywalizacya była istotną, i w téj rywalizacyi Francuzki odniosły prawie zwycięztwo, dlatego że, jak się dobrze wyraził ksiądz Ventura, pozostały wiernie w dawnym aliansie, który utrzymuje systematycznie ich wpływ, a który jest przeciwny społecznemu życiu Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Teorya historyczna cesarstwa francuzkiego ma to właściwego, że kwadruje tylko z tém co dotyczy cywilizacyi materyalnéj i organizacyjnéj, kiedy przeciwnie cywilizacya moralna jest z nią w zupełnéj sprzeczności. Naprożno pp. Romieu i Troplong silili się podnieść w opinii teoryą cesarską i dawną teoryą rzymską; naprożno układali podobieństwo między Cezarem a Napoleonem pierwszym, między Augustem a Napoleonem trzecim, między cyceronistami a doktrynerami, między pompeistami a *tiers parti.* Naprzeciw tym pisarzom wystąpiła

zaraz cała że tak ją nazwę literatura anty cesarska, w któréj wzięli udział nie tylko Guizot, Lamartine, Montalembert, de Remusat, lecz Ampère i Aleksander Dumas. Ogłaszane dzisiaj dzieła, przeglądy i dzienniki oddychają jedynie życiem anglo-saksońskiém, życiem nowożytném i w tém życiu szukają nie tylko postępu lecz rękojmi postępu. Pod względem podobnego ruchu umysłowego odegrywa od roku ważną rolę we Francyi *Journal pour tous* pana Lahure, wychodzący w tygodniowych zeszytach a mający obecnie około sto tysięcy abonentów. Jest to naśladownictwo tygodniowych dzienników anglo-amerykańskich. P. Lahure, wykształcony w Anglii, wziął sobie za cel pracować nad poprawą smaku, obyczajów i wyobrażeń we Francyi. Z téj okoliczności, p. Bigault, dobry krytyk *Debatów*, powiedział Francyi bardzo ważne prawdy. „Moralnie, mówił on, cnota jest więcéj wartą niż zepsucie; człowiek uczciwy wart jest więcéj niż ladaco; estetycznie, ladaco nie wygląda lepiéj niż człowiek poczciwy, ale arytmetycznie, wyżéj jest on ceniony we Francyi i przynosi większe dochody. Jest to wielkie złe, ale to złe pochodzi z publiczności, która czyta i płaci. W Ameryce, Wuj Tomasz przyniósł pani Stowe miliony, w Anglii przyniosły tyleż Karolowi Dickens moralne romanse; w Paryżu przeciwnie: popłaca tylko malowanie złego. Główną przyczyną takiego nieszczęsnego stanu rzeczy jest sama publiczność“. Chwaląc zamiar p. Lahure, p. Bigault dodał: „Nie idzie aby w literaturze francuzkiéj wilcy zamienili się w pasterzy, aby sielanka zastąpiła melodramę, trzeba tylko sprawiedliwości i poprawy smaku; trzeba oddać słuszność ludziom poczciwym, którzy nie są mniéj dowcipnemi niż inni, i którzy mają prawo figurowania czy w romansach czy w teatrze“.

Z usiłowaniem p. Lahure o poprawę publicznego smaku i obyczajów, bez których nic dobrego się nie robi,

wiąże się, nie wspominając o innych, świeże usiłowanie jakie okazał p. Oktawian Feuillet ogłaszając w *Revue des deux Mondes*, pod tytułem *la Petite Comtesse*, pierwsze studium nad francuzkiém życiem światowém. P. Oktawian Feuillet stawił na przeciw siebie dwa światy: szlachecki, oddający się polowaniu, zabawom i dowcipowi, i gentelmański oddający się nauce i pracy około publicznego dobra. Autor wystawił gentelmana francuzkiego na pośmiewisko szlachty francuzkiéj, wystawił go jako niezręcznego i pozbawionego dowcipu, ale ozdabiając go w naukę, prawość i wzniosły charakter, dał mu ostatecznie zwycięztwo. Praca p. Oktawiana Feuillet, którego lubił wielki świat paryzki, zrobiła wrażenie z tego głównie powodu, że autor był obdarzony wielkim dowcipem i że pomimo tego pokazał iż nad dowcip przekładał poważne przymioty, które uczyniły Anglią bogatą, moralną i szczęśliwą.

Cywilizacya moralna dzisiejszéj Francyi, albo, mówiąc inaczéj, dzisiejsza literatura francuzka, okazuje dwa przeciwne dążenia: wpływ rządowy pcha Francyą na drogę dawnego Państwa rzymskiego, którą miesza, kiedy potrzeba, z przykładem Karola Wielkiego i z rodzajem gminno-majestatycznym Ludwika czternastego; wpływ zaś narodowy i nowożytny powstaje na starożytność i pcha Francyą na drogę anglo-saksońską. Za dążeniem rządowém oświadczyli się prawie wszyscy matematycy, fizycy i chemicy, przywykli do teoryi sił i ich kombinacyi, a z literatów pp. Sainte Beuve, Nisard i Troplong. Za dążeniem zaś nowożytném oświadczyła się reszta a raczéj całość publicystów, literatów i wszelkiego rodzaju piszących. Przewaga wpływu nowożytnego zdaje się nieodzowną. Ten to a nie inny wpływ dokona zapewnie, w piśmiennictwie i smaku, przy pomocy Kościoła, reformę o ile charakter francuzki znieść podobną reformę potrafi.

W przeobrażeniu umysłowości, które odbywa się obecnie we Francyi, odgrywają znakomitą rolę przeglądy. Przeglądy są bronią anglo-saksońską, krótką i lekką, lecz ostrą. *Revue Contemporaine* tłumaczy teoryą moralną, kiedy *Revue des deux Mondes*, *Revue Britanique*, *Revue de Paris*, *Revue française* a nawet *le Correspondant* tłumaczą teoryą nowożytną. Z artykułów przeglądowych robią się dzieła, dzieła częstokroć bardzo ważne. Wypadki lat 1848 i 1851; dwie wystawy w Londynie i Paryżu i przyjazne zetknięcie się społeczności angielskiéj z francuzką, dały tak silne wzruszenie umysłowéj Francyi, że dziś każdy czyta, bada i rozmyśla. Mimo gwaru, zbytku i roztargnień wojennych, ruch piśmienniczy jest wielki we Francyi. Francya mniéj zawsze czyta niż Anglia, ale nigdy nie czytała tyle ile dzisiaj i nigdy nie czytała rzeczy tak wytrawnych. Zaiste, źleby zrobił ktoby w sądzie o umysłowéj Francyi, trzymał się zbyt niewolniczo różnicy dwóch dzisiejszych literackich dążeń; różnice o których mowa nie są zawsze wyraźne, ale kto chce pisać o Francyi musi znać dobrze rzeczone różnice i je chociaż raz swym czytelnikom wyłożyć.

Michał Łabiński.

RZEŹ GACHÓW

ODYSSEI PIEŚŃ XXII.

(Dokończenie).

W tém Agelaj szczuł gachów znów do rąbaniny,
Z nim Eurynom, Amfimed, toż inni z drużyny
Jak Peizandr, Demoptolem, Polibos gracz wielki —
Każdy z nich strach jak mężny! gotów do kropelki
Krew wylać, a o żywot bić się do upadła;
Bo innych gęsta strzała o ziem już pokładła.

Do nich więc Agelaos mówił by słyszeli:
„Drużbo! ten człek ostatnią strzałę wnet wystrzeli;
Mentor, ów czczy chełpliwiec, odbieżał go iście,
I on, z swymi sam tylko główne trzyma wniście.
Przeto nie wszyscy razem rzucajmy kopije.
Baczność! wprzód sześciu rzuca; czéj który ubije
Odyssa i przy łasce Zeusowéj dank zyszcze;
Reszta nic, byle w niego utopić ratyszcze-“

Tak rzekł — i naprzód owi co wskazał, rzucili; —
Lecz Pallas cel ich grotów po drodze omyli.
Jakoż jeden przewiercił skroś odrzwia świetlicy,
Inny drzwi przebódł z dobrze spojonéj tarcicy,
Owemu w ścianie uwiązł jesion ostrokuty. —
A tak kopiami gachów żaden z nich nie skłuty.

Zatém Odys do swoich rzekł niezłomny niczem:
„Teraz dzieci! z kolei i my w bój zakrzyczém:
Ciskać oszczepy w gachów! snać im dawnych zbrodni
Jeszcze mało, gdy na nasz żywot tacy głodni.“

Rzekł—i razem oszczepy wypuścili celnie:
Odys Demoptolema ugodził śmiertelnie,
Telemach Euryada, Eumej Elata
Zwalił kopią, a wolarz Pejsandra rozpłata,
I wszyscy ziemię gryźli na szerokim toku.

Nato gachy w kąt izby uciekli w natłoku;
A ci, przypadłszy, groty z trupów wyciągali.
Gachowie znów cisnęli kopiami zuchwaléj;
Ale Pallas Atene zmyliła niektóre,
I tak, jeden w świetlicy odrzwiach zrobił dziurę,
Drugi przewiercił mocno spojone podwoje,
Inny w ścianie uwięził kutą włocznię swoję.
Tylko Amfimed zmacał Telemacha w ramie,
Ostrze, ledwo na skórce zostawiło znamie;
Toż Ktezippos w bark drasnął nad tarcz wystający
Pastucha, i grot daléj poleciał warczący. —

Lecz drużyna, co twardo przy Odyssie stała,
Znowu celne oszczepy na gachów posłała:
Waligroda [1]) Odyssej zabił Eurydama

[1]) Grecki πτολιπορθος, (urbium-vastator) przydomek Odysseu-

Telemach Amfimeda; kolęj taka sama
Spotkała Polybosa co legł z rąk pastucha, —
A wolarz Ktezippowi wywlókł z piersi ducha,
I tak mu urągając, zawołał radośny:

„Synu Polyterzesa, o junaku sprosny!
Nie będziesz więcéj chełpą bawił się w głupocie,
Bogom zostaw ten język, wzdy silniejsi od cię;
Masz wet za wet, pamiętasz, za podły gnat krowi
Coś go to żebrzącemu cisnął Odyssowi.

Gdy tak przemawiał pastuch krętorogich wołów,
Odyss do Agelaja przyskoczył i w tułów
Wraził mu długi oszczep; więc w Ewenoryda
Telemach rzucił dzidę i wpruła się dzida
W sam brzuch, że aż na wylot ostrze przeleciało;
Padł przodem, i o ziemię tłukł się twarzą całą.

Tymczasem Atenaja wionęła pod stropem
Egidą ludobójczą, i jakby ukropem
Zwarzyła serca gachów; popłoch na nich pada
Uciekają po izbie rzkomo wołów stada
Kiedy na nie rój bąków padnie nielitośny,
I tnie żądłem, co bywa w dniach przydłuższych wiosny.
Ci zaś, jak krzywodziobe, szponiaste sokoły
Gdy z gór lecą na ptastwo polować w padoły
Ptaszęta z pod obłoków tuląc się do ziemi,
Od téj łowczéj pogoni są zabijanemi.
Trudna słabym ucieczka, trudny opór znowu:
A człowiek się raduje z takiego połowu.
Tak i oni ganiając gachy w całéj izbie
Zabijali każdego; czasem tylko w ciżbie

---

szowi często nadawany; usiłowałem pogodzić z epitetem używanym w naszych gminnych powieściach o Waligórze.

Jęk był głuchy, gdy czaszka zgrzytnęła zrąbana,
A podłoga dymiła krwi strugą zalana.

W tém Lejodes do kolan Odyssa się schylił,
Objął je, i o litość żałośnie doń kwilił:

„Na klęczkach cię Odyssie błagam, przebaczże-mi!
Przecież nigdy tu w zamku słowy bezwstydnemi
Ni sprosnym czynem dziéwki niezhańbiłem żadnéj;
Owszem, w innych ganiłem ten narów szkaradny,
Gdy takowy płodzili. — W nic poszły przestrogi!
Słusznie teraz za zbrodnie skarał ich los srogi;
Ale gdybym ja, wróżbit, com niekrzyw niczemu
Miał paśdź?! — to już nagrody niema poczciwemu!“

Na to mu mądry Odyss rzekł z iskrzącym wzrokiem:
„Jeżeliś między nimi był jakimś prorokiem,
Toś często musiał tutaj modlić się do Bogów
Bym nigdy do ojczystych niemógł wrócić progów,
Abyś uwiódł mi żonę i płodził z nią dzieci.
Przeto niech i na ciebie okrutna śmierć zleci.“

Rzekł — i żylastą ręką na ziemi leżący
Podniósł miecz, co wypuścił był umierający
Agelaj — i po karku ciął go cięciem dużem,
Aż łeb spadł, potoczył się i pomięszał z kurzem.

Lecz Femios, syn Terpiosa uszedł czarnéj doli,
Bo gachom przyśpiewywał zwykle poniewoli.
Stał on w ręku trzymając swoją formix [2]) dźwięczną,
Tuż u drzwi tylnych, walką miotany wewnętrzną
Czy ma wymknąć się chyłkiem i usiąść w pokorze

---

[2]) Φόρμιγξ starożytne greckie narzędzie muzyczne zapewne w rodzaju gęśli.

Pod ołtarzem Zeusowym stojącym na dworze
Gdzie ongi Odyss tyle żertwił wolich ćwierci,
Czy téż u nóg Odyssa prosić się od śmierci?
Wątpiącemu ta rada mądrzejszą się wyda,
Żeby po prostu upaśdź do nóg Laertyda.
Jakoż formix dłubaną postawił na ziemi
Między krużem, a krzesłem z goździmi srébrzystemi,
Poczém sam się rzucając do nóg Gospodyna
Przepraszał, przysięgając że nie jego wina. —

„Na klęczkach—rzekł—Odyssie proszę cię za sobą;
Niezabijaj mię! Sambyś okrył się żałobą
Gdybyś zabił pieśniarza co ludzie i Bogi
Opiewał. Jam samouk; Bóg wszczepił dar drogi
W moją duszę, więc będę i dla cię miał pieśnie
Jak dla Boga, a ino niegub mię tak wcześnie.
Zapewne już Telemach, twój syn, ci to mówił,
Żem tu niewszedł do zamku abym się obłowił,
Anim téż z własnéj chęci śpiéwał do biesiady;
Możniejsi przymusili, i — niebyło rady!“

Słysząc to Telemachos, świętą natchnion mocą
W obec groźnego Ojca przybiegł mu z pomocą.

„Stój! — rzecze — on niewinien, niepodnoś nań miecza,
I Medona keryxa [3]) ochroń! — jego piecza
Czuwała tu nademną od latek dziecinnych;
Chybaby biedak zginął przypadkiem z rąk innych,
Może z rąk Filetiosa poległ, lub pastucha,
Lub twoich, gdyś tu w izbie wrzał, jak zawierucha.“

---

[3]) **Wolałem zostawić grecki** κήρυξ **którego niemożna oddać naszym wyrazem: woźny, obudzającym inne wyobrażenie przywiązane do urzędu téj figury trybunalskiéj.**

Usłyszał jego mowę Medon, co ukryty
Pod stołkiem, wraz z innymi niezostał zabity.
Odziany w skórę wołu zarzniętego świeżo,
Wylazł, i to przykrycie zrzucił z siebie chyżo.
Poczem do Telemacha przyskoczył, za nogi
Objął go, i o litość zaklinał na Bogi.

„Otóż jestem! proś za mną, tyś dobra dziecina!
Niech mię gniewny twój rodzic mieczem niezarzyna.
Wiem ja, że się na gachy burzy jego serce,
Bo go zdarli, a ciebie mieli w poniewierce.—“

Na to mądry Odyssej uśmiechnął się z lekka:
„Nietroszcz się, on twój zbawca, i twoja opieka; —
Wiedz-że o tém i ludziom opowiadaj innym:
Że złym być mniéj pociechy, niżli dobroczynnym.
A teraz idźcie sobie, ty z gęslarzem, oba
W przysionek, na dziedziniec, gdzie się wam podoba,
Póki po téj tu rzezi porządku niezrobię.“ —

Skończył — a ci dwaj z izby zaraz poszli sobie,
I, usiadłszy w dziedzińcu u stopni ołtarza
Oglądają się trwożnie, czy im śmierć zagraża? —

Odyss tymczasem pilnie zamek przepatrował
Czy się gdzie jaki żywy przed śmiercią nieschował? —
Lecz wszystkich znalazł krwawym owalanych błotem
Leżących na podłodze, jak ryby, pokotem,
Kiedy to z morskich toni na strome wybrzeże
Rybacy wielookie wyciągli wieńcierze—
Porzucone na piasku, ryby w morze rwą się,
A ty ich swym promieniem zabijasz Heliosie.
Podobnie też i w izbie trup na trupie leżał,—
Gdy Odyss taki rozkaz synowi powierzał:

„Piastunkę Eurykleję coprędzéj mi przyślij
Abym jéj to powiedział, co cięży na myśli“—

Pełniąc ojcowski rozkaz biegł Telemach skory
Do Euryklei, skrobiąc we drzwi jéj komory.

„Wstawaj dobra Babuniu! Jako ochmistrzyni
Co nad dworskiemi dziewki ład trzyma i czyni
Potrzebna jesteś ojcu; Spieszże się starucho!“—

Niebyła na głos jego Eurykleja głuchą,
Bo zaraz się otwarły drzwi schludnéj izdebki,
I wyszła, za mołojcem stosując krok krzepki.

Odyssej, kiedy przyszli, kurzem i posoką
Okryty, stał śród trupów, istny lew na oko,
Kiedy to dumnie kroczy, ziadłszy w polu byka,
Z kudłów piersi, z warg obu, czarna krew mu ściéka,
A ślepie ogniem gore.— Takim był w téj dobie
Odyss, mając zbroczone ręce, nogi, obie.

Mamka ujrzawszy trupy i tę powódź krwawą,
Chciała krzyknąć, zdziwiona tą nadludzką sprawą—
Lecz Odyss ją powstrzymał w niewczesnéj radości,
I staruszce te słowa powiedział w krótkości:

„Ciesz się w sercu kobieto, lecz waruj się krzyków;
To grzéch cieszyć się głośno z biednych nieboszczyków,
Sąd bogów już ich pobił, własne struły zbrodnie,
Bo po każdym człowieku deptali niegodnie,
Czy dobry, czy ladacy, bez żadnéj różnicy;
Przeto są ukarani ciężko swawolnicy.
A teraz, licz mi dziéwki wszystkie co we dworze,
Ile skrewiło, ile uczciwych być może.“

Na to mu Eurykleja: „Każesz miły synku
Więc opowiem ci prawdę, czystą, bez przyczynku;
We dworze do pięćdziesiąt wszystkich niewiast liczą,
Które się w różnych pracach białogłowskich ćwiczą:
Jak służbę robić doma i jak czesać wełnę;—
Dwanaście z nich popadło w bezwstydy zupełne.
I niedość że mnie staréj posłusznémi niesą,
Ale nieraz na samą panią się podniesą.
Wprawdzie syn twój już wyszedł z małego chłopięcia,
Wzdy matka niepozwala takiego zajęcia
By rządził niewiastami. Lecz pozwól mi panie,
Skoczę na górę, przerwać małżonce twéj spanie
Które, widno, Bóg jakiś na oczy jéj zsyła.“—

Odyssej ją powstrzymał: „Otbyś niebudziła!
Czekaj jeszcze, i przyszléj wprzód te dziéwki do mnie
Co dom mój zbezcześciły żyjąc tak ułomnie.“—

To jéj rzekł— a piastunka wybiegła z świetlice
Zganiać na pański rozkaz one służebnice.

On zaś syna, i obu pastuchów ku sobie
Przywołał i zagadał do nich w tym sposobie:

„Teraz trupy wynosić, kobiety pomogą;
A potém pomyć stoły i stołki chędogo
Mokrą gąbką, by ze krwi nie zostało śladu—
A kiedy wszystko w izbach powróci do ładu,
Wyprowadzić mi z domu one białogłowy,
I tam, gdzie szopa stoi, a okop zamkowy
Pobić mieczem do nogi, wywlec dusze z ciała,
By im wiecznie z pamięci, rozkosz wywietrzała
Pokątnie wyprawiana z tymi rozpustniki.“—

Skończył — w tem całą hurmą wszeteczne podwiki
Weszły; w głos wyjąc, we łzach pływając obfitych,
Zaczęły z izby gachów wynosić zabitych,
I składać ich w przysionku warownego dworca
Kupą, jeden na drugim. Odyss, by dozorca
Stał nad niemi, do pracy naganiał niemiłéj.—
Potém dziurkowatemi gąbkami krew zmyły
Ze stołów i ze stołków.— Podłogę komnaty
Trzeba było też sczyścić — więc się do łopaty
Wziął Telemach z pastuchy; w trzech prędsza robota.
A dziewki wszystkie śmiecie wyniosły za wrota. —

Owóż gdy krwi wylanéj niebyło ni śladu,
A cały dworzec pański powrócił do ładu,
Wyprowadzili z izby one białogłowy
I tam, gdzie szopa stoi, a okop zamkowy,
Zapędzili w kąt ciasny, że niema sposobu
Wyjścia ztamtąd. Telemach wtenczas rzekł do obu
Pastuchów:

„O zaprawdę, miecza ani ruszę,
Zbyt on czysty na brudne tych wszetecznic dusze
Co mnie, i matce mojéj umknęły dość sławy,
A z gachami trzymały sojusz tak nieprawy.“

Rzekł — i linę z okrętu co miał dziób modrawy,
Jednym końcem przywiązał do słupa wystawy,
A drugim do komina, wysoko — by one
Ziemi dostać niemogły, będąc powieszone.
A jak stado gołębi, lub drozdów popadnie
W sidełka, w gąszczy chaszczów zastawione zdradnie
Gdzie na noc dążąc smutne znajdują łożysko,
Takie i z onych niewiast było widowisko:
Kiedy jedna przy drugiéj i głowa przy głowie
Wisiały tam na linie jak oni ptaszkowie,

Każda z sznurkiem na szyi, zduszona cichutko—
Coś nogami zadrgawszy w powietrzu — lecz krótko.

Potém i Melantiosa koziarza przywlekli;
Ostrą miedzią usz dwoje i nos mu usiekli,
Toż wyrwawszy część wstydną psom cisnęli w gardła,
W końcu na rękach, nogach, złość się ich wywarła.—

Omywszy sobie ręce i nogi zjuszone,
Szli na dworzec Odyssów— bo dzieło skończone.—

Właśnie Odyssej mówił Euryklei staréj:

„Przynieś siarki co klątwę odczynia i czary.
Toż ognia, bym wykadził komnaty— a razem
Powiesz Penelopei za moim rozkazem
By się spieszyła tutaj z pannami dworskiemi;
A i drugie niewiasty niech stawią się z niemi.“

Na to mu Eurykleja, piastunka sędziwa:
„Dobrze mój synu! Mądrość przez cię się odzywa.
Lecz wprzód trzebaby kaftan i płaszcz przynieść dla cię
Byś się dłużéj nieświecił w tym podartym gracie,
Jeszcze tu, na komnatach, zgorszenie nie lada!“

Na to jéj Odysseusz mądry: „Słuszna rada,
Lecz wprzódy niech mi ogień rozpalą tu duży.“—

Rozkazał; Eurykleja pilnie panu służy;
Przyniosła ognia, siarki— i Odyss do koła
Kadził w izbie, w przysionku, w całym dworcu zgoła.

Staruszka pamiętając rozkaz Odyssowy
Szła na górę, zwoływać k'niemu białogłowy,

Które się wysypały z pochodniami w ręku
Obstępując Odyssa śród szlochu i jęku
Powitań, dłoń ściskając — a po głowie, twarzy,
Każda go serdecznemi całunkami darzy,
Że aż mu z rozrzewnienia na płacz się zebrało;
Serce Odysseusza każdą z nich poznało.

Ł. Siemieński.

OSTATNIA PIEŚŃ

pierwszéj części Poematu Dantego „LA COMMEDIA“

pod tytułem

PIEKŁO.

W téj pieśni Dante przedstawia Judasza i tych, którzy się skazili zbrodnią zdrady względem swoich dobroczyńców. Ukazanie się Lucyfera w zamarzłéj rzece Kocyt.

Vexilla regis prodeunt inferni [1])
„Spojrzyj przed siebie, rzekł mistrz, jeżlić snadnie,
„Poznaj kto idzie w téj ściśnionéj czerni.“

---

[1]) Trzy pierwsze słowa tego wiersza stanowią początek hymnu, w którym Kościół wielbi krzyż, jako sztandar Jezusa Chrystusa i narzędzie naszego zbawienia. Dante słów tych używa przedstawiając najstraszliwszych potępieńców stanowiących jakoby tryumf Lucyfera, nieczyni zaś tego w myśli ubliżającéj religii, ale owszem w myśli głęboko ascetycznéj, podobnie jak o wiele późniéj ś. Ignacy Lojola, który w swoich niezrównanych *ćwiczeniach Duchownych* mówi o *dwóch chorągwiach* Chrystusa i Lucyfera.

Jak gdy noc ciemna na ziemię upadnie,
Lub jak gdy z góry gęsta mgła zawionie
Zdać się, że widzisz w dali, niedokładnie

Wiatrak skrzydlaty rozbujan k' tej stronie,
W którą wiatr dmucha, tak i mnie się zdało
Gdy się z przestrachem po za mistrza chronię,

Że się coś nakształt gmachu pokazało.
Było to (straszno w wierszach mówić o tem)
Miejsce, gdzie piekło w twardy lód schwytało

Widma, jak ździebła w tafli szkła — a potem [2])
Kiedym się lepiéj przypatrzył, poznałem,
Że jakby wściekłéj boleści zawrotem

Porozrzucane, jedne niby wałem
Wpodłuż leżały — lub wyprostowane
Nogami na dół — drugie sprośnem ciałem

Głowami na dół wspak powywracane,
A inne znowu, jakoby łuk zgięty,
Te naprzód — tamte w tył poprzeginane

Twarzami do nóg, głowami do pięty,
Tak, jak je piekło chłonie i pożera.
Na taki widok jakby mrozem ścięty,

Gdy myśl ze strachu prawie obumiera
Mistrz wystąpiwszy nieco naprzód, rzecze,
„Oto masz straszną postać Lucyfera!“

---

[2]) *E trasparèn come festuca in vetro.*

Czegom doświadczał naówczas — nieprzeczę,
Iż się bynajmniéj wyrazić nie silę,
Bo tego żadne słowo niewywlecze

Z głębi wspomnienia. Powiem tylko tyle,
Ile się w słowie człowieka pomieści
Że choć niebyłem jako trup w mogile

Nieżyłem przecież; z téj zaś opowieści
Wnoście czem byłem bez śmierci, bez życia.

Cesarz wiecznego królestwa boleści

Z lodowatego wysunął ukrycia
Aż do pół piersi swą ochydną postać.
Prędzéj niemowle dobyte z powicia

Wzrostem olbrzymom zdołałoby sprostać,
Niźliby jemu olbrzymy zdołały
Od téj półpiersi do ramienia dostać.

Jeżli w piękności taki był wspaniały
Jak jest ta jego straszliwa brzydota
I oczy jego archanielskie śmiały

Przeciwko Stwórcy podnieść wzrok zuchwały.
O! cóż dziwnego, że wszelka sromota
Wzięła początek w téj pierwszéj ohydzie,

Że z niego wszelki błąd i zbrodnia idzie
A tuż za niemi idą wszystkie kary.

Jeżli co dziwne, to brzydota ducha!

W potwornéj głowie z trzech stron trzy maszkary
Pierwsza na przodzie, jak żar co z niéj bucha

Cała czerwona. Od prawego ucha
I od lewego po nad ramionami
Dwie drugie — obie swemi wierzchołkami

Z pierwszą złączone, tak, że trzy te larwy
Tworząc straszliwą jedność przedrzeźniały
Troistość Boga. Druga była barwy

W połówce żółtéj, a w połowie białéj
Trzecia zaś czarna jak lud zamieszkały
W strefie gdzie wody Nilowe nurtują [3])

A z każdéj wielkie skrzydła wylatują
Ale tak wielkie, że po nad wszelakie
Żagle okrętów ogromem górują.

Skrzydła te były bez piór tylko takie
Jakie w noc cichą nosząc nietoperzy
Prują powietrze; lecz gdy te trojakie

---

[3]) L' una dinazi, e quella era vermiglia;
. . . .
. . . .
La destra mi parea tra bianca e gialla
La sinistra a veder era tal, quali
Vengon di là, onde'l Nilo s' avalla.

Podług kommentatorów Vellutello i Daniello, twarz czerwona oznacza gniew; druga to jest biało-żółta jest obrazem zazdrości i nienawiści; trzecia czarna, według jednego oznacza występną nieczynność według drugiego, niewdzięczność. Inni utrzymują iż poeta miał tu na myśli, trzy części świata podówczas znane, z których potępieńcy, według wyrażenia Pisma św. jako deszcz spadają do piekła.

Skrzydła rozwinie, kiedy w nie uderzy
Natychmiast straszna w krąg burza zawionie
I w lot potrójny wicher w świat wybieży.

A Kocyt, w którym rój grzeszników tonie
Do koła piersi na wskróś był zmarznięty,
Chociaż w téj piersi ogień ogniów płonie.

Sześciorgiem oczów — boleściami wzdęty
Rzeki łez ronił — łez arcy-szatana!
Łez wiecznéj złości, rozpaczy przeklętéj!

A w każdéj paszczy z trzech paszczy tyrana
Jako w miądlicy grzesznik łomotany
A jak lawina toczyła się piana

Z śliny diabelskiéj z grzeszną krwią zmieszanéj
Z każdéj paszczęki i po każdéj brodzie.
Trzéj zaś grzesznicy jak trzy żywe rany;

Przecież w kąsaniu byłby jak w ochłodzie
Gdyby szponami oprócz kłów paszczęki
Niebył rozdzieran ten, który na przodzie

Przenajstraszliwsze musiał znosić męki.
Ah! bo on kiedyś zdeptał chleb żywota
Biorąc go z własnéj Chrystusowéj ręki!

Wraz szarpły sercem zgroza, strach, sromota
Kiedy mistrz wyrzekł: „To dusza ze skały,
„To najpodlejsza z dusz — Iskariota!“

Głowę miał w gardle, oczy roziskrzały,
Jak dwa schwytane i męczone gady—
A nogi zewnątrz wysunięte drgały.

Daleko słabiéj choć w podobne ślady
Idąc jak Judasz — dwaj drudzy cierpieli
Brutus i Kassyusz za występek zdrady [4])

W Lucyferowéj szarpani gardzieli.
„Lecz gdy noc zwolna czarny płaszcz rozwija
„Wyjdźmy, bośmy już wszystko, rzecze mistrz, widzieli."

---

[4]) Quei che pende dal nero ceffo è Bruto:

. . . .

E l'altro è Cassio.

Dante należąc do nieprzyjaciół *Guelfizmu*, jako stronnik rzymskiego cesarstwa, kładzie obok Judasza zdrajców i morderców Juliusza Cezara, którego właśnie jako założyciela cesarstwa uważa.

X. Zygmunt Golian.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

I.

Pan Onufry Koniecki urzędnik krakowski na parę tysiącach złotych polskich rocznéj płacy, był synem szlachcica na niewielkiéj lecz dostatniéj wiosce osiadłego, którego przodkowie z ojca na syna oddawali się prawu, a imię ich jaśniało w dziejach trybunału lubelskiego światłem i rzadką uczciwością. Kiedy towarzysze pana Bartłomieja ojca Onufrego korzystając z pieniactwa obywateli i zamieszek krajowych dorobili się majątków, a ze zmianą okoliczności rzucili palestrę, skupowali za bezcen obszerne dobra, rośli w znaczenie, nabywali tytuły zagraniczne i spokrewniali się z potomkami świetnych w Rzeczypospolitéj imion; pan Bartłomiéj osiadł na ojcowiźnie i zamknąwszy żal w sercu i miłość w rodzinnem kole, chwalił Pana Boga, uprawiał ziemię, wychowywał dzieci i żywił stare sługi. Sąsiedztwa dla niego nie było: dawni panowie wynieśli się częścią za granicę, częścią zaś obsiedli dwory, nowych łask u nowych panów szukając, drobniejsza zaś szlachta rozpierzchła się po świecie bądź za wojcnką, bądź za chlebem, i jakby

wymiótł nie było w całem sąsiedztwie ani jednego ze znajomych i przyjaciół lub mecenasów. Jedne dobra poszły na sprzedaż więcéj dającemu i dostały się w ręce obcych, którzy mieli więcéj pieniędzy a mniéj obowiązków, inne wzięli w dzierżawę wychrzty na propinacyach i liwerunkach spanoszali; tak iż pan Bartłomiéj ujrzał się naraz w ludnéj okolicy i gęsto wsiami zasianéj, jakoby pustelnik na puszczy. Kiedy nowi sąsiedzi podnosili dochody majętności swoich, poprawiali gospodarstwo, spieniężali korzystnie zbiory, stawiali karczmy na saméj granicy wsi pana Bartłomieja, ściągając do nich jego nawet chłopów; jemu jakoś wszystko nie szło, ziemia mniéj rodziła, grady plon tłukły, bydło się nie chowało, słowem, jak gdyby dopuszczenie boże które nad krajem ciężyło, nie powinno było pomijać najmilszych jego synów. Zwiększyły się też w znaczny sposób rozchody domowe: przybyły nowe podatki, dostawy, opłaty, daniny różnéj nazwy i znaczenia, kwaterunki, podwody, zjazdy i komissye; przyszło jedno i drugie zmartwienie, a za niemi i choroba, tak iż reszta uciułanego niegdyś grosza wyszła na to i owo. Ale nie dosyć na tém. Pewnéj jesiennéj nocy zajaśniała na niebie łuna: stodoły, obory i stajnie, dwór i wszystkie zabudowania poszły z dymem. O obronie ani myśleć było, zaledwie uratowano życie.

Nie znano wtedy towarzystw assekuracyjnych, bo miłość bliźniego i sąsiedzka przychylność bywały najpewniejszém zabezpieczeniem; towarzystwem assekuracyjném był cały powiat, niekiedy całe województwo, a kapitałem jego żelaznym, majątek wszystkich obywateli. Kiedy kto pogorzał, kiedy go nawiedziły inne jakowe klęski, powódź, gradobicie, pomorek: to zaledwie wieść o tém gruchła po okolicy, jaki taki przysłał tyle a tyle korcy ziarna, tyle a tyle kóp zboża, ten parę wołów, tamten krów kilka, inny znowu trzody chlewnéj, owiec,

jedną i drugą szkapę, ów drzewa na budowle, a kobiety zapełniły śpiżarnię, apteczkę, lamus, a często i skrzynię nowemi kopówkami. Bogatszy nawet sąsiad puścił za byleco najbliższy folwark, żeby się w nim pogorzelec zwolna dorobił, póki sobie nowego nie wystawi dworu.

Inne to wszakże nastały już czasy kiedy pan Bartłomiej pogorzał. Nazajutrz po stracie majątku pozostał bez przyjaciół i sąsiadów, bez grosza w kieszeni, z odłużoną wioską i na zasiew trzeba się było zapożyczyć. Przeniósłszy się z żoną i trojgiem dzieci do chałupy, gryzł się nie swojém tylko nieszczęściem; ale iż to nieszczęście do powszechnego co go trapiło było ową kroplą, która pełne już przebiera naczynie, rozniemógł się więc na dobre, a więcéj téż nie wstał już z łoża.

Na znękaną wdowę i małoletnie dzieci rzuciła się zgraja wierzycieli i opieka i sądy, a potém przechody wojsk i nowe klęski i biedy — nie wiele téż lat upłynęło po śmierci męża, a pani Koniecka osiadła z dwoma synami i dziewczyną w Krakowie, mając kilkaset złotych prowizyi z tego co jéj po sprzedaży wsi zostało.

Starszy syn Stanisław już wyrostek, na wsi jeszcze małym będąc chłopakiem, swawolny, rozpustny nawet, trudny do książki, do konia gorący, mało się w mieście nie urwał. Zaledwie téż zoczył w Krakowie chorągiewki przed Spiskim pałacem, przystał do wojska pomimo łez matki, która odradzać nie śmiała, ale oswoić się nie mogła z myślą pożegnania najstarszego syna, do którego, jak to często bywa, najbardziéj serce jéj lgnęło, iż chłopak był ladaco.

Drugi syn Onufry milczący i poważny nie mógł zapełnić czczości matczynego serca. Zajęty pracą szkolną zwrócił cały swój umysł ku temu, iżby jak najprędzéj mógł ulżyć matce i nie być ciężarem w domu, a nawet przysporzyć coś do skromnych dochodów które nie za-

wsze regularnie nadsyłano. Tajemnie wyszukał sobie lekcye dla młodszych od siebie dzieci, ależ mój Boże! cóż on mógł zarobić w tym wieku, kiedy studentów pod wąsem co pokończyli szkoły płacono po kilka złotych miesięcznie! Nie miał też czasu Onufry szukać pieszczot matczynych, nawet nie pojmował ich prawie; miejsce uczucia zajął u niego obowiązek i życie przedstawiał sobie w tak zimnych formach, iż jeśli kiedy jakie wzruszenie szukało sobie u niego gniazda, to je wypleniać się starał, jakby te chwasty co mimo pięknego kwiecia zawadzają bezużytecznie śród zboża i wzrost nawet jego przytłumiają. Anusia, najmłodsze dziecko p. Konieckiéj, chodziła do klasztoru św. Jana biorąc początki nauk i wolnemi godzinami dopomagając matce w zarządzie drobnego gospodarstwa. Tak żyła skromnie ta rodzina lat kilka, póki Pan Bóg nie zabrał matki do lepszego świata. Na łożu śmierci pytała jeszcze biedna o swojego Stanisława, bo od chwili jak dom opuścił, nie było o nim wieści..

Śmierć matki rozbiła do reszty tę małą rodzinę. Anusię wziął do domu opiekun, a Onufry nie dopominał się nigdy u niego grosza z części spadku jaki nań przypadał, pragnąc by z tych paręset złotych jaki taki uskładał się dla siostry posag. Nawykły do pracy i ubóstwa nie lękał się biedy: to dawał lekcye chłopcom do szkół publicznych chodzącym, to przepisywał po nocach przy łojówce dla adwokatów i notaryuszów zarabiając po piętnaście groszy od arkusza, aż wreszcie znalazł u jednego krawca na mikołajskiéj ulicy obiad za korrepetycyę synowi. Cichy, potulny i skromny, przelał na ucznia swego to usposobienie, lecz że Jaś miał serce gorące, a od małego mówili mu rodzice że księdzem będzie, więc wpływ nauczyciela surowego nie ziębił uczuć dziecka, ale je w pewną tylko wprowadził harmonię z myślą o przyszłém powołaniu. Ojcowie Jasia

nie mogli się długo dochować dziecka, uczynili więc ślub, iż jeśli im Pan Bóg da chłopca przeznaczą go na księdza, jeśli dziewczynę, to ją oddadzą do klasztoru. Stan więc Jasia wytknięty mu był wraz z jego urodzeniem, a nauczyciel taki jak Koniecki nadał się jego rodzicom; więc żeby chłopca usunąć od wpływu czeladzi i terminatorów, wzięto Onufrego do domu i powierzono mu zupełnie wychowanie syna. Kiedy nareszcie Jan wstąpił do seminarium, nauczyciel jego pozostał w tém samém mieszkaniu, tak już był do téj izby nawykł, a wdzięczni za wychowańca rodzice nie odprawili go od tego stołu, przy którym lat tyle siadywał.

Onufry aplikował w biórze, przepisywał jak dawniéj akta dla notaryuszów i adwokatów po piętnaście groszy od arkusza, i tak się już był wprawił, że nigdy ani większéj liczby wierszy na stronnicy, ani więcéj liter w wierszu nie umieścił. Pismo jego było równe, czyste, na początku ten sam zawsze zakręt zdradzający pióro pewne. W kancelaryi p. Koniecki zawsze był pierwszy, wychodził zawsze ostatni, ubiór jego lubo skromny, lecz czysty, dla oszczędności zadziewał płócienny narękawek żeby łokci nie wycierać. Zalety te nie uszły bacznego oka zwierzchników, i po kilkunastu latach aplikacyi dano mu wreszcie posadę stałego kancelisty z płacą 90 złp. miesięcznie.

Była to uroczysta dla Konieckiego chwila, kiedy mu woźny wręczył nominacyę. Wiedział już o tém dnia poprzedniego, bo mu sekretarz wychodząc z kancelaryi szepnął na ucho, a woźny przy drzwiach ukłonił się i bytność swoją nazajutrz zapowiedział. Nie poszedł więc nazajutrz Koniecki do bióra, ale w izbie swojéj przechadzał się wielkiemi krokami, puszczając myśli swoje samopas, nie wiedząc jak użyć tego czasu, który mu o tak niezwykłéj godzinie przypadł bez zwykłego zatrudnienia. Siadł wreszcie do stołu na którym leżał gruby

arkusz papieru wielkiéj miary, cały zapisany wyrazami: „próba pióra dobrego, atramentu czarnego“; po zagryzmolonym we wszystkich kierunkach temi samemi słowami papierze zaczął machać piórem, lecz widocznie nie szło mu dzisiaj, ręka drżała i już począł własnemu nie ufać szczęściu, gdy w tém otworzyły się drzwi i wszedł z utęsknieniem oczekiwany woźny. Ukłonił się raz przy drzwiach, drugi raz przed siedzącym u stołu Konieckim, a ten z powagą należną nowemu urzędowi odebrał z rąk ekspedycyę do siebie zaadressowaną, wyciął w krzyż pieczęć nic jéj nie naruszywszy, odczytał z radością któréj utaić nie zdołał, i dobywszy z kieszeni woreczek paciorkowy niebieski z wieńcem różyczek i cyfrą O. K. okryty popielatym futerałem bawełnianym, wyjął z niego trzy dziesiątki, obwinął w papiérek i ofiarując woźnemu rzekł:

— Macie to na lampeczkę!

Woźny się nisko ukłonił, bo złotówka w te czasy miała w Krakowie znaczenie, a dając ją można było powiedzieć z Konieckim:

„Macie to na lampeczkę!“ Woźny w saméj rzeczy wstąpił na ulicę Floryańską do handlu i kazał sobie dać kwaterkę wina za 7 groszy, a kiedy drzwi otwierał, już wcisnął się zaraz za nim kiełbaśnik. Woźny przejadł parę kiełbasek gorących za 3 grosze i za grosz bułkę a zapaliwszy fajeczkę drajkenigu na krótkim cybuszku, pośniadał dostatnio i pośpieszył do bióra.

Tymczasem Koniecki odczytał raz i drugi nominacyę swoją, położył ją na stole i znów przechadzać się zaczął, ale mu się wątek myśli rwał ciągle, nienawykłemu jak on był do długiego rozpamiętywania. Umysł jego nie był tępy, ale długoletnia i jednostajna mechaniczna prawie praca skrępowawszy zbyt wcześnie władze duchowe nie dozwoliła im wzbić się na skrzydłach wyobraźni, kiedy właśnie nadeszła tak rzadka w życiu

jego potrzeba zadumy. O, bo też żywot przykutego za młodu człowieka do zielonego stołu, zamknięcie umysłu jego w ciasne formułki biórowe nie dozwoli mu nigdy wybiedz na szerokie pole ruchu światowego ze wszystkiemi jego nadziejami i zawodami, z boleściami i rozkoszami! W umyśle Onufrego przesuwały się tylko jak senne widziadła wspomnienia pierwszéj młodości, zielone pola i łąki, biały dwór na wzgórzu, staw i lasek, zapach świeżo skoszonego siana i przysmaczków z matczynéj śpiżarni, a potém owa okropna noc oświecona pożarem, śmierć ojca, potém śmierć matki, czerwone chorągiewki i deklinacye łacińskie, wreszcie czeladnia izba krawiecka i bióro — ale to wszystko tak zmącone, jakby jedno wspomnienie wdzierając mu się w pamięć spychało z wązkiéj ścieżki marzeń, to które się już chciało na dłużéj w głowie zagnieździć. Wprawdzie nie trwało to wszystko długo, bo umysł jego tak się był nauczył opamiętywać w przebiegu codziennych zatrudnień i tak łatwo się nużył niewprawny do ćwiczeń przydłuższych na które nigdy czasu nie starczyło, że nie dopuścił nigdy fantazyi rozbujać się po nieskończonych przestworach przeszłości i przyszłości. Rzucił więc Koniecki marzenia otrząsnąwszy się jak koń chcący natrętne spędzić muchy, które go obsiadły, przetarł czoło i zaczął zastanawiać się zimno nad tém co mu nadal czynić wypada. Przedewszystkiém więc, gdzie mieszkać, gdzie się stołować? Miał on dla tego domu w którym tyle lat przebył więcéj niż wdzięczność, miał możnaby rzec miłość, gdyby zwało się miłością to uczucie, które tak się zrosło z warunkami życia powszedniego, iż nie wzbudza ani żądzy przywłaszczenia ani obawy utraty. Uczucie to dzielił zarówno między wszystkich członków rodziny któréj się stał domownikiem, w miarę ich stanowiska, ani sobie z niego kiedykolwiek zdawał rachunek przed sobą. Pierwszy raz po wielu latach nadeszła

chwila w życiu jego stanowcza, a że był zawsze panem siebie, więc machnął ręką, jakby coś nagle postanowił i już nie chcąc się bawić rozbiorem: jak i dla czego, zdjął z kołka frak granatowy z gładkiemi mosiężnemi guzikami, krótkim stanem i wydętym wysokim kołnierzem, frak który od święta tylko nosił, rozciągnął go na stole i począł czyścić.

Kiedy frak czyścił, to o fraku tylko myślał, tak jak przepisując w biórze, nie widział przed sobą nic prócz wyrazu który kładł na papier. Uczynił toż samo z innemi częściami świątecznego ubioru swego, i wdziawszy na siebie granatowe szerokie spodnie, białą chustkę muślinową z haftowanemi końcami w szerokie rozpuszczonemi fontazie, kamizelkę żółtą z takiemi co i frak guzikami, a wreszcie kapelusz z dnem ogromném, przejrzał się w kawałku zwierciadła oblepionego w papier, wetknął do kieszeni nominacyę i wyszedł z mieszkania. Cel tego wyjścia nie był odległy, bo tylko do przeciwnych drzwi w téj saméj sieni.

Drzwi te prowadziły wprost do obszernéj izby, któréj posadzka w piękne wzory świadczyła, że było to kiedyś pańskie mieszkanie. Nie mało jednak odtąd musiało upłynąć czasu, bo z tafel sterczały dobrze wydeptane i wypaczone sztuki, a brak ich w wielu miejscach zastępowała podłoga, o któréj starości świadczyły sterczące sęki. Oczernioną powałę utrzymywały gęsto założone wyrzynane belki modrzewiowe związane jedną poprzeczną, u któréj wisiał świat wachlarzowato ulepiony z opłatków. U drzwi zawieszona cynowa kropielnica z wodą święconą; w jednym końcu izby stał ogromny piec kaflowy zielonego koloru, przy nim olbrzymia również kuchnia zwana cyganem, któréj bękart w piec był wpuszczony. Przy kuchni uwijała się rumiana i tłusta kobieta z białą chustką na głowie, związaną po krakowsku w krzyżówkę z węzłem na czole,

a narożnikiem spuszczonym ku tyłowi głowy; ręce miała zakasane po łokcie, przed sobą długą i obszerną zapaskę, z pod któréj zaledwie widać było kraj spódnicy perkalikowéj w pstre kwiaty. Kaftanika nie miała w téj chwili na sobie, ale w to miejsce wielką białą chustę przewiązaną z tyłu, iżby ruchu rąk nie tamowała. Prawą rękę uzbrojoną miała w wielką warzęchę, w lewéj dzierżyła pęk kluczy. Po pod oknami stało kilka wązkich stołów bokiem do światła zwróconych, a za niemi kilkunastu czeladzi i chłopaków na pół zgiętych machało igłami. Między oknami wielki stół, przy nim stojąc pan Ignacy Koziński majster krawiecki płatał wielkiemi nożycami sukno na szerokie kapoty i wązką nowomodną odzież. W przeciwległym rogu izby od pieca siedział wysoki starzec w podszarzanym niewiadomo już jakiéj barwy żupanie z grubéj kitajki jedwabnéj, z fałszem z popielatéj bawełnianéj dymki, tak że kiedy zawdział na wierzch kontusz, choćby go i rozpiął z przodu, lub żeby wiatr połami zawinął, ani dojrzeć że w plecach żupana dla oszczędności sama tylko podszewka. Stary siedział na wysokiém krześle poręczowém, którego nogi toczone w świder, a poduszki obite skórą gdzieniegdzie noszącą jeszcze ślady wygniatanych kolorowych i złoconych kwiatów. Reszta wolnéj ściany zastawiona była wielkiemi skrzyniami podłużnemi zwanemi z niemiecka szlabanami czyli raczéj szlafbankami, które nocną porą rozłożone, w dwójnasób się rozrastały i służyły na spoczynek dla czeladzi; chłopcy sypiali na ławach przy piecu, za piecem i gdzie się który mógł podziać.

Kiedy wszedł pan Onufry, pani Kozińska która właśnie niosła do ust warzęchę z próbką rosołu, wstrzymała ją w pół drogi i skoro para z przed oczu jéj uleciała, zawołała z zadziwieniem:

— A cóż to pan tu robisz o téj godzinie panie Onu-

fry? i do tego, no proszę jaki wystrojony! Patrzno Ignacy!

Pan Ignacy wstrzymał się z napół otwartemi nożycami w najważniejszym i decydującym punkcie kroju i obejrzawszy się rzecze:

— To zapewne imieniny którego ze starszych.

— Nie imieniny mój Jegomość — odpowie Onufry — ale rzecz daleko ważniejsza, proszę z sobą do alkierza.

Na tak niezwykłe wezwanie pan Koziński przewiesiwszy przez siebie miarę papierową, zawołał na chłopca żeby mu surdut podał, bo przy warsztacie w szelkach tylko i kamizelce pracował, kiedy zaś wchodził do alkierza, to się już nie uważał w robocie. Niechby kto chciał przyszedł do niego w rzeczach jego rzemiosła, to go przyjmował nie inaczéj jak w izbie czeladnéj i to jak stał przy stole, ale każda inna sprawa w alkierzu tylko odbywać się mogła, i wtedy wdziewał na siebie surdut. Wszystka czeladź opuściła ręce, nawet ci co najwięcéj mieli powodu śpieszyć się robiąc od sztuki, wytrzeszczyli oczy jakby chcieli wyczytać z twarzy Onufrego co się święci, ale najszerzéj starszy czeladnik Paweł Gruca *alias* Gruczyński.

Podwójne takie nazwiska nigdzie tak często nie pojawiają się jak po rzemieślnikach. Jeśli chłopak przyjęty do terminu ze wsi lub z przedmieścia ma nazwisko nie zakończone na szlacheckie *ski*, to się go wstydzi i jakby to był pierworodny grzech, zatrzeć się je stara, i skoro tylko skończy lata nauki, a zostanie czeladnikiem, to się zaraz przezwie, a pierwotne nazwisko w metryce tylko zostaje na świadectwo tożsamości. Kiedy się utrze nowe imię między ludźmi, to się rzecz czasem oprze aż o sądy u których o urzędową zamianę stara się ten, co się wstydzi imienia i stanu ojców swoich.

Otóż Paweł Gruczyński stąd się tak zwał; był starszym czeladnikiem, miał wielkie łaski u majstra, bo

rygor między chłopcami trzymał, to jest bił o byle co, niekiedy dla tego tylko, aby wbić w nich to przekonanie, że jest od nich czémś wyższém. Wymagał uszanowania bez granic, a Onufrego nie mógł ścierpieć, bo nie śmiał zbliżać się do niego i zdawało mu się, że on go odjada przy stole, że go już odjadł i przy czém inném. Chociaż więc sam opuścił ręce kiedy się majster i majstrowa zwrócili na wezwanie Konieckiego i szli do alkierza, ofuknął jednego i drugiego chłopca że się gapią, najbliższego wycombrzył za nieuczesaną czuprynę, dalszego zdzielił przez plecy łokciem, potém wyciągnął obie ręce, psztyknął jedwabną nitką i zaklął od wszystkich djabłów.

Kiedy się zbliżano do alkierza, odskoczyła ode drzwi jak oparzona młoda dziewczyna, i jak gdyby nigdy nic, przysiadła do okna i daléjże szyć.

— Wyjdźno Marysiu — zawołała pani Kozińska i zobaczno czy się pieczeń nie przypaliła.

Marysię coś pikło, zajrzała do szabaśnika, a potém zbliżyła się do starego w krześle, dla tego tylko żeby być bliżéj alkierza i z umizgiem zapytała:

— Cóż dziadunio porabia?

— At, tak, moje dziecko, przypominam sobie dawne rzeczy — a potém ciszéj szepnął jéj: Nie mogę ścierpieć tego Grucy, co on tak chłopaków za nic ciemięży; ale to ojciec twój ani mu o tém zagadaj.

— Zwyczajnie, chamski syn — odpowiedziała Marysia, i spojrzała na niego gniewnie, że z niéj oka nie spuścił.

— Panno Maryanno, kipi coś! — zawołał Paweł.

Dziewczyna przypadła do garków i daléjże odsuwać, przesuwać, szumować itd., ale było to jéj jakoś za długo ta rozmowa tajemna w alkierzu, więc wpada raptem do drzwi i wścibiwszy głowę zapyta:

— Mamuniu! czy rosół już odebrany?

— No to zostań kiedyś tu już weszła, a niech tam

Maciek stanie i dopilnuje — zawołała pani Kozińska głośniéj.

Chłopak który się zwał Maciek, zwinny jak fruczka, zamiast wyjść z za drugich, dał kozła i jednym susem stanął przy kominie, kontent że przestał pruć jakąś starzyznę, bo niczego w życiu tak nie cierpiał jak swojego rzemiosła.

Marysia zastała matkę ocierającą łzy zapaską, pan Onufry całował ją w tłustą i stłuszczoną rękę, a ona go w głowę, i ujrzawszy we drzwiach córkę kazała jéj, jak powiedziano już, zostać.

— O ciebie tu idzie moja córko — rzecze do niéj — pan Onufry dostał już urzędowanie i...

— A te baby! — przerwał p. Koziński — to język tak świerzbi że ani wytrzymać nie może żeby nie gadała. Idź Marysiu i pilnuj kuchni.

— Dla czegóż nie ma panna Maryanna wiedzieć że ją kocham, i że dostawszy posadę z któréj będę mógł siebie i żonę utrzymać, proszę rodziców o jéj rękę — rzekł Onufry.

Marysia się zaczerwieniła, spuściła oczy, potém spojrzała na matkę i ojca żeby im z twarzy wyczytać jak to oświadczenie przyjmują, a potém stanęła wahając się czy ma wyjść czy pozostać. Że zaś wchodząc do alkierza z zapytaniem „czy rosół odebrany", uczyniła to zapytanie we drzwiach, przeto niektórzy z izby czeladnéj, a przed innemi Gruca mieli czas zobaczyć co się dzieje w alkierzu i widzieli siedzącą majstrowę zapłakaną, a przy niéj całującego ją w rękę Onufrego i usłyszeli te słowa: „o ciebie tu idzie!"

Gruca nie namyślając się wiele wtargnął do alkierza zapyrzony, pociągnął majstra za połę i szepnął mu w ucho

— A to majster tak o mnie pamięta?

— Ależ czekajno Pawle, to nie tak rzeczy idą.

— Jakto, nie tak?— zawołał Gruca coraz bardziéj się zapalając i już głośniéj mówiąc — to ja na darmo tyle lat pracuję za strawę i dzienne ladajakie jakby wyzwoleniec, nie dośpię, nie świętuję, zaganiam chłopaków do roboty, pilnuję czeladź żeby nie wynosili skrawków na tandetę, i rządzę całym warsztatem, kiedy majster na dobre zapija miód u Tomaszka!

— A czego tu chce Gruca—? zapytała majstrowa złośliwie, wiedząc że go niczem tak nie ubodzie jak chłopskiem jego nazwiskiem — a to mi się podoba, żebym ja w moim jeszcze pokoju była niewolnicą i nie mogła sobie robić co mi się podoba! Co tam Asan panie Pawle wymawiasz mojemu, czy ci to krzywda żeś się dostał do takiego domu gdzie cię uszanują? Siedzisz tu długo, bo ci dobrze. A angielskiego surduta toś nie umiał wypikować, aże się ten wędrowny naśmiewał coś go za to wygryzł. Oj źle to jegomość — mówila daléj pani Kozińska—że zamiast żonie, dajesz się powodować obcym. Już ja wiem na co to się zanosi, lecz jakem żywa nic z tego nie będzie! Wyście naklekotali głowę mojemu, i zwyczajnie! może zalał pałkę i po pijanemu przyrzekł ci Marysię. Ale prędzéj mi włosy na dłoni wyrosną, niż ona będzie twoją. Panie Koniecki masz ją pan i basta! —to mówiąc pociągnęła Konieckiego i Marysię ku sobie— włożyła rękę w rękę, wypchnęła Grucę za drzwi i kiedy je zamykać chciała, wszedł dziadunio ściągnięty hałasem i drwinkami chłopców, którzy klaskali w ręce i podrzeźniali Grucy. Stało się to tak nagle, że się ani majster ani Gruca nie opamiętali jeszcze, kiedy stary stanął pomiędzy nim a trzymanym za połę przez niego Kozińskim.

Kiedy się drzwi alkierza przymknęły, wytoczyła się sprawa przed starego. Marysia wiedząc że przy kieliszku rzecz najłatwiéj da się załagodzić, zwłaszcza znając naturę ojca którego udobruchać głównie miała na

celu, porwała wśród powszechnego zamętu klucze z rąk matki, wyjęła z komody parę złotych i wybiegła do izby.

— Maćku, mój złoty Maćku, leć *pod beczkę* co żywo! — i podała mu flaszkę w kostkę szlifowaną.

Maciek się nie dał dwa razy prosić i tak jak był, boso, w łatanych spodniach przerobionych z wyższego od siebie sposobem bardzo doraźnym, bo przez ucięcie nogawic, przewiązany krajką dał susa za drzwi, nie biegł po schodach lecz dla prędkości wsiadł na poręcz jak na konia i zjechał w oka mgnieniu na dół, wypadł na ulicę, gwizdnął w kułaka tak przeraźliwie, że jakaś przechodząca pani krzyknęła ze strachu, wyciął w kark żyda, dał szczutka szewczykowi który w takt pantoflami podrzucał, i już był w szynku, nim który z nagabniętych obejrzeć się zdołał.

— Żywo wódki!— wrzasnął Maciek.

— I czegóż się tak drzesz paprze! — zawołała szynkarka—a jakiéj? anyżówki?

— Zapewne jakiéj lepszéj, może pomarańczowéj albo cytrynowéj, albo ja wiem.

— A cóż to u was goście?

— Więcéj jak goście, moja pani Szczepanowa, bo zaręczyny.

— Ej, co ty bredzisz, kiedy to powiadano, że aż Gruca majstrem zostanie.

— Oho! daleko jemu do majsteryi! a gdzie majstersztyk, a gdzie jedna i druga sessya starszych, a gdzie dla komisarza jeden i drugi dukat, a do lady, a do puszki czeladnéj, a wykupne, a wosk do kaplicy cechowéj, a wino, a miód, a piwo, a wódka! to nie takiemu gołemu połciowi jak on majstrem dziś zostać! A potem, czy to pani Szczepanowa nie wie, że jak się uprą, to i zjedzą i wypiją i pieniądze wezmą, a w końcu zbędą niczem, i każą wszystko na nowo.

— Prawda, prawda mój chłopcze, tak zrobili też Grygorskiemu, aż przyszedł do głowy po rozum i ożenił się z wdową, to już takiego ani połowy nie kosztuje. Więc to bez majsteryi dają mu córkę?

— Licha tam jemu dadzą, nie córkę. Ale ja się tu bawię, a tam gwałtu!

— Powiedz no, powiedz mój chłopcze, bo ja taka ciekawa.

— Nie mogę, nie mogę, panienka prosiła żeby się śpieszyć.

Szczepanowa wiedziała czém usta Maćkowi rozwiązać, więc mu postawiła kieliszek szumówki na blaszanéj nożce. Maciek go przechylił, splunął, a mając już flaszkę z wódką w ręku i resztę z dwuzłotówki,—wpadnę ja tu późniéj—zawołał i wypadł na ulicę.

— Poczekaj bestya, dam ja ci!

Ale już Maćka nie było widać.

Kiedy wrócił do warsztatu, znalazł wszystkich w wielkiem poruszeniu: Marysia płakała, dziadek mruczał, matka wymyślała na Grucę co jéj ślina do ust przyniosła, majster klął w niebogłosy, a Gruca pakował swoje manatki. Chłopcy nic nie robili, ci tylko z czeladzi którzy płatni od sztuki zwijali się, jakby to wszystko nic ich nie obchodziło—istne samoluby. Maciek był prawdziwym zwiastunem pokoju: on wrócił zgodę w ten zamęt, wprowadził w ład serca i umysły, postawiwszy z powagą flaszkę. Sam jeden Gruca nie rozjaśnił czoła zachmurzonego, nie przyjął ofiarowanego sobie kieliszka wódki, co tak dalece oburzyło p. Kozińskiego, iż chlusnął na ziemię wódkę] którą wzgardzono, i zaprosił napowrót do alkierza żonę, córkę, starego i Konieckiego.

— Jak mi Bóg miły, panie Onufry, takem nic do pana nie miał, alem to sobie ułożył już z Grucą, że Marysię wydam za niego, wyrobię mu majsteryę, a ja z moją będę przy nich. Moja będzie młodym gospoda-

rować, a ja albo ludzi dojrzę, albo na Kazimierz pójdę za kupnem, a on tylko do kontmanów, bo jemu łatwiéj jako młodszemu kłaniać się, a potem że to sprytny jak niewiem co.

— Oj głupi, głupi! — zawołała z oburzeniem pani Kozińska—to ty chciałeś na dziada wyjść i jegomości (skazując na starego) na bruk wyrzucić, i być pachołkiem u zięcia.

— Oj prawda, że pachołkiem!—rzekł płaczliwym głosem stary. Ty to rozumiesz Basiu. Wyście poczciwi oboje, twój trochę prędki, ale nie żebym mu wymawiał iż mię krzywdzi, broń Boże! tylko tak sobie mówię, kiedy spojrzę z mojego kącika na ludzi i przypomni mi się, jak to człowiek miał też pod sobą po dziesięciu, ba i dwudziestu przy warsztacie, to kiedy się pisnęło, wszyscy w słuch, a i czeladnik choćby wędrowny milczał jak trusia, o bo to inne były czasy. Za mojéj pamięci, panie....

— Kochany Dziaduniu,— zawołała Marysia, która znała starego z doświadczenia, że jak się rozgadał to nie było końca, a bajał jak zwykle bają starzy o lepszych czasach, i myśli nie szły mu biegiem jednéj drogi, ale zawsze za ostatnim wyrazem gdzieś tam na ścieżkę uboczną, a z téj ścieżki znów na inną, tak iż w końcu zgubił o czem zaczął mówić i nieraz nikt ze słuchających nie wiedział już o czem była mowa, a tem mniéj kiedy i gdzie się skończy.

Kochany Dziaduniu — zawołała więc Marysia całując go w rękę—tatunio niech sobie warsztat sam prowadzi dopóki mu siły starczą, a jak się dorobi, to niech go odstąpi komu, a przy nas się mieści.

Onufry sam jeden stał milczący. Wyrzekł już raz że prosi o rękę Marysi, do któréj miał szczere przywiązanie, lecz go ten hałaśliwy zwrot jego konkurencyi tak zmięszał, że nie wiedział co począć, że byłby może w téj chwili i nominacyę swoją i frak nowy w piec wrzucił,

i poszedł gdzie w świat szukać zarobku choćby mu przyszło przepisywać arkusz taniéj jeszcze niż po 15 groszy. Pani Kozińska nie dała mu długo w téj postawie zostać, nie rozumiejąc ani nawet przewidując, jakie myśli błąkały się po głowie biednego urzędnika, ale z pęku kluczy wybrała jeden, schyliła się do skrzyni i z pod sukien i bielizny dobyła worek, brzękła nim przed oczy mężowi z tryumfem i postawiła na stole.

— Cóż to znaczy? — zapytał zdumiony małżonek.

— To posag Marysi!—

— A ty kobieto skąd przyszłaś do tych pieniędzy, przecięż....

— Przecieżem ich nie ukradła. Będzie tu pewnie bez mała tysiąc złotych. Oto widzisz, kiedy pan Onufry z oszczędzonego grosza oddał mi pięcio-złotówkę, to ja znów z mojego starałam się oszczędzić drugą i dokładałam, a nieruszyłam stąd nigdy, bom to uważała już za cudze. Więc tu połowa Marysi a połowa Onufrego.

Argument ten do szczętu rozbroił pana Kozińskiego. Wziął Onufrego za rękę poprowadził do Marysi i połączył oboje, mówiąc:

— Niech się dzieje wola boża!

— Amen! zawołał ojciec.

Pan Onufry pocałował go w rękę, potem przyszłą swoją świekrę, potem dziadka, potem Marysię, lecz kiedy Marysię drugi raz chciał cmoknąć, stary mu za uchem zawołał: „nie tak chłopcze!“ i pierwszy raz Onufry w życiu swojem uściskał kobietę, a w téj chwili zdawało mu się że jest szczęśliwy, tylko że niewiedział co ma z sobą i z tem swojem szczęściem robić, aże go Maciek z tego kłopotu uwolnił, uchyliwszy drzwi ostrożnie i zawoławszy:

— Proszę Imości, już obiad gotów.

— Poczekaj ty kuchto, dam ja ci jeżeliś pieczeń spalił! — rzekł pan Koziński wesoło.

Maciek umiał czytać dokładnie w rysach swojego majstra, roześmiał się przeto na całe gardło i powtórzył:

— Proszę Imości już obiad gotów!

II.

Nie zapomniał Maciek danéj obietnicy. Kiedy jeszcze wszystko zajęte było u państwa Kozińskich tak ważnym dnia tego wypadkiem i nie było komu dozierać chłopców, wyniósł się cichaczem i niechcąc być dłużnym kieliszka wódki, opowiedział wszystko od *A* do *Z* co się w domu stało nie szczędząc słów dla Grucy. Szynkarka nie przerywała mu w niczem, chyba że mu tu i owdzie poddała słówko, żeby go za język pociągnąć. A kiedy wszystko wycisnęła z chłopaka, odprawiła go i zawezwała do rady Szmulową, która swój kantor bankierski i wekslowy w téj saméj miała sieni. Szmulowa była to wielka dyplomatyczna i finansowa powaga. Ubrana w czepiec złoty, jak niegdyś mieszczki krakowskie nosiły, (a wówczas mało którą z bogatszych i podeszłych przedmieścianek spotkać się jeszcze w tym stroju zdarzyło i tylko żydówki w nim chodziły), obwinięta od głowy po za pas szeroką białą perkalową opończą, z pod któréj wyglądał tylko kraj czepca perłami sadzony i ogromne zausznice z rautów, ze złotym na szyi łańcuchem, u którego wisiał olbrzymi jakiś dukat hiszpański; w pantoflach z wysokiemi korkami, przechodziła się po ulicy lub zasiadała na ławeczce przed domem gdzie był szynk Szczepanowéj; a kiedy słońce mocniéj piekło albo deszcz zacinał, przenosiła się do sieni, którą najmem trzymała. Szmulowa umiała wdrażać zaufanie w tych co się do niéj zbliżali, a szczególnie Szczepanowa nie-

zwykłe miała dla niéj względy. Niemniejszéj powagi używała wekslarka i w Żydowskiém mieście, gdzie do uczuć jakie wzbudzała, przydzieliło się jeszcze politowanie nad nieszczęściem jakie jéj męża dotknęło, ale zarazem podziwiano heroizm z jakim je znosić umiała. Szmul bowiem dostał się w łapkę i odsiadywał jakąś chybioną spekulacyę; żona zaś jego', co za wielki dowód mądrości jéj poczytano, umiała się wyśliznąć ze szponów sprawiedliwości, mimo że zarówno z mężem była poszlakowaną. Opinia publiczna na Kazimierzn potępia tylko niezręczność, lekceważy ubóstwo— ślepa na środki, hołduje ylko celowi — a celem tym pieniądze. Najuczciwszy nawet żyd nie wstydzi się iść przez ulicę z wypuszczonym wczoraj z kryminału złodziejem, który przywdziawszy na nowo hałat, powraca do dawnego stanu kupca lub spekulanta, bo pod tą nazwą wszelkie zatrudnienie żyda jest pojmowane.

Nie należy obwiniać Szczepanowéj, iżby te same pobudki skłaniały ją do ścisłych ze Szmulową związków; warunki bowiem ich wzajemnych stosunków były nieco odmienne. Naprzód samo sąsiedztwo zbliżyło obie niewiasty do siebie, a potem że po za izbą szynkową była mała ciemna alkowa oddzielona od tamtéj półszklanemi drzwiami, a z niéj było wyjście do sieni i znów inne drzwi prowadziły do izby mieszkalnéj. Otóż w téj alkowie za opłatą 2 złp. miesięcznie, odbywały się interesa, których w sieni załatwiać niewypadało. Tam wprowadzała Szmulowa sienią szlachcica ułowionego na ulicy, poznawszy po obzierającéj się na wszystkie strony twarzy, uszatéj czapce i płaszczu na rękawy wdzianym, że niebywalec w mieście, i sprzedawała mu kulfony ważne zawsze na jéj ważce, albo wymieniała cwancygiery na dwuzłotówki, które się potem na widok światła zmieniły. Tam sprzedawała babie korale w tym samym szynku kupione wczoraj po pijanemu, tam przyjmowała

zastawy wypożyczając na nie po kilka złotych na krótkie termina, kontentując się półtorakiem od złotego na tydzień; tam kupowała szal od zubożałéj wdowy, kryjącéj swoje ubóstwo przed obliczem obojętnego świata, albo też sreberko od wątpliwego posiadacza. Różnego stanu ludzie bywali u Szmulowéj, ale najczęściéj lokaje i pokojówki, terminatorzy i kucharki, panny służące a niekiedy zjawił się i przyjaciel domowy, każdy niosąc łup dziennych trudów i niebezpieczeństw. Cechowy tylko złodziéj unikał téj kryjówki, bo bywało, że go Szmulowa ztamtąd wydawała w ręce sprawiedliwości niechcąc się mieścić w liczbie patentowych przechowywaczy, których policya zna zwykle na palcach, a przytem chcąc zyskać sobie na inny jaki nieszczęśliwy wypadek imię uczciwéj wekslarki.

Pani Szczepanowa ogólnie tylko wiedziała o tem co się dzieje za szklanemi drzwiami; nie przeszkadzała by na jéj stoliku nie wymieniano pieniędzy, by w jéj szynku nie sprzedawano korali lub chustki, by Szmulowa nie kazała dać na swój rachunek kieliszka wódki jakiéj kucharce wracającéj „na czczo“ z miasta i wielce strapionéj, że jéj się wczoraj łyżka srebrna z pomyjami wylała. Wszakże to wszystko było tak niewinne, że Szczepanowa nie miała powodu użalać się na sąsiedztwo Szmulowéj, zwłaszcza że oprócz owych dwóch złotych miesięcznie, winna jéj była część odbytu na wódkę. Nie dosyć wszakże na tém: Szmulowa umiała się jeszcze inaczéj wywdzięczać. Hała lub kukiel na szabas, czasem rybka, a na większe święta to i gęś, parę funtów cukru i kawy, nie licząc chusteczki w podarunku dla córki, bo pani Szczepanowa miała córkę — i płócienka na sukieneczkę dla malutkiéj Zosi, bo pani Szczepanowa miała jeszcze malutką przy sobie Zosię. Nie tu wszakże koniec dobrodziejstw Szmulowéj: ręczyła ona za okowitę braną na kredyt od żyda, a którą co tydzień

po szabasie spłacać należało, i nie bardzo swarzyła, że niekiedy zaległ jaki tydzień i Szmulowa nieubłaganego wierzyciela zaspokoić musiała.

Po obiedzie więc dnia tego, kiedy się szynk z gości wypróżnił, pani Szczepanowa wezwała Szmulowę, żeby jéj opowiedzieć co się u Kozińskich stało, bo zamęście Onufrego mogło ważny wpływ wywrzeć na los Kasi córki pani Szczepanowéj.

Szczepanowa z dalekich stron zjechała przed laty do Krakowa i zacinała też z mazowiecka. Przywiozła chorą córkę i gruby worek, wynajęła konsens od ubogiéj wdowy, zastawiła szynkfas i pułki flaszkami, miała w piwnicy zawsze okowitę na okowitę, i nie troszczyła się o męża dla Kasi, ani też co zrobić z ową malutką Zosią, która się nie długo po przybyciu jéj z Kasią do Krakowa urodziła.

Ale trzeba trafu, że Szczepan, o którym długo nie słyszała i słyszeć się niespodziewała, zwłaszcza że wyjazd jéj do Krakowa nie był mu wiadomy, zjawia się licho wie na co i po co, a pierwszy szynk, do którego wstąpił, był to szynk własnéj jego żony. Odtąd Szczepan zaprzysiągł, że nigdzie nie będzie pił tylko u żony, i byłby święcie słowa dotrzymał, gdyby wódki było nie zabrakło. Ale wysuszywszy wszystkie flaszki i baryłki, wybrawszy ze skrzyni żoninéj wszystkie pieniądze, zdarłszy Kasi ze szyi korale, zbił obiedwie matkę i córkę, kopnął kolebkę z dzieckiem zaklinając że zabije tego bękarta, potłukł próżne flaszki i gąsiorki, i trzasnąwszy drzwiami poszedł za rogatkę zwierzyniecką, gdzie zadarłszy z murarzami, znaleziony był nazajutrz w wiklinie z rozciętym łbem i jednem żebrem złamanem. Wzięto go do szpitala, leczono i leczono, ale napróżno, bo go przeciwnicy tak skolankowali, że aż w nim coś odgnietli. Pani Szczepanowa odetchnęła zostawszy wdową; ale jak tu nagrodzić straty, za co kupić wódki, opłacić kon-

sens, a cóż dopiero mówić o wydaniu za mąż Kasi? Strapionéj przyszła w pomoc Szmulowa— i od téj chwili przyjaźń się ich datuje.

— To wy powiadacie Szczepanowa, że ten krawczyk co chodził do Kasi, nie żeni się już z córką Kozińskich i myślicie, że tu wróci?

— A juści, żebym rada była, gdyby się chciał wrócić, bo się i nie bardzo o Zosię skrobał w głowę. Żeby go tylko jako wciągnąć napowrót!

— O jaka wy głupia Szczepanowa! tylko się na mnie nie gniewajcie.

— A cóżbym się miała gniewać? kiedy to z dobrego serca. Dla czegóżby nie miał wrócić?

— Ny dla czego?..... — zapytała żydówka przeciągłym głosem, którego żydzi zwykli używać w miejsce odpowiedzi — ny, dla czego? albo ja wiem?.... a niech się wróci, któż mu broni?

— O kiedy to z wami Szmulowa to ani się poradzić!

— Poradzić?.... ny, a na co wy głupstwa gadacie?.... na co jemu się wrócić? on sobie upatrzy inną jaką majstrównę, albo i wdowę, albo tak zostanie. A na co mu się żenić? goły z gołym! Ny on tu bywał, bo szynk, a dla czego potem nie bywał jak wy zbidnieli, tylko się o krawcównę starał? czy on to już wódki nie pija?.... Słuchajcie wy Szczepanowa, a wiele wy winni Chai za okowitę?

— Cóż wam do tego wiele ja winna? — zawołała z gniewem szynkarka.— Chaja nie prędko będzie się upominał, bo go dziś złapali na rogatce z beczką spirytusu. Zmienili strażnika w nocy i dali nowego, co jeszcze był głupi.

— Aj waj! aj waj!— poczęła wrzeszczeć żydówka i targać się za czepiec, lecz się opamiętała, że czepca szkoda, więc tylko klęła:

— A szwarc jur! a raker!

— A wam co się stało Szmulowa, czyto Chaja wasz brat?

— On mój brat? ten hycel, ten psiajucha! on mój sługa! ale on mi bliżéj jak brat, bo on mój majątek ma w ręku. On ich gotów zaprowadzić do składu a tam więcéj jak tysiąc garncy szwarcowanéj okowity. Jego złapali, to i ja zginę, i was djabli wezmą Szczepanowa! a kto da wam wódki bez pieniędzy?

— Więc to wasza była wódka?

— Moja, moja, wszystko moje. Tu połowa szynkow w mieście moją ma wódkę. Ale ja wam gadam Szczepanowa, a wy mnie zdradzicie.

— Boże uchowaj!

— Ja was ostrzegam Szczepanowa, że jak słowo powiecie, to ja was wsadzę do kryminału.

— Mnie! mnie! — wrzasnęła Szczepanowa, a czy to ja kupowałam od złodzieja, czy to ja....

— Szczepanowa! nie róbcie krzyku, na co to tego? Szczepanowa wyście dobra kobieta, ja wam dobrze życzę, ja wam dam jeszcze wódki na kredyt, tylko mi zróbcie jedną łaskę. Poślijcie Kasię na Kazimierz, niech tu przyjdzie mały Aaron, wiecie ten ze składu. On się musi koniecznie widzieć z Chają.

— A kiedy Chaja siedzi w areszcie.

— Ny, a cóż to szkodzi? Albo to raz Aaron trafił do aresztu? on się ze Szmulem widywał, kiedy Szmul siedział na inkwizycyi. On sobie poradzi. Tylko ja nie mogę iść do składu, boby mnie mogli widzieć, a ten Abraham co ma przy moście skład wódki, to mię szpieguje. On Kasi nie zna, niech Kasia powie Aaronowi, żeby nie szedł na most, tylko pod Podbrzeziem niech przejdzie po palach co od dawnego mostu zostały. Człowiek bardzo musi być teraz ostrożny. No Szczepanowa zróbcie mi tę łaskę, powiedźcie jéj, że ja jéj za to męża nastręczę.

Zebrała się Kasia na Kazimierz ale w kwadrans wróciła zadyszana. Szmulowa ujrzawszy ją weszła do sieni a przez sień do alkowy, bo i Kasia nie zwykła była przez szynk przechodzić. Matka uchyliwszy drzwi półszklane, żeby kto pod nieobecność córki nie wszedł do izby tylnéj, czekała na nią, ale się tak rychłego niespodziewała powrotu.

— On tu jest!— zawołała Kasia stawając we drżwiach uchylonych.

— Gruca!—

— Chaja!—

Oba te wykrzykniki wydane były równocześnie przez obie niewiasty, bo Szczepanowa miała głowę nabitą krawczykiem, a żydówka szwarcownikiem.

— Ej licho mi do nich! Wie mamunia, żem go widziała, jak mamę kocham widziałam, on tu przyjechał do Krakowa, pewnie mnie szuka, pewnie za mną przyjechał. Już ja miałam słusznie, kiedym mówiła że on mię naprawdę kochał i kocha.

— Czyś ty oszalała dziewczyno, czy ci się troi w głowie? kogoś ty widziała?

— No i kogóż jeżeli nie pana Stanisława?

— Gdzie? jak?

— Zajechał koczem przed Knotza i widziałam, że jak mię spostrzegł, to się mocno zmięszał, alem go przy ludziach zaczepiać nie śmiała.

— O Boguż dzięki! on nas z biedy wyratować musi, ja się jutro raniutko do niego zbiorę, żeby go jeszcze w domu zastać. Zje licha, czy się wywinie nie zostawiwszy dla ciebie na posag i dla Zosi na wychowanie. Nie wiecie Szmulowa gdzie to mieszka Chłapczyński, on mi najlepiéj poradzi jak sobie począć, gdyby się dobrowolnie nie zgodził.

— A na co wam Chłapczyński? on tu i tak przyjdzie jutro na wódkę, bo to dzień targowy, to on cho-

dzi po mieście i po wszystkich szynkach za chłopami, ale ja wam radzę lepiéj weźcie sobie do rady Fromberga, to żydek bardzo uczony w prawie: on sobie trzyma adwokata, żeby za niego tylko w sądach stawał, a sam prowadzi procesa, on mi już nieraz sprawę wygrał.

— Ale na cóż to wszystko? ja sama pójdę do niego ze Zosią i....

— Ta ta ta ta ta!.... zawołała Szczepanowa — Zapewne ty pójdziesz! jeszcze czego? może sama, bezemnie. Otóż ja naprzód pójdę i to zaraz.

Zerwała się Szczepanowa i ogarnąwszy się na prędce wybiegła.

— No i cóż mówił Aaron? panno Kasiu? — zapytała Szmulowa.

— Aaron? o moja Szmulowa, ady ja zapomniałam na śmierć o Aaronie.

— O panno Kasiu, panno Kasiu! tyś zapomniała o nieszczęściu Szmulowéj.

Kasia miała dobre serce i poczęła płakać, a Szmulowéj nic innego nie pozostało, tylko się udać na Kazimierz. Wychodząc przed dom ujrzała jakiegoś mężczyznę w ubiorze podróżnym z antypką w ręku, jak się oganiał zgrai żydów która go obsiadła, chwytając za suknie a nawet za ręce i wołając:

— Niechaj Wielmożny pan zaczeka, ja się zgodzę.

— Jaśnie Wielmożny pan dostanie u mnie najtaniéj.

— Ja dam Jaśnie panu o ćwierć procentu taniéj, niech jaśnie pan nie słucha jego, bo to szachraj.

Żydzi poczęli się kłócić między sobą, popychać, szturchać, wszczął się krzyk i hałas, a mimo téj wrzawy nie puszczono z rąk ofiary swojéj, szarpiąc obcego za poły i zachodząc mu drogę, i przyprowadzono go do takiéj niecierpliwości, że podniósłszy do góry cybuch zawołał:

— Który mi się tu zbliży, to do stu kartaczy, chlu-

snę przez pysk! Won odemnie psiawiary. A to istne łapserdaki krakowskie!

Przemowa ta nie została bez skutku: wekslarze trzymali się na odległość cybucha, aż Szmulowa która właśnie co wyszła ze swojego komptoaru rzekła do podsuwających się chyłkiem żydów i żydówek:

— Gaj! gaj! lass! lass!

— Drey viertel! — szepnął jéj do ucha jakiś faktor, zdając jéj lakoniczny raport o stanie giełdy brukowéj, a raczéj o punkcie na jakim negocyacya handlowa w téj chwili prawdopodobnie stoi.

Nie wszyscy bowiem żydzi uwijający się po rynku krakowskim i ulicach pobocznych trudnią się wymianą pieniędzy i papierów publicznych. Wielu z pomiędzy nich nie ma grosza w kieszeni, lubo nieraz negocyuje dość znaczne summy, a tacy są albo meklerami, albo też dobiwszy targu, odstępują interes za parę złotych zamożniejszemu wekslarzowi.

Szmulowa tak poważną miała postawę, że obcy zbliżył się do niéj i zapytał po czemu listy zastawne.

— Proszę Jaśnie pana do sieni — rzekła żydówka — nikt tam nie przeszkodzi. Szmulowa wiedziała, że wejście do sieni jest tylko pierwszym krokiem do stanowczych układów; a mimo obawy jaką była przejęta o Chaję, a raczéj o swoją okowitę, nie mogła przenieść na sobie, aby opuszczać sposobność zarobku, nie przewidując zwłaszcza jak rozległy może być interes. Wszakże sień nie wstrzymała napadu cisnących się żydów, i trzeba było ją przymknąć; przymknąwszy zrobiło się ciemno, więc Szmulowa wprowadziła gościa swego do alkowy.

Niedługo potem otwarła się brama, Szmulowa wyszła i widziała czatujących jeszcze wekslarzy pojedynczemi posterunkami rozstawionych po ulicy i wyglądających

skutku negocyacyj. Zbyła czemś sprawozdawcę swego giełdowego i spotkała o kilka kroków Szczepanową.

— Niema go u Knotza — rzekła szynkarka, wyszedł na miasto.

— Ny ja wiem że go tam nie ma, bo on tam siedzi w alkowie z Kasią, a może i w izbie.

— Kto taki?

— No któżby, tylko ten pan od Knotza.

— Co wy pleciecie?

— Ny, albo ja wiem czy to on czy nie on, tylko że mi zapłacił za was i kazał przywieść wódki i dał już na nią. Jutro rano Chaja przywiezie wam okowitę. Ach waj! ach waj! Chaja! — zawołała żydówka przypomniawszy sobie nieszczęście jakie go w nocy spotkało, i nieczekając odpowiedzi zostawiła zdumioną Szczepanową, a sama poszła na Kazimierz.

Nazajutrz zaraz po prymaryi pani Kozińska wstąpiła zwyczajem swoim do kawiarni, gdzie o téj wczesnéj godzinie wszystkie kumoszki w Krakowie zbierały się na garnuszek kawy i ploteczki.

Kawiarnie krakowskie dzielą się na dwa rodzaje. W jednych gromadzą się mężczyzni po południu lub wieczorem: tam kawa podrzędną tylko gra rolę i służy raczéj za pozór schadzki niżeli za cel; do drugich a tych liczba jest niezmierna, chodzi się wyłącznie na kawę, a w tanich czasach kosztowała tam szklanka kawy 4 grosze. Trudno o tańszy napój, któryby zarazem posilił i rozgrzewał; kawa zatem stała się jednym z głównych napojów wszystkich kobiet, a że się w Krakowie ludzie jednego mniéj więcéj koła powszechnie znają, przeto przy kawie w lada kawiarni ciasną zajmującéj izdebkę, zawsze się znajomi zetknęli.

W takiéj też kawiarni po prymaryi znalazło się kilkanaście pań majstrowych, mączniczek, krupniczek a nawet przekupek, a te ostatnie lubo stanowiły izbę niż-

szą w tym babskim parlamencie, niemniéj przeto, a może właśnie dla tego, tem głośniéj słyszeć się dawały. Bliskie zamęście panny Kozińskiéj było jak się można spodziewać jednym z głównych przedmiotów obrad, a po załatwieniu mnóstwa propozycyj, wniosków, poprawek, mocyj i interpelacyj tyczących się to dnia ślubu, to sukni ślubnéj, to ilości i jakości dróżb i druchen itd. itd., solwowano sesyę na dzień następny, złożywszy uroczyste powinszowanie pani Ignacowéj, którą przygotowania ślubne śpiesznie do domu wzywały, a następnie podzielono się na małe kupki, gdzie w następujący sposób stawiano glossy do szczęścia Marysi.

— No proszę! uważałyście pani Tomaszowa jak ta Kozińska zaraz zadarła nosa do góry!

— Ba! albo to ja ślepa! mój Boże, a jak to dmie! zawaliła kokardy u czepka nieprzymierzając jak skrzydła u wiatraka.

— Dmie bo ma czego— odezwala się znów inna jejmość—alboż to nie wydaje córkę za gryzipiórkę!

— Jakież to niewydarzone stworzenie ta jéj Marysia! Panie odpuść! kołek i kołek.

— Pamiętacie to pani Wojciechowa, kiedy mój kupował u notaryusza tę kamienicę co w niéj dziś mieszkamy, od Pawliców, ej! musicie wiedzieć kumoszko?....

— No jużcić wiem, to co?

— No to ten Koniecki trzymał mojemu pióro kiedy kładł znak krzyża Śgo, i dostał za to złotówkę.

— Mój Boże! jak się też to drugim ludziom wiedzie!

Te i tym podobne rozmowy szły długo jeszcze w kawiarni, potem wyniosły się do apteki, gdzie kumoszki wstąpiły na krople, potem szły wzdłuż rynku po wszystkich kramach bogatych, jatkach szewskich, znalazły wstęp do warsztatów składane w formie raportów mężom, a po południu i wieczorem na winie i na miodzie zostały stwierdzone.

W żydowskiém mieście pełno było za sprawunkami osób. W jednym ze sklepów sukiennych dwóch krawców targowało każdy swoje, gdy ten sam obcy jegomość który u Szmulowéj zmieniał wczoraj pieniądze czy też listy zastawne, wszedł także za kupnem. Wszyscy z za kasy kupiec i kupczyki rzucili się rozkładać przed nim postawy, zachwalać towar, pokazywać nawet książki handlowe umyślnie na ten cel utrzymywane, gdzie jak najwyraźniéj stało, że ten a ten postaw kosztuje tyle a tyle w Lipsku na jarmarku; z cen zaś podawanych przez kupca wykazało się, że ze stratą oczywistą chcą towar wyprzedać—jedynie, jak żyd utrzymywał: żeby mieć na drugi raz zaufanie. Obecni krawcy zapytani przez żyda ocenili sukno po złotówce taniéj jak żądał, a żyd zawołał:

— No niech i tak będzie, niech i to stracę! byle JW. Panu usłużyć!

Kupujący niezważał na ceny podane i oszacowane, ale powiedział swoje i na tem koniec.

Kiedy się żydzi zajmowali obcym jegomością, obecni dwaj majstrowie poczęli sobie półgłosem opowiadać o zamęściu córki Kozińskiego z Onufrym Konieckim. Rozmowa ich nie uszła uwagi obcego, a kiedy kupiec go zapytał do którego krawca każe zanieść sukno „bo jeden z tych panów gotów służyć Jaśnie Panu—paryzkie mody, a fein! biorą miarę na całe paryzkie a nie papierem,“—rzekł obcy jegomość sucho.

— Przepraszam, ale mam stałego krawca.

Skoro wyszedł ze sklepu, zawołał na żydziaka, który niósł za nim paczkę.

— Do Kozińskiego!

I poszli obaj do miasta.

Nazajutrz zaledwie się rozwidniło, tłucze się ktoś do drzwi Onufrego.

— Kto tam?

— Swój!

— Co za swój?

— Czy tu mieszka pan Onufry Koniecki?

— Tutaj.

— No to otwieraj do stu piorunów! to ja, Stanisław!

Usłyszawszy to imię Onufry zerwał się z łóżka i zapomniawszy o więcéj niż skromnem ubraniu swojem, tak jak stał przypadł do drzwi i obaj bracia rzucili się sobie w ramiona, potem odstąpili od siebie na parę kroków aby się sobie przypatrzeć nawzajem i znów w długim serdecznym zawiśli uścisku. Po téj pierwszéj chwili uniesienia nuż sobie rozpowiadać całe dzieje od lat dziecinnych. Opowiadanie Onufrego było krótkie, bo życie jego nie przedstawiało samo w sobie żadnych owych punktów świetnych, nad któremi wspomnienie z lubością się zatrzymuje, a przy tem uradowany odzyskaniem brata niechciał zasmucać téj radosnéj chwili opisem śmierci matczynéj, któréj zaledwie dotknął. W opowiadaniu swojem doszedł do tego, iż doczekał się stałéj posady, a zatem ma spokojny kawałek chleba i więcéj na teraz nie pragnie.

— A teraz powiedz mi mój kochany Stasiu, co się z tobą stało, gdzieś się obracał i co robisz, bo jak widzę, wyszedłeś na człowieka. Takeś mi zmężniał i spoważniał, iż gdyby nie ta blizna na skroni, nigdybym się do ciebie nie był przyznał.

— Aha ta blizna! com to dostał w łeb belką, kiedym chciał w czasie ognia wyprowadzić ze stajni mojego siwka! Oj ta blizna zdała mi się na niejedno: myślano zawsze żem w bitwie był raniony; dostałem był naprawdę gorzéj czerepem granata w nogę, lecz o tem zapomniano, bo nie widać. Wszędzie bracie patrzą tylko po wierzchu. Żebym był przynajmniéj siwka wyratował, ale miałem w wojsku szkapę niech ją djabli wezmą, jak mię zdradziła! i dostałem się przez nią do niewoli, wszakże niema

tego złego coby na dobre nie wyszło. Opowiem ci krótko i węzłowato jakie przeszedłem koleje, a kiedy tam, jak się zdarzy, pogadamy obszerniéj. Mówiłem już jeśli się nie mylę, żem się dostał do niewoli. Kiedy mię wypuszczono, wracałem myśląc co z sobą zrobić, gdzie się podzieć, trzeba się było oczywiście już trzymać stanu wojskowego, bo do czego innego człowiek nie był zdatny. Szedłem więc ku Warszawie znajdując wszędzie po drodze pomoc i wsparcie, ale mi się rana odnowiła i musiałem zostać dłuższy czas u obywatela jednego na wsi, gdzie mi ptasiego mléka chyba brakowało. Sama pani mię pielęgnowała, a że jéj wypadło jechać do Warszawy z mężem a mnie jeszcze wziąść z sobą nie mogli, więc mię zostawili we dworze prawie panem. Byłbym tam Bóg wie jak długo był chciał chorować, tak mi było dobrze: służba na zawołanie, karczmarka opatrywała mi nogę, a córka jéj co we dworze służyła, imię jéj było Kasia, e! co to za dziewczyna!

No nie rumień się mój Onufry, boś ty fryc jak widzę, ale my wojskowi..... ale nie o tém mowa. Otóż prosiłem szlachcica kiedy wyjeżdżał żeby się przepytywał w Warszawie, czy tam co o was nie wiedzą. Rzecz to tam nie trudna, czy u furmanów krakowskich na bielańskiéj ulicy, czy u fruchtarzy co kaszę i jabłka Wisłą spławiają. Mój gospodarz inaczéj się wziął do rzeczy, i podał do *Kuryera*, patrz oto chowam ten numer w pugilaresie.

Stanisław wydobył podłużną małą ćwiarteczkę niebieskawego papieru, na jakiéj wtedy drukowano Kuryera, i pokazał następne słowa Onufremu:

„Ktoby miał wiadomość o rodzinie Konieckich, „raczy się zgłosić do hotelu podlaskiego pod „Nr. 5.“

— Otóż zamiast od was — mówił daléj Stanisław — odebrałem od kogo innego list, a raczéj odebrał go mój gospodarz. Czytaj.

Stanisław podał bilecik Onufremu, który te przeczytał wyrazy:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Zagabany tak niespodziewanie przez Kuryera Warszawskiego, nie wiem jak sobie tłumaczyć tę Jego ciekawość, zanim ją więc zaspokoję, donoszę, że stoję w hotelu smoleńskim pod Nr. 3, i oczekując wyjaśnienia piszę się

„Sługą
„Franciszek Salezy Koniecki *mp.*"

Gospodarz mój poznał, że omyłka się stała, poszedł więc do pana Franciszka Salezego Konieckiego żeby się wytłumaczyć, a przy tém sądził, że to jaki krewny nasz na prawdę. Porozumieli się téż istotnie ze sobą, wypili parę butelek wina na przypieczętowanie téj nowéj znajomości. O tém wszystkiém doniesiono mi z załączeniem Kuryera i tego listu, a przytém z następującym listem pana Franciszka Salezego:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Ani wątpić, że Waszmość Pan jesteś moim krewnym. „Zaglądałem do papierów familijnych które mam tu z sobą, bo mi potrzebne do processu, i przekonałem się, „że przodkowie moi pochodzą z Mało-Polski, a przeto „nie masz wątpliwości że to taż sama familia, któréj „jedna gałąź we mnie się reprezentuje, a Waszmość Pan „jesteś odnóżkiem drugiéj. Niewymownie byłbym uradowany, gdybym miał szczęście poznać Wgo Pana Dobr. „o którym tyle dobrego słyszałem, a przytém bardzo „mię ucieszył ten nowy sposób dowiadywania się o fa-

„milii przez gazety, bo mi nastręczył oprócz nadziei „oglądania Wgo Pana Dobr., sposobność poznania tak „czcigodnego obywatela jak pan Duliński, w którego „domu WPan bawisz łaskawie. Ubolewam nad chorobą „WPana Dobr., gdy wszakże mam zapewnienie Wgo Du„lińskiego, że za odzyskaniem zdrowia przybędziesz do „Warszawy, przeto wyglądam niecierpliwie tyle dla mnie „pożądanéj chwili oglądania Wgo Pana Dobr. dla któ„rego żywię w sercu przyjaźń i uczucia krewnego. „Waszmości Pana Dobr.

„Sługa i przyjaciel
„Franciszek Salezy Koniecki.“

W samej rzeczy wydobrzałem był zupełnie, a lubo nie z wielką przyznam się chęcią opuszczałem był dom gdzie mi było jak w raju, i trudno było oderwać się od Kasi, która się mocno do mnie przywiązała, to przecięż czułem, że mi nie wypadało siedzieć tam wiecznie, że trzeba czy dla pomyślenia o przyszłości, czy dla dowiedzenia się o was, czy wreszcie dla poznania nieznanego mi imiennika a może i krewnego, udać się do Warszawy.

— No i cóż daléj — zapytał Onufry, który słuchał był chciwie opowiadania brata.

— W Warszawie dowiedziałem się że matka nie żyje, że ty gdzieś w biórze pracujesz, o siostrze nie umiano mi nic powiedzieć, lecz byłem o nią spokojny, wiedząc że ty jéj nie dałbyś krzywdy zrobić. Zresztą powiem ci dla czego nie mogłem był zaraz jechać do Krakowa, a dla czego pisać nie chciałem. Mój nowy opiekun na prawdę przyznał się od razu do pokrewieństwa i przypadłem mu jakoś w oko, że mię i puścić nie chciał. Owa blizna na twarzy dodawała mi w oczach jego powagi, a że ze wsi jeszcze umiałem rozróżnić co proso a co tatarka, więc mię zabrawszy z sobą prawie gwałtem na wieś do siebie, prosił żebym mu gospodarował,

jak jemu za procesami jeździć wypadnie. Już to i z tego samego przyznawał się do krewieństwa z nami, żeśmy szlachta trybunalska. Przybywam z nim razem na wieś; wjeżdżamy we wrota, a tu na nasze przywitanie, anim się spodziewał, wybiega córka. O córce mi stary nie pisnął nawet w Warszawie. „Przywożę ci Józiu twojego stryjeczno-stryjecznego brata po moim dziadku a twoim pradziadku. Daleki krewny, ale to zawsze krew nasza“— rzekł stary przedstawiając mię pannie, która była niczego. „Masz go uważać jak brata“. A do mnie powiada nazajutrz kiedyśmy poszli oglądać gospodarstwo: „Panie Stanisławie“—bo mię od razu jak synowca traktował— „jestem już w wieku, mam tylko tę jedną córkę, a trochę interesów na głowie, które bym rad przed śmiercią załatwić, żeby umrzeć spokojnie; nie dał mi Pan Bóg syna i na mnie byłoby moje imię wygasło, kiedy więc znalazłem potomka téj saméj rodziny w zacnéj osobie twojéj, to chciałbym żebyś mi syna zastąpił. Obejrzyj moje gospodarstwo, poznaj bliżéj Józię, a przekonasz się, że ci się nie narzucam. Reszta do ciebie należy. Jesteś młody, służyłeś wojskowo, przyznajesz się że nie masz jeszcze losu, nic cię nie wiąże—masz więc wóz i przewóz“. Ucałowałem ręce starego i takem się żywo zawinął, że już drugi rok jak jestem żonaty. Miałem trochę kłopotu z Kasią, bo mi jéj matka bróździć chciała, aż musiałem się przyznać Dulińskiemu pod sekretem i on mi dopomógł, żem matkę i córkę do Krakowa wysłał dawszy coś odczepnego. Zaledwiem tu przybył, patrzę, pierwszy kto mi drogę zachodzi — Kasia. Zwinąłem młynka, nie kazałem matki wpuszczać do siebie, mimo tego wlazłem nie wiedząc o tém sam do nich; opowiem ci to później, kosztowało mię trochę grosza—no ale może na tém koniec.

Zważysz więc, że kiedy tak wszystko ze mną szło nagle, nie było sposobu jechać do Krakowa; pisać nie

chciałem, bo mię wstyd było, że wyszedłszy tak dobrze licho wié za jakie zasługi, nie mogę chyba goły list posłać. Stary trzymał grosz w ręku, tak iż ledwie mogłem był zwrócić Dulińskiemu co mi był pożyczył na zatkanie gęby Kasi; otóż więc teraz mam Bogu dzięki czém dopomódz ci, a powiedz co się z Anielą dzieje? Teść mój wygrał gruby proces.

To mówiąc Stanisław położył pugilares na stole wyładowany listami zastawnemi, lecz go Onufry odsunął ręką i rzekł tonem więcéj obrazy, niż podzięki:

— Dziękuję ci Stasiu, ja nic nie potrzebuję.

— Czyś oszalał? no cóż to u pioruna! między braćmi takie skrupuły. Wziąłem z tego tylko tysiąc złotych od okrągłego i dałem Kasi na wychowanie córeczki, to ci ten tysiąc pocztą nadeślę. No, nie bądź dziwakiem. Stary mój umarł nie doczekawszy się skutku wygranego processu, który mi śliczne dobra przyniósł.

— Więc Kasia ma córkę? zapytał Onufry.

— Ładne dziecko, prawdziwie, pokazywała mi je, i gdyby nie to, żem się silił na żarty, byłbym się gotów rozrzewnić. Kasia zaprawdę niezmiernie była do mnie przywiązana; w téj dziewczynie było coś szlachetnego, djabli wiedzą skąd się to bierze, bo to córka karczmarza i pijaka, wychowała się ze służbą we dworze. I wczoraj miałem dużo kłopotu żeby ją ukoić. Dalibóg, to dziwna; na co to się teraz zanosi. Ale ale, czy to prawda panie bracie, że się ty żenisz?

— Tak jest i to niezadługo—rzekł Onufry, któremu się ten sposób traktowania ludzi i uczuć widocznie nie podobał. Im bliżéj mówił ze Stanisławem, im dłużéj go słuchał, tém boleśniéj każdy wyraz ranił go, i to serce które się z całym zapałem otworzyło dla uczuć braterskich, zasklepiało się zwolna i nabierało przekonania iż lubo zobaczył napowrót straconego już brata, ale go nie odzyskał.

— A czy wiesz gdziem się o twojéj żeniaczce dowiedział? Oto na Kazimierzu w sklepie u żyda. Twój teść ma mię od stóp do głów ubrać, bo mam tu parę wizyt odbyć. Widziałem i twoją narzeczoną. Winszuję, winszuję.

Onufry milczał.

— Powiedz mi mój kochany bracie — rzekł nieco surowo Stanisław — czyś ty oszalał! żenić się tobie z krawcówną! Pfe! Słuchaj, jedź ze mną, ja cię wyswatam, tylko się trochę w Warszawie zatrzymasz, żeby ci wąsy odrosły, a mina się skrzepiła. Już ja tam wytrzasnę dla ciebie co dobrego.

— Dziękuję ci kochany bracie, ale ja już dałem słowo.

— Co? słowo! czyś ty oszalał! zapytaj się Kasi czy ja jéj nie dawałem także słowa? A propos Kasi, mówiła mi jéj matka, że ją chce wydać za krawca, tylko mu trzeba majsteryę wyrobić. Ja ją przyślę do ciebie, może się wstawisz do twojego teścia bo on podobno starszym w cechu. Onufry nie żartuj! Ty się nie ożenisz z córką Kozińskiego; ty się z nią nie możesz ożenić, ja nigdy na to nie pozwolę. Czy ty chcesz sobie los zatamować? czy chcesz żeby cię palcem wytykali? czy myślisz całe twoje życie klepać biedę, otoczyć się kupą dzieci i myśleć o tém tylko żeby z głodu nie umrzeć? A potém, żeń się i w ubogim domu, tylko się nie żeń tam, gdzie nie znajdziesz dla siebie ani towarzystwa, ani zajęcia, gdzie skazany będziesz nudzić się pośród ich zabaw, milczeć wśród ich rozmów, gdzie kiedy przeminie chwila szału i roskoszy, znajdziesz się samotny i niezrozumiany. Twoje potrzeby, twoje zamiary, twoje dążności, twoje marzenia rozbijać się zawsze będą o uczciwe ale nieprzystępne uczuciom twym serca. Nie dla tego iżby tam uczuć nie było, ale definicya ich inna, a od téj definicyi zależy nieskończenie wiele. Bogactwo czy materyalne

czy moralne zależy nie od zasobów, ale od miary jaką się te zasoby mierzy. Otóż ty inaczéj musisz mierzyć jak oni. Jeżelibyś mi powiedział, że się tak ożenisz, iż potrafisz oderwać zupełnie twoją żonę od społeczeństwa z którego wyszła, to rzecz inna, ale bracie, tego nie dokażesz w twoim stanie; trzeba na to grubych pieniędzy i odległości mało stu-milowéj. Tymczasem widziałem twoją przyszłą: to Boże zmiłuj się, cielątko i nic więcéj. Onufry, Onufry, opamiętaj się!

— Słucham widzisz spokojnie, bo to wszystko co mi teraz mówisz, tom sobie na minutę przed oświadczeniem i nawet jeszcze w czasie oświadczenia powiedział nie wyrazami, nie obrazami, ale jakoś przelotnie wszystko to przesunęło mi się po głowie.

— No więc cóż?

— Nie cofnąłem się. Oni mi byli drugiemi rodzicami, szanuję ich, kocham, mam przywiązanie do córki, będę więc zawsze kochał ich i szanował — a zresztą — jeśli ci o to idzie — stało się!

W tym wyrazie „stało się!“ leżało tyle rezygnacyi, iż Stanisław uważał brata za zgubionego i nie rzekłszy słowa wzruszył ramionami. Onufry wskazał mu pugilares i rzekł:

— Schowaj go, ja nic nie przyjmę.

Stanisław się zerwał i zawoławszy:

— Dalibóg waryat! — zwrócił się nagle ku bratu i rzekł:

— Do widzenia, pugilares ten odbiorę, ale nie chcę przy sobie nosić tyle pieniędzy — widzisz, możnaby zgubić. Bądź zdrów śpieszy mi się.

To rzekłszy pocałował Onufrego i wybiegł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aleksander Szukiewicz.

SZCZĘŚCIE MILIONERA.

(Szkic humorystyczny p. Méry).

W połowie wielkiéj drogi wiodącéj z Bethfort do Londynu, leży na boku śliczna willa, własność byłego nożownika z Birminghamu. Bogaty ten kupiec zowie się Shoffield jak większa część anglików, a na imie mu Wiliam jak każdemu z nich. Przez trzydzieści lat sprzedał tyle noży całemu światu, że zebrał uczciwie ogromny majątek — na każdym nożu miał w zarobku trzonek. Tegoż dnia w którym kassyer wykazał mu że ma pietnaście tysięcy funtów czystego dochodu, porzucił noże i został mieszczaninem, mając szczerą ochotę używać życia. Zaabonował zaraz *Suna* na to żeby mógł czytać czwartą stronę anonsów jak każdy anglik, skutkiem czego są tak mocni w polityce. Za skazówką *Suna* kupił sobie dobra w hrabstwie Kent, pragnąc się zbliżyć do Londynu, gdzie zamierzał zakończyć życie na łonie uciech.

Na wiosnę 1844 roku Shoffield zamieszkał w swym nowym domu wiejskim i przyjął dwóch służących strojnych w złote galony i niebieskie rękawiczki. *Milne* sławny powoźnik dostarczył mu karetę, trzy konie i czarnego emancypowanego woźnicę. Przejeżdżający dyliżans z Bethfortu składał codziennie u drzwi jego świeżego łososia i raka morskiego. Przez pietnaście dni Shoffield w bogactwie swojém był szczęśliwy jak bóg pogański. W początku drugiéj połowy miesiąca, kiedy brał nóż którym miał krajać łososia, westchnął i rzucił melancholiczne wejrzenie na północ Anglii. Służący myśląc że Shoffield wyrzuca mu na migi nieczystość noża, podał mu ich tuzin na talerzu — co widząc Shoffield uderzył tak potężnie pięścią w talerz, że noże i skorupy rozleciały się w koło. Urażony tém służący, natychmiast podziękował panu za służbę; trzeba wiedzieć, że służący angielski jest bardzo dumny dla tego że się urodził wolny i że ma rękawiczki.

— Jak mi Bóg miły! zawołał Shoffield, zdaje mi się że mam spleena! Nie sądziłem nigdy że tak trudno jest nic nie robić — taki byłem szczęśliwy przy warsztacie! Muszę się poradzić mego sąsiada pana Kemble.

Pan Kemble, syn sławnego aktora tegoż nazwiska, jest dyrektorem *Quarterly-Review*, ma lat trzydzieści cztéry, nie mniéj poważny od swojéj revue, jak ona oprawiony w szare okładki i w kamizelkę z białemi marginesami. Shoffield robił kiedyś dla ojca jego, zbiór niewinnych puginałów przeznaczonych dla Macbetha i Hamleta — ztąd znał się z synem.

Kiedy służący oznajmił mu przybycie Shoffielda, Kemble właśnie rozmyślał w gorącéj szklarni nad artykułem przeciw Birmanom. Rozmowa zaczęła się jak zwyczajnie pomiędzy anglikami. Shoffield usiadł i patrzał na Kembla, a Kemble na Shoffielda. Ta wymiana spojrzeń trwała pół godziny. Obaj milczeli. Taki stan rzeczy byłby nie-

zawodnie trwał do wieczora, ale Kemble miał do zrobienia korrektę krytyki dzieł *Tapis-Koï*, światłego Mandaryna, który kwitnął 3588 lat przed naszą zwyczajną erą. Nie mając przèto już ani pięciu minut do stracenia, westchnął. Słysząc to Shoffield, wstał, i chciał pożegnać gospodarza obawiając się być mu natrętnym; ale ten zatrzymał go.

— Panie Shoffield, rzekł przez zęby, miałeś mi zapewne coś do powiedzenia, mów pan.

— W rzeczy samėj, chciałem zasięgnąć mądrėj rady pańskiėj.

Kemble niewzruszony pochwałą zapytał:

— Jakiėjże to rady?

— Chciałbym ażebyś mi pan wskazał przyjemny sposób zabijania czasu. Odkąd porzuciłem moją fabrykę, nudzę się śmiertelnie — co mam na to począć?

— Zaprenumeruj pan moją Revue, panie Shoffield.

— Tak, zapewne; zaabonuję się na rok. Ileż razy na rok wychodzi?

— Cztery; jeden tom na kwartał — ale tom nabity, czterysta pięćdziesiąt pięć stronnic.

— To wszelako wydaje mi się nie wiele na przepędzenie trzech miesięcy.

— Jeżeli tak, to kup pan kollekcyą od 1827 roku — będziesz miał przeszło czterdzieści tomów do czytania — czysty awans na lat dziesięć.

— Dobrze. Wezmę kollekcyą. A teraz jeszcze jedna rzecz panie Kemble: daj mi pan listę przyjemności jakich można dostać w Londynie za pieniądze.

— Przyjemności uczciwych, nieprawdaż?

— Ma się rozumieć, innych nie chcę.

— Przyjemności uczciwych.... nie ma ich wcale.

— Ależ pomyślno, panie Kemble.

— Możesz pan iść do *Gran-Cigar-Divan!*

— Cóż tam robią na tym dywanie?

— Czytają moją Revue; prócz tego jest katrynka co przygrywa czytającym kantyczki Lutra.

— To nie wydaje mi się bardzo zabawne.

— Przekonaj się pan.

— Spróbuję... A prócz tego czy nie wynajdziesz jeszcze co, panie Kemble?

— Możesz się pan przechadzać na *Strandzie* od *Temple-Bar* aż do *Humgherfort-Market*.

— A potém?

— Potém napowrót.

— Czy to dużo kosztuje?

— Shiling omnibusem, piechotą za darmo.

— Czy to już wszystko panie Kemble?

— Możesz pan także ważyć mgłę *demometrem* mojego wynalazku. To dosyć zabawne. Te rozmaite rozrywki powinny panu wystarczyć do końca życia — ileż pan masz lat?

— Pięćdziesiąt ośm.

— Śpiesz się więc pan, śpiesz, używaj majątku bo życie krótkie... Jutro niezawodnie przyszlę panu kollekcyą mojego pisma — chcesz pan dwie kollekcye?

— Dobrze — będzie to jedna przyjemność więcéj.

— Rekomenduję panu szczególniéj jednę rozprawę, która się ciągnie przez siedm tomów, o karczowaniu środka Nowéj Holandyi. Pierwsze trzy artykuły, dowodzą, że aby zdrowém uczynić powietrze środka téj wyspy, potrzeba wyciąć wielki las znajdujący się na jéj południu. Cztery następne artykuły zawierają dowody rozcierające na proch twierdzenia pewnego uczonego z Botany-Bay, który dowodzi w liście do mnie pisanym, że na całéj powierzchni Nowéj Holandyi, nie ma ani jednego drzewa. W przyszłym numerze przeczytasz pan mój ósmy artykuł dowodzący tryumfalnie, że las ten powinien istnieć i że musi być bagnisty. Obaczemy co odpowie na to ów uczony — odwrotnym kuryerem — za

dwa lata. Nie uwierzysz pan jak dalece ta żywa polemika umila życie moje — cały sekret szczęścia w niéj leży.

— Uszczęśliwiasz mnie pan — odpowiedział kłaniając się Shoffield—pozwól uścisnąć dłoń swoją. Żegnam pana i czekam na przysłanie mi dwóch obiecanych kollekcyj.

Wyszedł.

Tegoż wieczora służący biały zaprzężony do wózka, przywiózł mu pakę *Quarterly-Review* zawierającą trzy kollekcye. Zacny nożownik rzucił się z głową w ten ocean szczęścia na bibule. Rozciął pierwszy lepszy tom, położył się jak na materacu na rozrzuconych po ziemi książkach, i przeczytał jednym tchem rozbiór kazania które protestancki Misyonarz stojąc pod palmą na wyspie *Owhyhee* miał do dzikich którzy zabili kapitana *Cooka*. Kazanie to niebyło mówione, ponieważ dzicy nie rozumieli mowcy, a mowca nie rozumiał dzikich, misyonarz wyrażał przeto myśli swoie na migi przez trzy godziny, aż wszyscy dzicy posnęli. Zacny nasz Shoffield usnął także jako prawdziwy dziki z Birminghamu.

Przebudziwszy się równo ze dniem, smutnie spojrzał na swoje łoże z artykułów. Głowa mu ciężała okrutnie... wyszedł odetchnąć świeżem powietrzem. Połknąwszy ze dwadzieścia chmur w stanie mgły, lepiéj mu się zrobiło; uczuł się po tym emetyku lekki jak balon wydęty gazem, i kołysał się za powiewem porannego wiatru. Wróciwszy do domu napił się herbaty dla rozpuszczenia połkniętych chmur, i tym sposobem zupełnie przywrócił wewnętrzną równowagę.

— Ach! jaki ja szczęśliwy — rzekł uśmiechając się do siebie—i uściskał się.

Kiedy tak rozkoszował się z sobą, oddano mu list od odprawionego lokaja któremu imie było John jak wszystkim angielskim lokajom. List zawierał te słowa:

„Gdybyś pan był *Gentlemanem*, znoszono by twoje kaprysy, ale ponieważ jesteś tylko lichym nożownikiem z Birminghamu i moim równym, czekam cię z zaciśniętemi pięściami pod mostem Highgate. Mam świadka i trzech zakładaczy — przyprowadź swoich jeżeli ich masz.

John.“

Bilecik ten uderzył Shoffielda jak potężna pięść w głowę. Długo szukał myśli jakiéj w pustyni mózgu swego... patrzał na mgłę, zdjął rękawiczki, znowa je włożył — rozpiął pół kamizelki, obszedł pół kląbu, wziął się za brodę — nareszcie westchnął i rozpoczął następujący monolog:

— Jakto? zaledwie dwa dni jestem szczęśliwy, a już służący chce mi życie odebrać pod pretekstem że nie jestem *gentlemanem!* Idźmy schronić się pod opiekę prawa.

Zawołał o powóz i konie. Ogrodnik odpowiedział mu że wszyscy służący poszli z Johnem, i że ten porozlepiał afisze wyzywające na boksy wszystkich służących jacyby u nożownika z Birminghamu służyć chcieli.

— Wielki Boże—zawołał Shoffield i reszta frazy skonała mu na ustach.

Ogrodnik gracował daléj ulicę. Nieszczęśliwy nożownik zagłębił się w ogrodowy labirynt pytając drzew o radę. Co krok stawał — deptał trawę — żuł topolowe liście ciągle powtarzając: *My God.* Zażywał tabakę z próżnéj tabakierki, stawał przed drzewem w bokserskiéj postawie.... wydobywał zegarek i szukał godziny na odwrotnéj stronie cyferblatu—słowem był tak niespokojny jakby pod skórą nie angielskie ale francuzkie lub włoskie miał nerwy.

Jednakowoż potrzeba było coś postanowić. Shoffield zagrożony na życiu i majątku, nie wahał się długo; ściągnął zawieszony na drzewie surdut ogrodnika, ubrał

się w niego i porzucając włości, puścił się do Londynu piechotą uzbrojony w swój ostatni nóż.

Przechodząc przez most zadrżał usłyszawszy pod nim śmiechy i odgróżki—John robił próby, a ieden z towarzyszy jego zakładał się o szylinga że Shoffield nie przyjdzie.

— Wygrał — szepnął po cichu nożownik, i spiesznie poszedł daléj.

Zadyszany i wylękniony, nie zatrzymał się aż o milę drogi w karczmie, gdzie kazał sobie podać kufel porteru; ale kiedy już dotykał ustami ulubionego trunku, spostrzegł Johna z podniesionemi w górę pięściami, idącego na czele swéj bandy. Przerażony Schoffield wyskoczył na środek krzycząc: „Boże zachowaj króla!"

Na szczęście było w stajni kilka okulbaczonych osłów przygotowanych do zwykłéj wycieczki do tak zwanego jeziora na łące, czyli dołu wykopanego przez oślarzy: tam Londyńczycy przybywają z rodzinami rozmyślać i płakać nad sercem ludzkiem.

Shoffield skoczył na pierwszego osła, który mu się nawinął i kłując go nożem w braku ostrogi, popędził traktem ku Londynowi— za nim na drugim ośle puścił się posługacz goniąc swój nie zapłacony porter— a za nim John ze sztabem ruszyli w pogoń za uciekającym nożownikiem.

U rogatki londyńskiéj *policeman* widząc na rozpędzonym ośle bladego człowieka z zakrwawionym nożem, zastawił drogę laską — ale rozbrykany osioł przewrócił na bruk *policemana*, po którego grzbiecie przeleciała cała kawalkata. Od téj chwili Shoffield uważał się za największego zbrodniarza w całéj Anglii, — czuł się nawet już powieszony w Tyburnie.

Doleciawszy nad Tamizę, osioł stanął nagle jak wryty. Schoffield przeleciał mu przez głowę, zbiegł po schodkach i schronił się na pokład statku. Tam chociaż bez-

pieczny od dalszéj pogoni kawaleryi Johna, duszę swoją polecił Lutrowi.

Statek ruszył wkrótce i nie zatrzymał się aż pod londyńską wieżą. Tu Shoffield, któremu nieustannie tętniał po Tamizie odgłos kopyt oślej kawaleryi, przypomniał sobie, iż ma w pobliżu przyjaciela nożownika i postanowił schronić się do niego.

Wchodząc do salonu swego przyjaciela odwócił się tyłem do zwierciadła, żeby nie obaczyć zbrodniarza, gdyż brzydził się szkaradą swych występków. Dwa dni spędzone w tém ustroniu, użył Shoffield na przygotowanie swojéj emigracyi. Wziął paszport na cudze imie, za który zapłacił sto funtów faktorowi z *Alien-Office* trudniącemu się wydawaniem takich paszportów — zaopatrzył się w listy wierzytelne do wszystkich bankierów—po czem pośpieszył do Southampton wsiąść na odpływający do Liwurnu statek Angielski *Bull*.

Rzecz prosta, że po tylu wzruszeniach Schoffield potrzebował wypoczynku. Całą więc tę długą podróż przespał, budzony tylko grożnym cieniem Johna, lub odorem obiadu.— Pewnego dnia kapitan statku Cox rzekł do niego:

— Cóż to jest za John, o którym pan tak zawsze mówisz przez sen?

Schoffield pobladł, i zawołał:

— Zdradziłem się!

Polecił duszę Lutrowi i zemdlał. Widząc to kapitan Cox rzekł do swego adjutanta: „ten passażer musi być wielkim zbrodniarzem.“ Adjutant podzielał to zdanie. Skoro Shoffield odzyskał zmysły, dostrzegł iż stał się przedmiotem powszechnéj wzgardy; przy stole nawet krzywo nań patrzano.

Nareszcie statek zarzucił kotwicę przed Liwurnem. Shoffield przesiadł się natychmiast na statek Neapolitański *Pharamond*, ciesząc się wielce, że porzuca okręt,

na którym doznał tylko pogardy i nienawiści z powodu niedyskrecyi snów swoich. Reputacya jego była jeszcze niepokalana na pokładzie *Pharamonda* postanowił przeto nie zasnąć tam nie zatkawszy pierwéj szczelnie ust swoich fularem, tak żeby z nich żaden senny monolog nie wyszedł. Nowe istnienie zaczynało się dla niego— wchodził w świat nieznany. John, posługacz z oberży, policeman, zostali na innéj planecie— przed sobą widział tylko wschodzącą jutrzenkę szczęścia.

Shoffield był niewinny jak Birminghamski nożownik. Znał się doskonale na gatunku stali, ale z resztą obce mu były wszystkie inne rzeczy tego świata. Wchodząc na statek, wydawało mu się, iż jest otoczony Włochami, i jedynie kłopotał się o to, że niezna krajowego języka. Zresztą, myślał sobie, to wszystko jedno; nie jestem bardzo gadatliwy z natury; nauczę się po włosku z potrzeby — z Neapolitańczykami zapomnę po Angielsku. Następnie Shoffield rozumując zdrowo, myślał sobie, że nie musi być Anglików w Neapolu, kiedy niema Neapolitańczyków w Birminghamie.

Stu sześćdziesięciu passażerów różnego wieku i różnéj płci znajdowało się na pokładzie statku. Wszyscy milczeli— mianowicie też kobiety były milczące od stóp do głów. Widok był imponujący! Jak ci wszyscy ludzie mają powierzchowność włoską...... pomyślał nożownik.

Wszyscy byli anglicy.

Rodzina Turnpike stanęła szpalerem na całéj długości tryboru. Składała się z szesnastu osób i dwóch powozów. Ojciec dopóty sprzedawał szale na *Ludgate-street* i rywalizował z Eweringtonem, aż się dorobił majątku który na zawsze niweczy szczęście głupca. Doradzono mu podróż do Włoch— i już przez dwa lata ciągle podróżował z familią, chcąc uciec z pod téj kopuły nudów, która od krzyża świętego Pawła spływa i ciężyjak ołów nad całem miastem. Turnpike miał surdut czar-

ny z doskonałéj materyi, pantalony obcisłe tegoż gatunku — białe ażurowe pończochy — trzewiki lakierowane, i wspaniałą kamizelkę ponsową w złote kwiaty, dodającą krasy całemu ubraniu, które o milę zdradzało milionera. Prócz tego, nosił na szyi swojéj żony, piędziesiąt tysięcy franków przemienionych w dyamenty pod biegłą ręką Hamleta, tego króla jubilerów, który mógłby zakupić całą Danią wraz z monarszym cieniem.

Około siebie Turnpike posiał dwanaścioro dzieci jednego koloru i świeżości. Dzieci te na obydwóch flankach były strzeżone przez dwie służące w tabaczkowych woalach.

Stosy parasolików odznaczały granice pomiędzy rodzinami. Po ostatnim Turnpiku rozpoczynała się kollekcya Dulwichów, złożona z dwudziestu trzech osób, z których dziewięciu służących w galonach. Pan Dulwich był torrysem z Chester — uciekł ze swego pałacu dla tego, że komitet Whigów z hrabstwa Lancastre, kazał wydrukować niebieskie afisze na trzydzieści stóp wysokie, przeciw kandydaturze młodego Roberta Peel. Doktór przepisał panu Dulwich podróż do Włoch, jako jedyne lekarstwo na tak wielkie nieszczęście.

Obok familia Baxton roztaczała się na półkolnéj pięcio-sążniowéj powierzchni. Baxton nie mógł znieść kandydatury Chandosa w *Middlesex*. Od chwili jak spostrzegł afisz czerwony polecający tego kandydata, życie stało mu się nie miłe nic nie widział przed sobą prócz tego afiszu, nic nie słyszał prócz imienia nienawistnego rywala — w końcu rozchorował się śmiertelnie. Usilne starania rodziny przywróciły mu zdrowie, a fakultet medyczny przepisał mu trzech letni pobyt we Włoszech.

Pięciu czy sześciu milionerów w ostatnim stopniu spleena, rozłożyło się na pokładzie; żony ich siedząc w powozach czytały Child-Harolda usypiając po każdéj strofie. Gruppa lokai stała melancholicznie przed sternikiem, niby patrząc a nie patrząc na nic.

Tak płynął piękny *Pharamond* na pobrzeżu śmiejącéj Italii, naładowany żywemi elegiami płci obojéj, przybywającémi ze wszech hrabstw Angielskich dla kupienia za miliony jednéj iskierki wesela.

Shoffield usiadł na taburecie, podniósł kawałek drewna i zaczął go strugać swoim nożem. Lokaje porzuciwszy sternika, otoczyli Shoffielda przypatrując się jego robocie.

Czasami jakiś proszek kurzu spadał na rękaw którego Anglika. Wnet trzech służących uzbrojonych w szczotki i *werbenawą* wodę, przywracało rękawowi pierwotną czystość.

Noc zeszła podróżnych na tych miłych zajęciach. Z wolna pokład się wypróżnił — każda rodzina poszła do swojéj kajuty i wszystko zasnęło głęboko.

O świcie przebudziło Shoffielda płukanie ust wykonane przez czterdziestu Anglików. Wspólna sala była przepełniona. Wszyscy podróżni pootwierali mantelzaki i zajęli się ubiorem. Mimo gwałtownego kołysania wszyscy Anglicy golili się poważnie przed ruchomemi zwierciadłami, w których widzieli tylko swoje brzuchy. Dwie godziny zeszły w ten sposób na goleniu nie istniejącéj brody; dwie drugie na chędożeniu paznokci, a dwie trzecie na pakowaniu grubych palców w ciasne rękawiczki. Spędziwszy w ten sposób czwartą część dnia; wyszli na pokład i przywitali damy oczyma. Damy piły herbatę z roztopionem na słońcu Pizańskim masłem. Ugolin w swojéj wieży nie byłby tknął takiego śniadania! Anglik jeden rozradowany jego widokiem, roztworzył usta w samą miarę żeby przepuścić jedną sylabę: *tea*, która z Francuzka wymawia się *ti*. Natychmiast czterdzieści gąb spragnionych herbaty powtórzyło ową sylabę. Shoffield upuścił rękawiczki, pobladł i zawołał: „Ach! to Anglicy!! O ja nieszczęśliwy!“ Równocześnie porwała go

choroba morska — rozciągnął się więc na pokładzie i zasnął.

We dwadzieścia cztery godzin po tem, morze uspokoiło się zupełnie. Shoffield przyszedł do siebie, a obaczywszy chłopca rozmawiającego z maszynistą, zażądał kieliszka madery. Chłopiec podał mu ją natychmiast— a bojąc się obrazić angielską godność pytając się o co bądź, rzekł jakby do siebie samego:

— Będziemy w Neapolu za trzy godziny.

— W Neapolu! zawołał Shoffield— ah!

— Nie inaczéj Milordzie — rzekł służący nalewając drugi kieliszek.

— To piękne miasto Neapol, co?

— Tak, Milordzie.

— Przynajmniéj takem słyszał.... Wszyscy ci panowie są Anglicy, nie prawdaż?

— Wszyscy, od największego do najmniejszego.

— Podróżują dla przyjemności?

— Dla przyjemności— dla niczego więcéj. Są to milionery, podobnie jak ty Milordzie— szczęśliwi ludzie, jak widzisz.

— To dziwna, nie wydają się bardzo szczęśliwi.

— Na statku inaczéj być nie może — obok żon i dzieci— to nie bardzo zabawne — ale niechno wysiędą..... obaczysz ich pan w Neapolu — tam to dopiero będą się bawić aż im sam święty January pozazdrości!

— Ten chłopiec ma minę wcale do rzeczy, zauważał Shoffield— muszę się z nim zaznajomić. To myśląc kazał sobie nalać trzeci kieliszek madery.

— Zdaje się że Milordowi smakuje moja madera.

— Wyborna, wyborna..... Jak się zowiesz?

— Francuzi zowią mnie *Jean*, a Anglicy *John*.

Mrowie przeszło nożownika.... i zamilkł.

— Milord zdaje się cierpiący jeszcze, a jednak morze już spokojne i gładkie jak zwierciadło.

— To nic, to już przeszło. Z jakiego kraju jesteś Janie?

— Z Neapolu.

— Z Neapolu—a jakże cię tam zowią!

— Micali.... to długie imie dla służącego, nie prawdaż! Anglicy mówią iż trzeba oszczędzać czasu. Przeszłego roku mówili mi: *daj mi trochę herbaty*—potem: *daj mi herbaty* — dziś już mówią tylko: *Tea* — jutro powiedzą tylko *J* — a po jutrze nic wcale. Będzie to wielka dla nich oszczędność.

— Otóż ja cię będę nazywał Micali.

— Widać że masz wiele czasu Milordzie. Jednakowoż nazywaj mnie John przy swoich rodakach, gdyż gotowiby zrobić panu sławę marnotrawcy.

— Micali, biorę cię na służącego — podobasz mi się. Dam ci sześdziesiąt funtów zasług i pensyą po dziesięciu latach służby.

— Jakto—Milord nie ma służącego.

— Nie; wszystko zostawiłem w Londynie taki byłem niecierpliwy zobaczyć Italią, ową piękną Italią....

— Zdaje się że Milord uwielbiasz moją Ojczyznę.

— Nie inaczéj—uwielbiam ją, uwielbiam.

— W takim razie przyjmuję pańskie propozycye. Skoro wylądujemy służyć będę panu.

— Dobrze. Cóż mi tedy pokażesz pięknego w Neapolu!

— Wszystko co pan zechcesz.... parz Milordzie, już teraz nawet mogę ci coś pokazać, ot tam na lewo.... widzisz Wezuwiusz?

— Ach! Sławny Wezuwiusz! Tak, to on: widziałem go na chustce od nosa w Dublinie.

— *Il Vesuvio*, po włosku.... Milordzie, będziesz szczęśliwy jak król!

— Powiedz mi Micali, gdzie mam wysiąść w Neapolu?

— Radzę zajechać do hotelu *della Vittoria* — zapytasz pan o Martina.

— Czy to Anglik?

— Anglik dla anglików, ale pomiędzy nami mówiąc, jest Francuz. Oto jego adres.

Pharamond zawijał właśnie do portu. Trzysta Neapolitańskich zegarów biło ósmą godzinę. Wezuwiusz spokojny, dymił od niechcenia jak lazaron leżąc z fajką na słońcu. Poranne trąby brzmiały w pałacu Oeuf.—Pausilippy śmiały się nad morzem — różowe mgły biegły na czystym lazurze sunąc po roskosznych wzgórzach Aversa, Caserte i Capou. W powietrzu pływała ta nie wyczerpana masa rozkoszy którą rozlewają na tę zatokę dwie najpiękniejsze rzeczy jakie są na świecie: Neapol i Wiosna.

Anglicy chędożyli odzienie i przewdziewali rękawiczki; Angielki rozdawały sobie parasoliki; lokaje patrzyli na batalion żołnierzy moczącéj nogi przed pałacem królowéj Joanny. Shoffield szukał swego paszportu. Wszyscy podróżni już wysiedli na ląd prócz Schoffielda którego pilnowało na statku trzech policyantów. Nie mógł bowiem znaleść swego paszportu a zapomniał jak się nazywa. Ilekroć zapytano go o nazwisko, pokazywał swój ogromny pugilares zawierający całą korespondencyą jego ze wszystkimi nożownikami na świecie, i prosił zbirów żeby mu pomogli szukać paszportu. Nakoniec znalazł go w sekretnéj kieszeni: Shoffield dowiedział się że się zowie Morffield.

Wszystkie pokoje były już zajęte w hotelu *della Vittoria;* Turnpiki, Dulwicze i Baxtony płynęły potokiem jakby żywa Tamiza po oberżowych kurytarzach. Dawni podróżni tegoż narodu zamieszkali tam od dawna, przypatrywali się poważnie inwazyi ziomków i wołali pierwsi o herbatę dla pokazania że są panami placu. Skoro Shoffield przybył do hotelu bez służącego, bez po-

wozu, bez rodziny, odpowiedziano mu że jest tylko jeden pokój bez łóżka.

— Prześpię się w fotelu, odrzekł nożownik—i wszedł do jadalnéj sali i wziął kartę i zaczął czytać;

Ox-tail soup
Fish of every sort
Meat pies
Plump.-steack.

— Toż samo co w Birminghamie — rzekł zdumiały Shoffield. To dziwna rzecz! W Birminghamie nie znajdzie ani jednego włoskiego słowa, a Birmingham przecie sto razy piękniejszy od Neapolu, który wydaje mi się wcale nie osobliwy, a mianowicie okropnie brudny. Anglicy muszą się tu wybornie bawić kiedy ich tutaj tyle. Neapol musiał chyba dla nich być zbudowany.

W téj chwili wszedł nowy służący jego, Micali. Shoffield podał mu rękę i prosił siedzieć. Micali usiadł bez ceremonii.

— Tylko jeden pokój znalazłem w tym hotelu, i to bez łóżka.

— Bądź pan spokojny, wynajdę mu lepsze mieszkanie. Jakże smakuje żółwiowa zupa.

— Doskonała—jak pod *Łabędziem* w Birminghamie. Czy Włosi także lubią taką zupę?

— Nie cierpią jéj—mówią że to zupa z lawy; każdy Włoch który jéj skosztuje, powiada iż mu się zdaje jakby Wezuwiusz jadł łyżką. Gotują ją tylko dla Anglików.

— Cała karta angielska, patrz.

— Gdybyż to tylko karta, ale całe Włochy są więcéj angielskie niż sama Anglia. Anglicy emigrują nieustannie. W Rzymie każdy jest Anglikiem, prócz Papieża. Czy wolno mi zadawać ci pytania Milordzie?

— Mów, pytaj o co chcesz.....

— Zapewne tylko dla przyjemności przybyłeś pan do Neapolu?

50

— Rozumie się; dla przyjemności, tak jak wszyscy. Jestem bogaty chcę być szczęśliwy, chcę używać.

— Nie byłżeś pan szczęśliwy w Anglii?

— Byłem jak wszyscy.

— Cóżeś tam robił Milordzie?

— Jeździłem konno, spacerowałem, jadłem łososia, sadziłem drzewa, czytałem Revue pana Kemble, kupowałem rękawiczki.... cóż chcesz żeby robił człek bogaty który próżnuje?

— Słusznie. Więc przybyłeś pan do Włoch żeby....

— Żeby robić jak inni. Anglicy muszą się tu dobrze bawić kiedy tu są wszyscy.

— Obaczysz pan. Czy długo myślisz tu zabawić Milordzie?

— Nie wiem. Jakże długo zostają tu zazwyczaj Anglicy?

— Lordowie i członkowie Izby niższéj bawią tu całe wakacye parlamentu. Bogaci Anglicy którzy nie urzędują, całe życie spędzają na spacerowaniu z Neapolu do Wenecyi—a umierają zazwyczaj we Florencyi. Na Florenckim cmętarzu niema już innych kości prócz angielskich. Trzeba panu wiedzieć że we Florencyi umiera się bardzo przyjemnie.

— Z tego co mi mówisz, wnoszę, że komfort włoski musi być daleko lepszy od angielskiego. Ulice w miastach włoskich muszą mieć wygodniejsze chodniki, musi być bruk lepszy i gaz lepiéj się pali pewnie niż u nas...

— Za pozwoleniem pana. Znam dobrze Anglią ale jeszcze nie znam Anglików. Chciałbym żebyś mnie objaśnił Milordzie. Anglicy stawiają sobie wygodne domy, wyściełają je kobiercami, meblują pięknie — budują wspaniałe i szerokie ulice wysypane żwirem — za pomocą gazu skasowali noc—ale skoro tylko z nich który urządził sobie życie wygodnie na zewnątrz i na wewnątrz, każe natychmiast przyprowadzać pocztowe ko-

nie, i jedzie żyć w miastach gdzie się chodzi nie po bruku, ale po szpilkach, a siedzi na twardych krzesłach. Ty który jesteś Anglikiem, wytłumacz mi to Milordzie?

— Ja ci nic wytłumaczyć nie potrafię, Micali; wyznam ci otwarcie, że nie wiem nic; nie jestem ani lordem, ani szlachcicem, ani uczonym; jestem po prostu nieszczęśliwym fabrykantem który pracował lat czterdzieści, i pragnąłby na starość kupić sobie trochę szczęścia za swoje pieniądze. Mam pięćdziesiąt ośm lat. Od pietnastego do pięćdziesiątego siódmego roku życia robiłem trzonki do noży od piątéj rano do ósméj wieczór. Jadłem kartofle; piłem *Ale*, i czytałem Biblią. Jeszcze zeszłéj zimy żyłem tak jak ci mówię. W końcu jakoś mi się znudziło. Chciałbym trochę użyć nim umrę. Czy chcesz mi pomódz do wynalezienia czegoś co by mi dowiodło że istnieję i mam miliony?

Micali potrząsł głową z wyrazem melancholicznego współczucia, i zawołał:

— Biedny człowiek! spędził trzy czwarte życia na robieniu noży! Pytam się, czy ten półnagi lazaron który nigdy w swojem życiu nic nie robił, nie jest szczęśliwszy od pana? Ja sądzę że szczęście istnieje tylko dla silnych i zdrowych biedaków którzy mają zawsze milę morza u stóp swoich, a na głowie zawsze jasny promień słońca.

— Mój Boże, zawołał Shoffild, mówisz jakbyś czytał, Micali.

— O, daruj pan, mówię do siebie..... Są tam na téj zielonéj wyspie rybacy, właściciele jednéj sieci i jednéj chaty; morze i słońce bronzuje im skórę i daje wieczyste zdrowie. Mają dorodne i piękne żony, których pierś potrzaskałaby gorset; mają dzieci śniade które się bawią na morskim brzegu i żyją w wodzie z rybkami i muszlami. Wieczorem mają potrawy wyborne, drażniące i wonne jak te fale z których wyszła Venus; dnie spę-

dzają na pracy i pieśniach, wieczory na szalonéj zabawie pod zielonym szałasem, a noce, noce!... Dla nich to słońce wschodzi, świecą gwiazdy, śpiewa morze, sosny rozkładają cieniste gałęzie, i pomarańcze kwitną! Ci ludzie, ci biedni rybacy, te żebraki nadmorskie, spożywają przez życie więcéj szczęścia niż wszystkie milionery Wielkiéj Brytanii począwszy od Wilhelma który był królem, a skończywszy na tobie Shoffield, który jesteś nożownikiem.

Shoffield słuchał z otwartą gębą gawędy służącego—filozofa. Micali patrzył na morze przez otwarte okno, i uśmiechał się.

— Mówiłem sam do siebie, rzekł, wybacz mi pan.

— A ty Micali, rzekł Shoffield, czy jesteś szczęśliwy?

— Ja? służyłem u czterech panów na to tylko żeby ich upokorzyć mojem szczęściem.

— To byli Anglicy.

— Sami Anglicy i bogaci jak kopalnie Peru.

— I cóż się z nimi stało?

— Pochowałem jednego po drugim we Florencyi na *Campo-Santo*. Wszyscy byli zupełnie zdrowi i silni — umarli przeciw wszelkim prawidłom medycyny—bez przyczyny; chorowali na życie, i to ich zabiło.

— Micali przestań już, bo dostanę spleenu. Mówmy o czem innem.... wyjdźmy — już skończyłem śniadanie. Powiedz mi co jest ciekawego do widzenia w Neapolu?

— Nic. Ot sobie miasto jak każde inne. Są domy z których się tworzą ulice, i ludzie którzy chodzą bez celu. Tylko że ulice są brzydsze niż gdzieindziéj. Neapol nie jest Neapolem; trzeba wyjść z niego żeby go zobaczyć.

— To wyjdźmy.

Pojechali do Pompei. —

— Czy słyszałeś pan kiedy o Pompei—rzekł w drodze Micali do Shoffielda.

— Nigdy, odparł nożownik.

— Jestto rzecz najciekawsza we Włoszech; jak zobaczysz Pompeję, możesz pan wrócić do Birminghamu.

— Czy to piękniejsze miasto od Londynu?

— Obaczysz pan.

— O ćwierć mili od morza ujrzeli miasto Mumią.

— Oto Pompeja zawołał Micali.

— Ach! Pompeja! To Pompeja, to! zawołał Shoffield osłupiały. Zdaje mi się żem zapomniał rękawiczek w hotelu.

— Chcesz pan moich?

— Nie; wsadzę ręce w kieszenie; zdaje mi się że tam spostrzegam Anglików.

— A jakże. Wszyscy towarzysze pańscy ze statku stoją przed domem Diomeda.

— Przyszli z wizytą do pana Diomeda?

— Ale gdzież tam. Diomed był Grek Neapolitański który żył w tym domu 1765 lat temu.

— Jakże ty wiesz o tem będąc służącym?

— My tu wiemy to wszystko.

Shoffield przybliżył się do angielskiéj kompanii. Damy były po strojone jak do królewskiego teatru, wszystkie brzydkie. Materye Everingtona i popeliny z Dublinu, zamiatały lawę spływając w powłoczystych fałdach z płaskich ramion tych podróżnych Albionek wypędzonych ze swéj wyspy powszechną pięknością nie wojażujących Angielek. Mężczyźni mieli ubiory wiejskie i kastorowe kapelusze z szerokiem rądem. Za nimi szli groomy z krzesłami. *Cicerone* wołał po włosko-neapolitańsku:

Ecco la casa di Diomede, spolto nella cinere del Vesuvio, ottanta anni doppo Gesù Cristo—Ecco un' osteria antica.—Ecco la porta d'Ercolano.—Ecco la botega o cafe, dove gli Roman pigliavano sorbetti doppo pranzo. — Ecco la casa di Caius Ceïus.—Ecco la casa di Caïus Sallustus. — Ecco il tempio della Fortuna Augusta.—Il Foro civile.—Il tempio d'Ercole.

Il Teatro tragico. — Il tempio d'Esculapio — Ecco, signiori l'Amfiteatro!

Anglicy przechodzili processyonalnie przed tymi szacownemi ruinami, pełni głębokiéj a nieméj admiracyi. Słuchali cicerona, jakby go rozumieli; Angielki lornetowały świątynią Herkulesa mówiąc: *Very-nice, Very-nice!* uczeńsze szukały w poezyach lorda Byrona wierszy poświęconych Italii, i czytały:

„Królowo w grobie, świata władczynio, coś uczyniła z wielkością swoją? Leżysz okryta całunem! Rzym jest trupią głową którą toczy robactwo.... niestety, niestety.“

Daléj szukały ale już nie było nic więcéj. Cicerone polował na jaszczurki — Anglicy przybierając zadumane pozy, ziewali zakrywając usta indyjskiemi fularami. Teatr był nie mniéj smutny od widzów. Shoffield pytał Micalego czemu *V* łacińskie było takie jak dzisiejsze *U*? To go bardzo obchodziło. Micali z założonemi rękoma uśmiechał się i nie odpowiadał.

Baxton który się był nauczył po włosku w Londynie od Francuza nieznającego tego języka, chciał zawiązać rozmowę z ciceronem. Anglik dobywał sylaby z głębi piersi, wsuwał ją z trudnością pod język, i gniótł, chcąc ją zmusić żeby się stała włoską; buntownicza sylaba wspierana przez ducha narodowego, zostawała angielską — a Cicerone nie rozumiał. Rozmowa przeto wyczerpała się wkrótce. Wtedy Baxton uciekał się do migów; wydobył z kieszeni ładny młoteczek i przyłożył go do strzaskanéj kolumny świątyni Iris czyniąc nim gest wymowny. Cicerone kiwnął głową na znak przyzwolenia. Wtedy Anglik potłukł kapitel i rozdał kawałki damom. Cztery fulary napełniono okruchami Pompei i powierzono je groomom.

Zazwyczaj służący Anglików z rozkazu panów swoich zbierają kollekcye wszystkich cegieł wypadłych z rzymskich pomników. Lokaje mają sobie wyznaczone osobne

kufry na te relikwie: ale w drodze z Pompei i Herkulanum do Neapolu, prawie zawsze zmęczeni dźwiganiem ciężaru, wrzucają go w morze. Przybywszy zaś do Londynu napełniają próżne kufry potłuczonemi cegłami których ogromne stosy leżą nad Tamizą. Zazwyczaj te są relikwie które Anglicy rozkładają poetykietowane w swoich gabinetach. Galerye londyńskie obfitują w nie mianowicie.

Młotek nudów angielskich najuporczywiéj rozbija świątynią Izydy, a to z następnego powodu: Anglicy upatrzyli wielkie podobieństwo między tym pomnikiem a londyńskiem klubem *Piccadilly*. Bogate kupcy ze Strandu, zwiedzający Pompeję, wyobrażają sobie na serio iż Rzymska świątynia była kopiowana z londyńskiego klubu— czem zadowolniwszy narodową dumę, przyznają architektowi greckiemu iż zrozumiał angielską *fashion*. Ztąd ów nieustanny rozbój dokonywany na tym świętym zabytku starożytności.

Micali zwrócił uwagę Shoffielda na to szczególne podobieństwo. Ale niestety zacny mieszczanin Birminghamu był w stanie zupełnéj petryfikacyi i konsternacyi. Widział brudne kamienie, szkaradne ruiny, krzaki poruszane przez jaszczurki, obrzydłe groby, małe domki zrujnowane— i pojąć nie mógł jak ludzie rozsądni mogą wystawiać się na słoneczny upał i węże, dla tego żeby widzieć stosy gruzów brzydszych od pałacu *Town-Hall* w Birminghamie.

— Więc to jest co najciekawsze we Włoszech — zapytał Micalego.

— Nie inaczéj, odpowiedział uczony służący.

— No, to idźmy na śniadanie.

— Nie podoba się panu nic tutaj, nieprawdaż?

— Cóż mi się ma podobać? Wszystko przypomina mi *Old-Church* w Manchestrze— stare i czarne. Jednak z dwojga wybierając, wolę *Old-Church*, bo tam przynajmniéj przed bramą siedzą przekupki z rybami, u których dostać można zawsze świeżych omarów.

Domawiając tych słów, nożownik rozśmiał się pierwszy raz po wyjeździe z Anglii. Obudzone echa świątyni Izydy, zaszczyciły odpowiedzią ten napad brytanicznéj wesołości, i podając go sobie z ruiny do ruiny, zaniosły aż do przedsionka domu Diomeda. Jaszczurki i żmije stanęły na ogonach, chcąc zobaczyć wesołego Anglika. Anglicy zgorszeni tym głośnym śmiechem, krzywo spojrzeli na ziomka.

Na tym skończył się dzień. Zwiedzono Pompeję. Shoffield oprowadzany przez Micalego chodził krok w krok za karawaną współziomków. Zwiedził wraz z niemi świątynię *Pestum*, *Capo di Monte*, *Caserte*, *Sorento Cume*, jezioro Lurin; przy końcu czwartego dnia uznał że już dostatecznie czuje się oświecony. Sama tylko Psia Grota powszechną zyskała aprobacyą. Anglicy jedynie przez wzgląd na to cudo przebaczają Italii jéj ruiny. Cicerone przyprowadził trzech na pół otrutych psów i postawił ich u wejścia Groty. Biedne psiska wpadły natychmiast w konwulsye. Jeden z Anglików zaczął je czemprędzéj rysować w tym stanie do sztambucha swojéj damy. Zapytano Cicerona jakie są powody dające téj grocie tak szkodliwą władzę nad psiemi nerwami. Cicerone przybrał poważną pozę, wyprostował się, i rzekł tonem surowym a przekonywającym: *la Solfatara, la Solfatara.* Od razu przekonał każdego, i o dalsze objaśnienia nikt nie pytał.

— Przecież aby jeden dzień zabawny! Zawołał Shoffield ściskając za rękę Micalego, z wielkiém zgorszeniem rodaków.

Wszystko już obejrzano. Nie pozostawało już nic w Neapolu prócz morza, zatoki, słońca, wesołości, muzyki, zapachu, miłości i wiosny — słowem nic. Codziennie nowy parowiec przywoził na brzegi Neapolu nową kollekcyą rodzin Angielskich. Neapolitańskie hotele mieściły w swych murach przynajmniéj dwa hrabstwa Wielkiéj Brytanii. Ulica Toledo podobna była do *Strandu*,

lub *Farliament Street.* W Neapolu anglicy nie zmienili obyczajów: zawsze poważni, milczący, melancholiczni, chodzili po prawéj stronie drogi.

— Micali, rzekł Shoffield, kiedy to tak, to niewarto było wyjeżdżać z Anglii. W Neapolu wołowina zła, porter i łóżka także — domy się niezamykają — w nocy ciemno; po co tu się zjedżają Anglicy? Jest prawda Psia Grota! ale możnaby taką samą urządzić w Anglii; wiem o jednéj grocie na drodze do Birmingham, a psów przecie nie braknie. Jednakowoż wyznać ci muszę, że się nudzę okropnie..... śmiertelnie! Często wydaje mi się że mi powietrza brakuje i że się uduszę. Nic mnie tu nie bawi. Dnie zabójczéj są długości.... nie mam sił do wytrzymania godziny kiedy potrzeba czekać na jaką przyjemność, a jak godzina przejdzie, obiecana przyjemność nie przychodzi. Czy sądzisz że wszyscy ci Anglicy zostaną w Neapolu? Ja myślę że by tu bez nich było weseléj — to oni tak rozsiewają nudy — czemuż nie jadą umrzeć do Florencyi?!

— Pojadą i umrą tam, bądź spokojny panie Shoffield, i niewątp o tém. Ale w téj chwili obiecano im wybuch Wezuwiusza i widzisz że czekają wszyscy na ulicy Toledo. Czekać będą długo. Patrz na Wezuwiusz jak drwi sobie z Anglików! Dziś rano Baxton chodził zapytać naszego Ambasadora, czyby kredytem swoim nie mógł otrzymać wybuchu Wezuwiusza. Ambasador odpowiedział że nad tém pomyśli — i nikt się nie śmiał. Alboż to Anglia nie jest potężna? Wyda wojnę wulkanowi jeżeli tego będzie potrzeba — a ten łotr Wezuwiusz pozwala sobie odmawiać przyjemności Anglikowi który się nudzi!

— Co do mnie Micali, ja sobie drwię z Wezuwiusza! wcale nie życzę sobie być upieczonym przez ogień téj góry, ani pochłoniętym przez trzęsienie ziemi. Jedźmy, jedźmy ztąd co prędzéj.

— Gdzież chcesz jechać panie Shoffield?

— Albo ja wiem.

— Chcesz jechać do Rzymu?

— Żeby znów oglądać czarne kamienie, jaszczurki i Anglików! Nie chcę.

— To do Florencyi?

— Broń Boże!!

— A gdybyś pan zrobił małą wycieczkę do Francyi?

— Ojciec mój nie lubił Francuzów.

— Prawda. Masz pan słuszność.

— Ależ w końcu, gdzież jechać jak się ma miliony i chce ich się używać?

— Siedzi się u siebie.

— Ależ powiedziałem ci wczoraj że nie mogę siedzieć u siebie, z powodu że tam jest mój nieprzyjaciel John czychający na moje życie.

— W takim razie trzeba się wyprowadzić z hrabstwa Kent i wrócić do Birminghamu.

— John wszędzie ścigać mnie będzie... A ten obalony policeman... a ten niezapłacony porter... widzisz że nie mogę powrócić do Anglii.

— Musisz pan jednak gdzieś mieszkać.

— Naturalnie — ale gdzie?

— Gdybyś pan jeszcze trochę Neapolu popróbował?

— Ach! niepodobna! umieram tu!

— Będziesz chodził codzień do Psiéj Groty.

— Micali, chciałbym być ubogim! Czuję że to bogactwo o śmierć mnie przyprawi.

— To strać pan majątek.

— Ale jak?

— Graj w karty.

— Nie lubię gry.

— Ożeń się pan.

— Któż lubi kobiety mając lat sześćdziesiąt?

— Dawaj bale.

— Nie lubię towarzystwa.

— No, to cóż pan lubisz?

— Lubię robić noże — co noc śni mi się że je robię.

— To rób noże — najmij sobie sklep na ulicy Toledo.

— Kiedy tu klimat niedobry do hartowania stali.

— To będziesz robił złe noże; cóż to panu szkodzi kiedy nie sam będziesz nimi krajał.

— Wejdź ze mną do spółki — nie zaryzykujesz ani szylinga.

— Panie Shoffield, zająłem się panem, gdyż wydałeś mi się najlepszy z Anglików, jakich w życiu mojém spotkałem. Raz na statku widziałem cię płaczącego. Były to pierwsze łzy angielskie jakie spadły na pokład parowca. Od téj chwili przyrzekłem sobie że ci będę pomagał. Zgłębiwszy charakter pański przekonałem się, że masz więcéj szczęścia w sobie niż go unieść możesz — trzeba go trochę zrzucić. Urodziłeś się robotnikiem, mój kochany. Żółte rękawiczki ciężą ci więcéj niż cetnar stali. Pójdź ze mną do kuźni, zgodzimy czeladź, najmę ci sklep...

— I pójdziesz ze mną do spółki! Zawołał uszczęśliwiony Shoffield.

— Nie, to być nie może, odparł Micali z uśmiechem. Będziesz szczęśliwy, i obejdziesz się bezemnie.

— Dla czegóż to być nie może Micali?

Micali uśmiechał się ciągle i ściskał rękę Shoffielda.

— Dla czego to być nie może? powtórzył nożownik.

— Słuchaj panie Shoffield: Jesteś uczciwy człowiek, człowiek prosty i dyskretny. Powierzyłeś mi tajemnicę którą uważasz za niebezpieczną — odwdzięczę ci się także zaufaniem. Rzuć okiem na ten paszport, i przeczytaj moje nazwisko.

Shoffield spojrzał i cofnął się przelękniony.

— Jestem mówił daléj Micali, książe M., jestem filozof, przybywam od północnego bieguna — podróżuję je-

dynie w celu studiowania charakteru anglików. Służyłem już dla tego w czterech domach angielskich i mogę powiedzieć że ich znam. Anglia niedługo posłyszy o mnie.

Shoffield nie wiedział jakiemi słowami przepraszać swego ex-służącego księcia. Czuł w sercu wiele do niego sympatyi, ale jéj nie mógł wyrazić żadną ludzką mową.

— Nie bądźże dzieckiem, rzekł książe uprzejmie — jestem takim jak ty człowiekiem i więcéj znudzonym od ciebie, ponieważ prócz tego żem bogaty jestem księciem. Kupię od ciebie pierwszy tuzin nożów. Przyjdź dziś wieczorem do teatru *San Carlo* i spytaj o lożę księcia M. Bądź zdrów.

Skoro nadszedł wieczór, Shoffield ustroił się w dyamenty i pobiegł do teatru *San Carlo.* Szanowny nożownik nigdy nie był w innym teatrze prócz w *Royal Theatre* w Birminghamie: to jest, widział tylko małą salkę, złych aktorów, złe sztuki, mówiących śpiewaków i śpiewane słowa.

Zastał księcia w loży ubranego wykwintnie. Grano Normę. Duprez śpiewał z panią Persiani. Sala brzmiała boską harmonią! Morze śpiewało także łącząc swój głos z orkiestrą. Był to zachwycający wieczór dla lóż piątego piętra, oświeconych iskrzącemi oczyma biednych Neapolitańskich diletantów.

Anglicy jedli lody i grali w wista w łożach. Angielki lornetowały panią Persiani, powtarzając: *Very-nice*, *Very-nice*... Król Neapolitański spał.

Shoffield popatrzył na Anglików, posłuchał trochę muzycznego łoskotu, i usnął jak król.

Książe-filozof pisał w pugilaresie te słowa, dotąd nie ogłoszone drukiem: „Szczyt cywilizacyi materyalnéj zaszczepia w duszy chorobę, która zabija ciało. Piękne i proste ulice, drogi wysypane piaskiem, wnętrza domów gdzie wszystkie potrzeby są obmyślane i przewidziane naprzód — są to piękne wynalazki, nie przeczę; ale nie-

szczęściem, człowiek nie jest przeznaczony na to żeby mu się życie toczyło po aksamitnéj pochyłości; nierówna i trudna droga urozmaica istnienie — na gładkiéj powierzchni dusi człowieka nuda. Spleen urodził się na *Oxfort-Street* pomiędzy gazem i koleją żelazną.

„Widziałem wielu milionerów skąpych usychających z nudów; z razu nie rozumiałem ich. Tak jest łatwo, myślałem, wymienić gwineję za jakąś rozrywkę lub przyjemność. Późniéj dopiero spostrzegłem, że ci nieszczęśliwi bogacze mają jakiś instynkt, który im zabrania dać shillinga człowiekowi, któregoby shilling uszczęśliwił. Skąpstwo nie jest zawsze głupią miłością niepotrzebnych dostatków — częstokroć bywa ono złośliwém wyrachowaniem.

„Czémże jest bogactwo i cywilizacya? Weź dwudziestu neapolitańczyków z pomiędzy tych co tu płaczą z radości nad *Casta-Divą* Persiani, zaprowadź ich do Londynu i powiedz im: Oto pałac księcia *Northumberland*, oto pałac *Roberta Peela*, pałac *Wellingtona*, pałac księcia *Sunderland* i t. d. Wszystkie te pałace wraz z dochodami ich właścicieli są wasze! Można zaręczyć gardłem, że po półrocznym pobycie w tych pałacach, ci żebracy porwani od słońca i morza zażądaliby żeby im oddano ich łachmany i słońce“.

W tydzień po tym wieczorze w teatrze *San Carlo*, zjawił się nowy szyld na ulicy Toledo, z napisem: *Pod Nożownikiem z Birminghamu.*

Pióro które kreśli te słowa, było zatemperowane scyzorykiem kupionym u biednego milionera Shoffielda; historya zaś jego była mi opowiedziana na angielskim statku *Marya Krystyna* płynącym z Marsylii do Neapolu z ładunkiem spleenu.

Shoffield jest bardzo szczęśliwy. Co niedziela chodzi do Psiéj Groty.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Powieść i Romans opanowały od niejakiego czasu literaturę naszą wszechwładnie, czyli, literatura ulotna wyrugować starała się wszystkie inne rodzaje uprawiane tradycyonalnie od najdawniejszych epok, i we wszystkich literaturach świata.—Ponieważ forma ta nieobowiązująca do żadnéj ścisłości, przypadała najlepiéj do smaku piszącym, a i czytelnikom szukającym rozrywki nie nauki, więc téż uznano za pewnik bardzo dogodny, iż gdy powieść zdolną jest przyjąć w siebie żywioł i epicki i dramatyczny, i liryczny, i historyczny i retoryczny, a nawet polityczny, socyalny, ekonomiczny, nie licząc już filozofii i estetyki, o któréj rozprawiać każdy niemal prawo sobie przywłaszcza — przeto miała ona to wszystko zastąpić, tak, jak w potocznéj pogadance gdzie zazwyczaj rozmawiają to o tém to o owém, unikając zbytniego zapędzania się w jaki przedmiot, któryby może w lekko usposobioném gronie wywołał—ziéwanie.

Tym sposobem powieścio- i romansopisarze usiłując być zabawnymi, a razem zyskać uznanie, że są wielkimi reprezentantami ducha narodu i epoki, starali się zaczepiać o różne kwestye, czyto w żywo udramatyzowanéj rożmowie, czy w ustępach umyślnie poświęconych obejrzeniu jakiego przedmiotu ze strony poważnéj, (za co nieomieszkali przepraszać czytelników) — tak tedy i czytelnik usłyszawszy mądre słowo małym zdobyte kosztem, cieszył się w duszy, gdy zyskał nowy pogląd, ba nawet klucz do umiętności, z czém znowu mógł się popisywać w sposób dość świetny w jakiém kole zebraném na pogadankę.

Pokazuje się z tego, że forma powieści i romansu najdogodniejszą jest do popularyzowania nauk i umiętności, czyli, że bez pracy i mozołu daje nam same wypadki i poglądy i to pływające w słodyczy. Co to naprzykład kosztowałoby trudu zrozumieć duch historyczny jakiego wieku, poznać sprężyny poruszające społeczeństwem, zgłębić jaki zagadkowy charakter ministra lub króla; coby to trzeba czytać i widzieć żeby dociec taje mnic sztuki i kreacyi; wyrobić sobie zdanie o szkołach, o mistrzach starożytnych i nowożytnych; co życia, co doświadczeń włożyć w badania chorób i niemocy społecznych, aby znaleść na nie lekarstwo! a tymczasem popularna forma powieści rozcina to krzyżową sztuką z powszechném zadowoleniem czytelników.

Widzieliśmy to gdzieindziéj, zkąd i my pożyczyliśmy, jak wszelkiemi sposobami usiłowano popularyzować owoce głębszego myślenia i nauki; ale w krajach gdzie nie brak głów światłych i wyższych, robota ta lubo mniéj była niebezpieczną dla wyższéj literatury i ścisłéj umiętności, jednakowoż wywołała protestacyę, a za nią oddziaływanie. Przewidywano bowiem, iż taki popęd piśmiennictwa może przyprawić z czasem o szwank wszystkie rzetelne sławy i zasługi, nie w sposób żeby je

wewnętrznéj pozbawić wartości, bo to niepodobna, lecz że odwróci umysły nawykłe lekkiéj strawie, od zaprawiania się na doskonałych wzorach, a nareszcie od pracy myślenia i uczenia się.

Wszystko, co nam lekko przychodzi niesyci ani tuczy; sama zabawa nie może zastąpić głębszych potrzeb życia — cóż z tego wynika? oto, że prędko uczuwamy ckliwość karmiąc się kąskami bez substancyi. Lecz w takim razie powiedziałby kto, że czytelnicy pozostający na niższym stopniu oświaty i wykształcenia wiele zyskują przez spopularyzowanie literatury i umiętności— zaprzeczyłbym temu, mając to przekonanie, iż niższa warstwa potrzebuje ścisléjszych nawet i praktyczniejszych wiadomości, niż te, na jakich wyżsi poprzestają, że twory wyobraźni i marzeń rozbudzające namiętność albo wnoszą wieczny niepokój w ich cichą sferę, albo wyrzucają z niéj, nie dając szczęścia, tylko nieograniczoną żądzę.

W średnich wiekach okrzyczanych za barbarzyńskie i ciemne, kwitła literatura ludowa w ścisłém znaczeniu tego wyrazu; były tam wiersze i dyalogi dramatyczne, były i powieści; ale ten rodzaj literatury wcale inną miał cechę od dzisiejszych tak zwanych pism popularnych. Tamte bowiem pisane przez klechów liczących się do gminu, lub jakich włóczących się śpiewaków, były czystym wyrazem i wyobrażeń i potrzeb gminu, tworząc niejako osobny świat. Dzisiaj przeciwnie się dzieje, gdy pisarze żyjący w innym żywiole, z innemi wyobrażeniami i potrzebami, narzucają swoje widoki, swoje namiętności, okruchy swojéj nauki, tym maluczkim co nałykawszy się tego wszystkiego, nie wiedzą co robić z prostotą swoją, i tą wiarą grzejącą ich serca dopóty, dopóki nie zakradło się w nie wątpienie, lub rozbudzona namiętność, szukająca zaspokojenia po za obrębem ich świata.

Ależ—powie kto—lud u nas jeszcze nie czyta, aby

podobne pisma miały go zepsuć, odebrać mu wiarę, a dać namiętne szały? Zapewne dziś jeszcze nie czyta— ale jutro?.. Rostropność nakazuje przewidywać i zabiegać, tém więcéj że doświadczenie uczy na drugich, co przez to przechodzić musieli.

Z resztą pisarze nasi, nie wszyscy, ale większa część, osobliwie tych, co nie mogli sprostać uznanym talentom, forsują się w tym rodzaju, i nadużywają granic w jakich powieść i romans pozostać powinny.—Że nadużycie się wkrada widocznie w ten rodzaj piśmiennictwa, każdy to postrzeże jeżeli zechce porównać dzisiejsze elukubracye z utworami uznanemi i ukochanemi w narodzie.

Zasada, że *namiętność mocna, a gwałtowna, wszystko uniewinnia, upiększa i użycza barwy poetycznéj*, stała się drugim kodexem horacyuszowym. Czyż to nie przemawia z każdego ich wiersza, że tylko *namiętność jest trwałą i pełną życia a rozmaitości, gdy przeciwnie powinność jest względną, przechodną i zazwyczaj nudną.*

Główne to i największe zboczenie dzisiejszych umysłów, stało się, że tak powiem, Muzą piszących, co odbieżawszy boskiéj zasady, chwycili się obiema ramiony ziemskiéj słabości. Cóż bowiem jest namiętność jeśli nie rzeczą najnietrwalszą, czysto ziemską, oddzielającą się tak od boskich początków jak od ostatecznych przeznaczeń ludzkości, a tém samém biorącą udział we wszystkich nędzach i znikomościach padołu, obracającą się w ciasném kółku złudzeń, uniesień, rozczarowań i nicości, gdzie powrót tych samych przyczyn te same sprowadza skutki, i gdzie człowiek, ten wielki mściciel wszystkiego co zdeptał i sponiewiérał, dokonywa swoje dzieło niszczące, przez zniszczenie tego samego dzieła. Przeciwnie wszelkie uczucia czyste i prawdziwe mają nieprzemienną trwałość i rozmaitość—; rozmaitość, bo to przecież niewyczerpany przedmiot te duchowe walki,

poświęcenia się, skarby uciech i boleści zamknięte w tajnikach kochającego serca i czystego sumienia; — trwałość, — ponieważ dusza napełniona niemi i Bóg któremu się podobają, użycza im jednego promyka swéj nieśmiertelności. — Jeżeli na to się zgodzą wszyscy, że tylko ta literatura jest prawdziwą i dobrą, która najlepiéj odzwierciedla świat wewnętrzny, i wszelkie zjawiska duchowe, dlaczegóżby to, co prawdziwém jest w rzeczywistym świecie, nie miało być prawdziwém w książkach? — Zdaje nam się, że czasby już skończyć raz z tym przewrotnym systematem, który niedopuszcza aby mogła znaleść się poezyja, wymowa, bogactwo wyobraźni, porywający efekt, piorunujące wrażenie, wielka miłość, tylko za obrębem zasadniczych praw boskich i porządku społeczeńskiego; z systematem, wedle którego nie może być piękném, wielkiém, namiętnie natchnioném, tylko to, co trąci duchem nieposłuszeństwa, i smakiem zakazanego owocu.

Pod pozorem, a raczéj jak każdy powiada, w celu naprawy zepsutego świata, zajęto się studiami towarzyskiemi, aby pokazać ludziom na oczy jakimi są, a właściwie jak się przedstawiają oku tego lub innego romansopisarza. Cel piękny, rywalizujący z amboną; ale aka to i rywalizacya! — bo piszącym nie idzie o zbawienie duszne grzeszników światowych, ale poprostu o zebranie wzorków i przygód gorszących, aby tym sposobem zaprawić czém świeżém zużyte już kombinacye romansów.

Nieumiejąc i nie będąc w stanie tworzyć ideałów, muszą się rzucać w przesadę; sam rysunek prosto zdjęty z natury zbyt mało ma efektowości, a to bardzo popłaca, trzebaż mu więc nadać niesłychane rozmiary, i oświecić ogniem bengalskim jakiéj rozpasanéj namiętności... Ztąd téż nierzadko spotykamy i stare matrony dające się po kilkakroć wykradać, i cynicznych mężów nastręczających kochanków swym żonom, i zawsze jakieś bohatyry przy-

chodzące na świat bez żadnéj firmy, a ogromnie zagniewane na Boga i ludzi...

Kiedy wołasz że to szpetne i zasmucające a zatém że cię nie może podnieść w duchu, ani natchnąć uczuciem piękna — wzruszają ramionami, jakby chcieli dać do zrozumienia: cóż robić! kiedy to żywa prawda. — Tymczasem, najczęściéj postrzegamy w dzisiejszych powieściach, że się zarówno bez prawdy, jak bez prawdopodobieństwa obchodzą. Prawdą bowiem nie może się nazwać to, co do wyjątków należy, co jest chorobą. Żaden prawdziwy sztukmistrz nie będzie brał za wzór swojéj kompozycyi garbusa, paralityka, lub istotę upośledzoną od natury, aby ją skopiował na płótnie, lub oddłutował w marmurze ze skrupulatną dokładnością posuniętą aż do przesady. — Ale niektórym pisarzom nowoczesnych powieści nie idzie o wywiązanie się z zadania podług wymagań sztuki — oni stworzywszy sobie swój światek przykrawają doń namiętności i obyczaje dzisiejszego lub dawniejszego towarzystwa, i tym sposobem, jak dobrze wyraża się Cuvilier-Fleury: mszczą się na dzisiejszém społeczeństwie policzkując społeczeństwo urojone. W tém się zamyka cały poetyczny kodex nowoczesnego romansu jako utworu literackiego — i cały program, jako środek zreformowania świata.

Wszystkie te potworności i swawole znajdziesz w naszych romansach i powieściach w stanie zarodków, bo albo autorowie nie mają dość śmiałości zbyć się ostatnich skrupułów, albo niepozwolonoby im rozpuścić wodze tak, jakby chcieli.

Że sami sumienniejsi powieściopisarze uczuli już pewien niesmak do téj fabrykacyi upośledzającéj wyższą i prawdziwą literaturę, a prowadzącéj ją do zupełnego upadku, mamy dowód w Kraszewskim, który przed rokiem uczuł potrzebę zaprotestować przeciw nadużyciom téj formy łatwéj, dotykającéj wszystkich stron literatury,

a tém samém pozbywającéj się wszelkiéj literackiéj ścisłości. Właściwie była to protestacya przeciw czczości powieściowéj, téj bezdusznéj zabawce niezatrudnionych czém lepszém i wyższém umysłów — protestacya przeciw wyrzuceniu wszelkiego ducha z utworów; bo ducha tam nie ma i być nie może, gdzie celem prosta rozrywka dla zabicia czasu, a środkiem fantazyowanie i parodyowanie tematów skończenie i mistrzowsko obrobionych przez wzorowych pisarzy. — Jeżeli piśmiennictwo jest rodzajem kapłaństwa w narodzie, przeto nie może być fabryką, wyrachowaną na słabości i lenistwo ludzkie, któréj nie wypada tém się zastawiać i mówić: jak piszem, to piszem, dość że nas czytają. — Nie przeczę — czytają was, tak jak piją kawę, jedzą obiad, lub wieczerzę — czytają, ale raczéj dla zaspokojenia materyalnéj potrzeby, niż pragnień duchowych; bo że tych zapełnić nie są w stanie te liczne powieści sypiące się z piór, to nie potrzebuje dowodzenia, raz bowiem przeczytane więcéj otwiéranemi nie bywają. Smutny los książki do któréj nikt nie wraca! bo i pocóżby wracać, kiedy w niéj nie znajdziesz ani tego ciepła co wiecznie grzeje, ani téj głębi co wiecznie ciągnie w siebie myśl czytelnika. Najczęściéj bywa to na tle towarzyskiém zrobiona analiza podług oklepanéj metody przeciwstawiącéj bogatych i ubogich, szlachetnie urodzonych i prostaczków, materyalizm z przesytem i sentymentalizm z deklamatorstwem, a wszystko zaintrygowane jaką miłostką ubogiéj panienki z bogatym paniczem i *vice versa.*

Dobroduszna publiczność czyta to i cieszy się, ale przecież kiedyś poznać się musi, że ciągle dają jéj jedno i to samo, tylko w innym sosie; a raz poznawszy proceder powieściarski, nauczy się z pierwszych kilku wierszy odgadywać czy warto czytać lub nie, podobnie jak kuglarzem przestanie się interesować skoro wié jakim sposobem *zjada łyżki i noże.*

Mimo głośnych zapowiedzi po dziennikach i chwalczych krytyk, właściwa literatura nic a nic nie zyskała od czasu jak się u nas rzucono do powieści i romansu, bo rodzaj ten mający udzielną wziętość, nie tylko przygłuszył inne właściwe literackie prace, jak chwast przygłusza szlachetną roślinkę, ale nadto spaczył, a raczéj zepsuł smak publiczności czytającéj, że książka poważniejszéj treści, potrzebująca większego natężenia myśli, zawsze pójdzie na bok przed jaką powiastką, po któréj ani w głowie, ani w sercu nic a nic nie zostanie. Że jest w naturze naszéj większy pociąg ku przedmiotom bawiącym wyobraźnię, niż ku rzeczom ścisłéj praktyki, lub głębszego myślenia, najłatwiéj się przekonać na jakim młodym chłopcu lub dziewczynie, a to dając im przez czas niejaki czytać same romanse i powieści, zapewne dla ułatwienia im znajomości świata i ludzi — i dopiéro po téj przygotowawczéj pracy, zaprządz ich do gramatyk i kompendyów — z jakimże wstrętem odrzucą je od siebie! jak nauka wyda się im suchą, niepotrzebną, nieznośną! jak nawet myśli zebrać nie potrafią aby najprostszą zrozumieć regułę!—

Ten drobny experyment przenieśmy na wielką skalę czytającego narodu—a niezawodnie ten sam otrzymamy rezultat. Massami spożywane jak chléb powszedni romanse i powieści, mogłyby tak dobrze ogłupić ludzi, jak niegdyś panegiryki, że nawet i znakomite utwory nie śmiały wtenczas głowy wystawiać na świat, bo ani Pamiętników Paska, ani Wojny Chocimskiéj, ani Otwinowskiego historyi, nie śmiano drukiem ogłaszać; odgłos nawet tradycyi nie przebił się do nas że były drukowane jakieś Psalmy W. Kochowskiego — kiedy dziś czytając je, dziwić się przychodzi jak podobny hymn mógł niezostawić wrażenia przynajmniéj w trzech pokoleniach?... Ta epoka panegiryków to jak lawa, pod któ-

réj zastygłą skorupą niejedna może Pompeja jenialnéj myśli spoczywa.

Dziś zapewne nie ma téj obawy z powieściarstwem, bo mamy większy ruch i prędszą zamienność wyobrażeń; jeżeli jaki prąd zanadto w jedną stronę unosi z uszczerbkiem równowagi, znajdzie się zaraz reflektujące słowo, lub oddziaływująca siła.

Krytyka w gazetach Warszawskich przywiązująca wielką wagę do powieści i nawet głęboko rozmyślająca nad niemi choć jeszcze po kawałku wynurzały się z kolumn codziennych pism, mniéj zdaje się zajmować tym rodzajem od niejakiego czasu. Jeżeli to chwilowa tylko stagnacya, — to nic nowego; jeżeli zwrot — to winszować; bo grzech nielada cięży na tych korrespondentach co z nad brzegów różnych rzek od Prypeci do Bzury, wybębniali sławę każdego nowego zapaśnika wjeżdżającego w szranki, jakby to miał być ów spodziewany rycerz co świat pokona. Takieto afiszowe zdania wszczepiały w łatwowierniejszych czytelników, lub tych, co się radzi kierują krzykiem większości, że już alfa i omega całej literatury zamyka się w powieści, że po za nią, jak po za koranem u Turków, nic nie ma. Zapewne! — piękna powieść płynąca z pióra natchnionego mistrza, lub jakiéj jenialnéj kobiety, nietylko może być kreacyą dość odpowiednią naszej epoce, ale nawet stworzyć epokę — nieuznawać powieści, jedno byłoby co nieuznawać Bokacego, Cerwantesa, Xiędza Prevost, Goldszmida, Hofmana, Walterskota, co zapomnieć o Rzewuskim, Chodźce, Korzeniowskim — że tylu innych pominę. — Ale protestować przeciw powieści mającéj pretensyę trząść światem, edukować go, reformować, rozcinać zagadki społeczne, a raczéj tworzyć zamęt społeczny i to za pomocą tych samych sznurków, któremi drewniany pajaco kiwa głową i rękami a

nogami wywija — niema grzechu; a choć przestroga w las pójdzie, to i tam niezginie.

Jednakowoż nad wszystkie przestrogi i poważne kazania, stokroć lepsza i skuteczniejsza sama praktyka. Powódź powieści i romansów nie da się czém inném wstrzymać, a przynajmniéj zrównoważyć, tylko książkami treści budującéj i uczącéj, coby dostając się z łatwością do rąk największéj liczby czytelników, zrodziły w nich niesmak ku płodom niedającym ani umysłowego pożytku, ani duchowego zbudowania.

Na szczęśliwą myśl wpadli wydawcy *Biblioteki polskiéj* w Sanoku, gdy popularnemi przedruki dawnych naszych pisarzy, usiłują nawiązywać tradycyjną nić literatury, zgodnéj z naszemi wyobrażeniami, potrzebami i wiarą. Jest to wymowna odpowiedź mająca oddziaływać na czczy żywioł powieściarski, nadający sobie przywiléj kształcenia serc i umysłów, przez to tylko, że trafił w słabość, i zamiast ukajać porusza namiętności, niemając bynajmniéj na względzie zaspokojenia wyższych wymagań literatury i sztuki, a cóż dopiero tych potrzeb duchowych i téj praktyki życia, których mrzonki spaczonych pojęć i chorowitéj często wyobraźni zaspokoić nie mogą.

Krom tych niedostatków, biły w oczy i inne. Sam język pod dorywczemi pióry gwałcony i szarzany, niedość że wciągnął w siebie formy i zwroty rażące obczyzną, ale zaczął już wycierać się przyjmując ową konwencyonalną gładkość czyniącą wszystkich piszących podobnymi do siebie. Dawna jego zwięzłość, owe właściwe nam wyrażenia i zwroty, zastąpione zostały wodnistemi frazesy, bez koloru i siły. Istotna sztuka pisania, policzona przez nowatorów do pedanckich wymagań, ograniczyła się na oddawaniu obrazów i myśli, tak jak się cisnęły pod pióro, bez wyboru między lepszem a gorszem wysłowieniem, bez usilności oddania rzeczy w krótkiem a do-

bitném słowie; zwięzłością bowiem wzgardzono na dobre, kiedy najmniejszą miarą produkcyi literackiéj jest tom, i to gruby. Niedziwię się ani wydawcom, ani czytelnikom, że się dopominają o grube tomy; jest w tém praktyczna rachuba, bo im większa woda, tem więcéj ryb można się w niéj spodziewać.

Przedruki starych pisarzy Zygmuntowskich w Bibliotece, raz że wprowadzają nas w świat myśli, uczuć i wyobrażeń, z któregośmy wyszli uniesieni najrozmaitszemi prądami oddalającemi nas od źródła, po drugie, że uczą właściwego języka co grzmiał z kazalnic, z trybun sejmowych, którym spiewali poeci, rozprawiali wielcy statyści, polemizowali duchowni i świeccy w sporach religijnych i politycznych, języka, który się wyrabiał pod wpływem pełnych sił narodu — powinny już przezto samo być w ręku wszystkich, nie jak lektura do zabicia czasu, ale jak budujące słowo, co myśl pociąga do pracy wewnętrznéj, co kształci wyobrażenia i przekonanie nadając im silną podstawę, co wreszcie utrzymuje na drodze historycznego pochodu i rozwijania się w duchu chrześciańskim i swojskim.

Jeżeli powieściarstwo używa dziś takiéj wziętości, że zdaje się pochłaniać w sobie całą literaturę, i służy do zabawy luźnych umysłów, — niechże ci, co pragną zdrowego i pożywnego pokarmu dla ducha, mają go gdzie zaczerpnąć. Rozpowszehnienie starych pisarzy zrobione z wyborem, więcéj się tu może przyczynić do utrzymania literatury na dostojném jéj stanowisku, niż najgorętsza filippika przeciw nowatorstwu. Zapewne, walka trudna, bo lekkie piśmiennictwo ma i największą liczbę i najpilniejszych czytelników — czytelnikami tymi — cała płeć piękna. Raz się już wyraziłem, napomykając iż wszelkie potworne mody panujące w literaturach, były wynikiem kobiecych wpływów; nie jednym może się to wydało zbyt paradoxalném twierdzeniem — a jednakowoż

przyznajmy się, kto upominał się ciągle u naszéj literatury aby dostarczyła co zabawnego do czytania, kto wołał: powieści dajcie nam, i tylko powieści! — I posypały się jak z rękawa ku wielkiéj uciesze czytelniczek.

Francuzi mają przysłowie: czego chce kobieta, tego chce i pan Bóg — tak to bywa na świecie; jednakowoż namby lepiéj przystało mówić: czego chce pan Bóg, tego powinien chcieć mężczyzna.

Prawdziwa literatura, godna tego nazwiska, bierze ducha i siłę z piersi mezkich — tak bywało zawsze i w starożytności i nowożytności — dzisiejsza jéj lekkość i zniewieścienie najwyraźniéj przekonywa, jakiemu wpływowi ulega. Zdarzało się przecież, że i z najpoważniejszych i najświętszych rzeczy robiono sobie zabawkę, dlaczegożby literatura, ta jedyna nasza pozostałość, niemogła uledz podobnemu losowi?

Zostawiając tedy powieść i romans tym czytelnikom, którzy się bez nich obejść niemogą, przebiegniemy po krótce przedruki Biblioteki polskiéj dla tych, co by z nich korzystać powinni.

Publikacya ta wychodząca w Sanoku, partykularzu, który nigdy niesłynął żadnym ruchem piśmienniczym, wydała w przeciągu kilkunastu miesięcy około czterdziestu zeszytów mających składać całe dzieła, częścią rzadkie, częścią niezbędne dla każdego kto nie chce pozostać obcym dla ważniejszych płodów literatury naszéj.

W planie całym wydawnictwa rozłożonym na lat dziesiątek i na tysiąc zeszytów, zdaje się przebijać czy brak zakładowego funduszu, czy też obawa względem publiczności, któréj smak powieściarstwem zepsuty, nierokował tak ożywionéj prenumeraty, aby przedsięwzięcie utrzymać się mogło. Tymczasem, jak się pokazuje ze spisu przedpłacicieli, Biblioteka polska trafiła w potrzebę chwili, kiedy tyle obywatelskich domów zapisało się

na nią. Idzie tylko o to, aby z niéj korzystać i wyciągać wszystko co się da wyciągnąć z dobrych wzorów minionéj już epoki; czyli po prostu, żeby umieć w niéj czytać. Przeszłość bowiem, tem więcéj staje się dla nas niezrozumiałą, a prawie tajemniczą, im bardziéj odrywamy się od niéj wyobrażeniami, im bardziéj gubimy nić tradycyi. Tłumaczyć zaś ją w duchu tegoczesnym, czyli analizować bez miłości i wiary, jedno jest, co ją głębiéj pogrążać, co odbierać cały urok przeszłości, co wreszcie wielkie czasy i wielkich ludzi przycinać do małości dzisiejszéj.

Zdaniem mojem dla starych tych zabytków należy mieć tę cześć, i tę prostotę serca, z jaką dziecię słucha opowiadań sędziwego starca, a razem i klucz do wysokiego rozumu, gorącéj wiary i podniosłego uczucia, aby zrozumieć tych ojców Rzeczpospolitéj w ich życiu, w ich czynach i pismach, odpowiadających zupełnie innéj skali, jak ta, na którą żyje obecne pokolenie. Z takiem usposobieniem, każda karta, wyraz każdy, inaczéj odbrzmi w duszy; bo tam nieznajdziesz zdań wiatrom rzuconych, ani słów coby nie ważyły jak czyste złoto.

Jest to zapewne pracowite czytanie, ale się opłaca; jeden wielki charakter poznać w całéj prawdzie skreślony, więcéj podobnoś warte niż owe urojone bohatyry romansów, tak najczęściéj stawiane, że niemają charakteru; jedno mądre zdanie lub prawidło życia zachowane w pamięci nieobstoiż za jaki bluźnierczy, częściéj pusty lub kłamliwy frazes; — jedno zdarzenie skréślone piórem naocznego historyka niewynagrodzisz szerokich romantycznych opisów zdjętych z fantazyi?

Przebiedzby można po kolei wszystkie niemal zeszyty Biblioteki i odkrywać te skarby nieocenione jakie się w nich mieszczą *) lecz w takim razie wyszłoby to na

---

*) Jeżeli wydawnictwu Sanockiemu przyznaję zasługę trafnego

długi kurs literatury, a to nie miejsce; dość tu i owdzie otworzyć Zygmuntowskiego pisarza, aby cię zawiało tchnienie innego świata, takie czerstwe, silne, orzeźwiające, jak woń odetkanéj butelki starego węgrzyna. Zobaczmy tam np. w *Żywocie Jana Tarnowskiego* napisanym przez Orzechowskiego, gdzie mówi o podróżach — jak napada na legarta, czyli domatora, (rodzaj dziś zagubiony) strofując go, że za piecem niczego się człowiek nie nauczy, dla tego też potrzebuje jak drugi Odyssejs poznać rozliczne narody i rozmaite obyczaje. W ówczas, jak widać i samemu wielkiemu Janowi z Tarnowa miano za grzech szukać rozumu po świecie, kiedy Orzechowski tak karci legarta: „Tak też i ty — z domu nigdy niewyjeżdzając, możesz podobno o dobroci i cnocie jako we śnie słyszeć, ale żebyś miał umieć, co to za sprawa dobra a cnotliwa jest? — byś się ty legarcie! rozpuknął, rozumieć tego nigdy niebędziesz, tylko będziesz jak szalony wołał: dalibóg jestem szlachcic, jestem wolny, dobry a cnotliwy — niebacząc tego, że ani wolnym ani szlachcicem, ani dobrym jesteś..... Herby wasze, bracie! są znaki szlachectwa, a nie szlachectwo: a jako gdy piwo kwaśnieje, wiechy mądrzy zmiatają, tak też i ty legarcie zrzuć herb, gdy się szlachectwo twoje złotrzyło; nie chlub się zacnością przodków twoich; ku hańbie twéj ich wspominasz, a tem znaczniejsza niecnota twoja jest, im przodkowie twoi cnotliwsi byli i t. d.“ W téj diatribie Orzechowskiego przeciw herbom więcéj stokroć i siły i prawdy niż w tém wszystkiem,

---

pomysłu, niezgodziłbym się zawsze na wybór i na systemat. Zeszyty Biblioteki niechby tworzyły prawdziwą bibliotekę domową, niewiele kosztującą, a złożoną z samych dzieł uznanych za dobre — broszurowość powinna być prawie wyłączoną, niemniéj jak wyimki z dzieł; zato objaśnienia staranne i tekst poprawny byłyby właściwsze.

co dzisiaj popisano, jak to mówią, ze stanowiska liberalno postępowego.

Można powiedzieć że Orzechowski plutarchowem piórem dłutuje postać hetmana zstępującą w jego oczach do grobu, kiedy jeszcze nie umilkły dzwony pogrzebne, a płacz rozlega się nieutulony po całym kraju... Bo też pierwszy to i ostatni z tych hetmanów, choć tylu wielkich przed nim i po nim było, co wszystkie cztery rzeczy w sobie łączył: trzeźwość, czujność, grozę, rząd. W tych kilku słowach, a jakiż portret skończony! „Gdy srogi był, widziałeś jawnie iskry w oczach jego: twarz pałała, kark się jako na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy. A gdy zasię łaskaw był: anioł z nieba, a nie człowiek z Tarnowaby się widział" — Ależ niedość w nim téj rycerskiéj natury, bo jaki to rząd w obozie i w ciągnieniu, jakie gospodarstwo wojenne! A oweż słowa pełne mądrości i znajomości swych rodaków, które często powtarzał; „że *jeżeli polakowi od czego wczas z przodku zabieżysz, już tego daléj nieczyni; ale jeżli mu z przodu swéj woli dopuścisz, już tego potem nieuhamujesz, byś mu dobrze na głowie jego i koły ostrzył*" — czyż słowa te święcie przestrzegane, niebyłyby Rzeczpospolitéj oszczędziły tyle smutnych kolei? —

Jeżeli kto szuka w książkach, jak podnieść się duchem, rozgrzać serce widokiem wysokich cnót i mądrości, niech czyta ten krótki żywot hetmański i rozpamiętywa go, a pewnie więcej umysł swój ubogaci niżby sto tomów dzisiejszych powieści przeczytał.

Kronika w Koronie Gornickiego napisana prześliczną polszczyzną, interesuje jak romans, jak dramat najbardziéj ożywiony, w tym np. ustępie o porwaniu Halszki Ostrogskiéj. Cały tam dwór ostatnich Jagiellonów przesuwa się przed tobą aż do téj sceny w posępnym Zam-

ku Knyszyńskim, kiedy to umierającemu królowi przynoszą jakąś tajemniczą szkatułkę...

Mowy Orzechowskiego w których jak drugi Demostenes zapala na wojnę przeciw Turkom, nieocenionym są wzorem porywającéj wymowy, szczególniéj czytając je w przekładzie Ossolińskiego, ostatniego z polskich pisarzy co jeszcze mógł udźwignąć pióro Zygmuntowskich wieków. Jakaż to potęga słowa, jak żywo oddany obraz niewoli u Turka!: „U takich panów woła on — nie twoja rola, nie twoja żona i dzieci. Mający w mocy życie i śmierć nieszczęśliwych jeńców, nie będą się o słuszność, albo o prawa pytać. Kijem, batogiem, kajdanami, więzieniem, nauczą was na swoje skinienie tak skakać, jak oni zechcą. Śmierć okrutną z chęcią przyjęlibyście za dobrodziejstwo, żeby na zniewagę Boga żywego, na zbezecnienie ołtarzy, tajemnicą męki Zbawicielowéj poświęconych niepatrzyć i t. d.“ —

Żywot Lwa Sapiehy, *Pamiętniki Paska* tak znane i ukochane, że możnaby je nazwać jedyną epopeją naszéj przeszłości — Daléj, Skargi *Żywoty Świętych Pańskich polskiego narodu* — pełne wysokiego religijnego namaszczenia, przy wyborze których, to chyba zarzucić można, że należało całe dzieło oddrukować, choćby przez kilka lat ciągnęła się publikacya.

Na ostatku, pomijając tyle innych ważnych przedruków mogących być czytanych z korzyścią, winienem zatrzymać się nad szczupłą książeczką lecz rzeczywiście perłą naszego dawnego piśmiennnictwa — rozumiem tu *Przysłowia Mów Potocznych* Andrzeja Maxymiliana Fredry.

Są to krótkie aforyzmy oddane krojem przysłowiów w których napotykamy wyborne rady moralne, polityczne, towarzyskie, literackie, wyrażone z nieporównaną zwięzłością, niekiedy z wdziękiem. Znać że Fredro to mąż co zna swój naród, co wie jego potrzeby, jego ułomności, grożące mu niebezpieczeństwa; a przytém ja-

ki duch mądrości pełen, nie téj, co na chwilę jedną wystarcza, co olśniewa dowcipem, ale téj, niepożytéj, co po wiekach zostanie czém jest.

Francuzi liczą do najpiękniejszych ozdób swojéj literatury Maxymy Księcia la Rochefoucauld, tymczasem gdy go postawimy obok Fredry, o ileż niższy ten dworak wersalski niewierzący w żadną szlachetną pobudkę, a ciągle krążący około téj jednéj fałszywéj myśli, że *miłość własna jest sprężyną wszystkich ludzkich postępków.* Dworak ten żyjący w samolubnym świecie, śród drobnych intryg i rosterek Frondy, znał ludzi — nasz Fredro znał człowieka, i wierzył w doskonałość moralną, a nadewszystko w przysłowiach jego przebija niezmierny rozum praktyczny, jakby czuł, że naród łatwo unoszący się fantazyą rycerską, a często miłujący swobodę aż do swawoli, przytem nieprzewidujący i mało rządny potrzebował takiego hamulca.

„Lepiéj mądrze wierzyć i obawiać się, niżeli głupio śmiałkiem być a zatem szkodować. Nikt dotąd ostrożnością nie przeładował, wielu zaś oszukało się w zbytecznéj dufności.“

Albo: „Rozumny przed czasem złe uważa i radzi; prostak zmysłem tylko bydlęcym rzeczy mierza, czując złe dopiero kiedy go w bok trąci.“ —

„Gorące rozumy do zamieszania, nie do rządu.“

Długo byłoby wyliczać zalety téj nieporównanéj książki, tego najlepszego *Vade mecum*, które chociaż w ósmem podobnoć wydaniu wychodzi od r. 1658 jednakowoż nie tyle jest rozpowszechnione, jakby być powinno. Na zamknięcie pobieżnych uwag moich stawiających paralellę między nowellistyką, tym wszechwładnym rodzajem w dzisiejszéj bawiącéj literaturze, a naszymi dawnymi pisarzami pełnymi namaszczenia, rodzimego ducha, praktycznego rozumu i mądrości — tyle jeszcze dodam gwoli zupełnego usprawiedliwienia się, że bynaj-

mniéj nie potępiam pism służących do rozerwania i zabawienia umysłu, wiedząc że praca poważnego myślenia utrudza jak każda inna, przeto miło czasami wytchnąć przy wesołéj powiastce: naganiam tylko smak publiczny a najbardziéj piszących, co nie przewodniczą smakowi, ale mu jak w garkuchni dogadzać starają się — przyrządzając niestrawne łakocie. Snać mędrzec nasz Fredro przeczuł ten okres dzisiejszego piśmiennictwa kiedy w swoich Przysłowiach Mów potocznych zapisał to zdanie:

„Z lekkim się ucieszysz, ale i w lekkość podasz.“

L. Siemieński.

KONFERENCYE PARYZKIE.

W pięć dni po pierwszém posiedzeniu konferencyj paryzkich to jest dnia 1go marca, hr. Walewski minister spraw zagranicznych a oraz pełnomocnik Cesarza Francuzów przewodniczący obecnemu zebraniu dyplomatów w Paryżu, uznał za stósowne, pomimo tajemnicy jaka naradom towarzyszyć miała, następujące otwarcie wypowiedzieć zdanie:

„Jeżeli obrady się przedłużą, konferencye przybiorą „obszerniejsze rozmiary, staną się dziełem wielkiém, „nowym dla Europy kongresem; jeżeli przeciwnie, obe„cne obrady natrafią na trudności, będą mogły natych„miast być zerwane i to w każdéj chwili, bo nie ma „nic pewnego pomimo hymnów radosnych przez gieł„dy wznoszonych“...

We dwa dni późniéj, mowa Cesarza przy otwarciu Izb prawodawczych, potwierdziła w zupełności słowa ministra. Nie była wcale tak jak się spodziewano owym mieczem, coby rozciął węzeł nader zawikłanéj sytuacyi;

określiła tylko położenie, rzucając kilka wyrazów pełnych nadziei na szalę pokoju, i kilka wyrazów pełnych godności na szalę wojny. Według niéj, Francya mogła z zaufaniem oczekiwać pokoju: z gotowością powinna była przyjąć wojnę, w razie gdyby ogólne chęci pokoju zawiedzione zostały.

Horoskop przeto powyższy ukrywał w swych niekabalistycznych lecz tajemniczych ogólnikach, obie szanse postawione przez ministra spraw zagranicznych aż do połowy bieżącego miesiąca. Dopiero zawezwanie Prus do wzięcia udziału w konferencyach, przedarło zasłonę do tyla przynajmniéj, iż bezstronne oko spojrzeć mogło z niejaką pewnością na koléj po któréj postępują negocyacye, i dostrzedz, że druga szansa usuwa się coraz bardziéj z pola układów, a pierwsza coraz więcéj przybiera prawdopodobieństwa.

Jeżeli bowiem jaka zasada polityczna p. Girardina, z wielkiéj liczby zasad wyrzeczonych i dowiedzionych przez tego znakomitego publicystę, winna była znaleźć zastósowanie swoje w konferencyach paryzkich, to niezawodnie najkrótsza z nich i najloiczniejsza: *upraszczać aby rozwiązać.* Wszystko przemawiało za nią, a zwłaszcza pośpiech porą roku nałożony, a terminem zawartego zawieszenia broni aż do ostatniego marca, za konieczność uznany. Pośpiech, jedna z owych licznych przeszkód w obecnych negocyacyach, wskazywał maksymę powyższą jako jedyny ratunek, i trudno przypuszczać, aby pełnomocnicy wbrew jéj przepisom postępować mieli. Takiém wszakże postępowaniem byłoby wzywać Prusy do konferencyj, dopóki „układy natrafiały „na trudności mogące je zerwać w każdéj chwili, dopóki „nie ma nic pewnego“. Byłobyto raczéj dorzucać jednę niepewność więcéj do tylu innych, choćby tylko dla tego, że stanowisko Prus w sprawie obecnéj nigdy dokładnie i stanowczo nie zostało oznaczoném; byłobyto do-

dawać jednę trudność więcéj, choćby tylko dla tego, że wszystkie sześć mocarstw reprezentowanych w konferencyach zobowiązało się nawzajem względem siebie, jako wojujące lub sprzymierzone, wziąść czynny udział w następstwach, jakieby wyniknąć mogły z odrzucenia warunków zawartych w *ultimatum* będącém podstawą negocyacyj, Prusy zaś zobowiązania tego o ile dotąd wiadomo, przyjąć nie chciały i nie przyjęły. Głos zatém Prus w konferencyach w obec powstających coraz nowych trudności nie mógł znaleźć się w harmonii z innemi, bo nie był nawet dostrojony do ogólnego, jeżeli tak wyrazić się wolno, kamertonu, bez którego układy same niepodobnemi były. Tém mniéj przeto rachować nań wypadało do zdobycia zupełnéj harmonii, do usunięcia wszelkich nót rażących, do sprowadzenia akordu który miał być pokojem.

Inaczéj atoli rzecz się przedstawia przypuszczając że trudności przynajmniéj takie, któreby „natychmiast zerwać mogły układy“ zostały już usuniętemi choćby nie załatwionemi zupełnie. Z usunięciem trudności takowych znikały także owe następstwa, które były główną przyczyną roztroju między traktującemi państwami a Prusami. Zawezwanie wtedy tych ostatnich do udziału w konferencyach jest naturalném i bardzo prostém, kiedy już nie idzie o pokój lub wojnę między wojującemi mocarstwami, ale o systemat polityczny Europy oparty na równowadze. Prusy od samego początku obecnéj sprawy trzymały się neutralnie w kwestyi pokoju lub wojny; lecz przemawiały ciągle za owym systematem, popierały wszelkie kroki mogące sprowadzić porozumienie w téj mierze, uznały nawet przeszłoroczne i tegoroczne rękojmie pokoju za dostateczne, skuteczne i odpowiednie wymaganiom równowagi europejskiéj. Nadto są one państwem pierwszego rzędu, jako takie podpisały traktaty w których równowaga dotychczasowa była ułożoną,

miejsce ich zatém zdaje się oznaczone w naradach gdzie idzie o zmianę téj równowagi.

Z tych powodów, nazbyt widocznych aby się dłużéj nad niemi rozwodzić, domyślać się wolno, że skoro Prusy zawezwane zostały do wzięcia udziału w naradach, usunęła się już, jak wyżéj nadmieniono, druga połowa horoskopu, pozostała tylko pierwsza. Zastanowić się nad nią wypada, zdaje się bowiem, że ona właśnie zawiera życzenie cesarskie, że w niéj tkwi myśl polityki napoleońskiéj.

Na to jednak ażeby myśl ta rzeczywistością się stała, niedosyć aby niespodziewany jaki wypadek nie zerwał konferencyj, bo zapominać nie trzeba, że nawet kongres wiedeński był przez chwilę w bardzo krytycznėm położeniu co do samych układów, i że tylko na odgłos wylądowania Napoleona w Cannes i przybycia do Paryża (20 marca 1814 r.) porozumienie i zgoda napowrót traktujące strony zjednoczyły; niedosyć „aby się obrady przedłużyły“ i przywiodły do skutku traktat zakończający obecną wojnę, bo cel ten dopiętym być może bez przedłużenia terminu zawieszenia broni, odraczając kwestye niezałatwione na czas późniejszy, i powierzając ich ostateczne rozwiązanie osobnym *ad hoc* wybranym komissyom. Lecz na to, ażeby „konferencye przybrały obszerniejsze rozmiary, aby stały się dziełem wielkiém, nowym dla Europy kongresem“, potrzeba nieograniczania ich w ciasnych szrankach oznaczonych pięciu punktami zawartemi w *ultimatum*, aby sięgały one daléj niżeli kwestye protektoratu Księstw Naddunajskich, neutralizacyi morza Czarnego, a nawet równouprawnienia tureckich rajasów i nieobwarowania wysp Alandzkich, trzeba aby wyszły po za sferę sprawy która się toczy, przeniosły się na pole wielkiéj polityki, słowem, aby konferencye za przykładem dwóch wielkich swoich poprzedniczek, ułożyły równowagę europejską, zapisały ją

w akcie mającym być na przyszłość prawem publiczném między-narodowém, tak jak to uczyniły w swoim czasie traktaty westfalski i wiedeński.

Dwie te najważniejsze nowszéj historyi epoki nasuwają się z dziwnie uderzającą konsekwencyą dziejową, w obec dzisiejszego położenia Europy i toczących się konferencyj. Zadanie negocyacyj paryzkich jest z wielu miar tylko wynikłością rzeczonych traktatów, dopełnić go one mają czy jako konferencye, czy jako kongres, bo tu o rzecz a nie o nazwę chodzi.

Traktat westfalski, jakto już w przeszłym miesiącu na tém samém miejscu napomknięto, był początkiem systematu fizycznéj równowagi państw, to jest opartéj na sile. Systemat ten zapisany w aktach münsterskim i osnabryckim miał zastąpić prawo i dawniejszy trybunał państwa Rzymsko-Niemieckiego, przeciw któremu traktat był głównie wymierzony. Dwa inne traktaty pirenejski i oliwski, uważać można za kommentarze traktatu westfalskiego. Były one tylko jego dopełnieniem, urządzały tę samą równowagę: pierwszy na południu, drugi na północy; jeden ze szkodą Hiszpanii, drugi ze szkodą Polski. Odosobniały Cesarstwo Niemieckie jako podstawę zaprowadzonéj równowagi.

Mocarstwa w traktacie westwalskim lubo nie występowały jeszcze zupełnie w imieniu owéj idei panstwa, jaką dziś widzimy, ale nie występowały już jako narody; inaczéj Francya nie mogłaby była stawać po stronie protestantyzmu. Alzacyę odstąpiono Francyi, Inflanty oddano póżniéj Szwecyi, rozdzielano kraje i odrywano prowincye bez względu na historyą, tradycye, język, pochodzenie, ale tylko według interesów politycznych wedle granic na papierze zakreślonych, względnego rozmiaru sił, zgoła według wymagań systematu równowagi.

Nadwerężona jedność Niemiec w konstytucyi Cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego, zniszczona odwieczna powaga polityczna dworu Rzymskiego w ścisłym z tą konstytucyą stojąca związku, osłabione mocarstwa katolickie Hiszpania i Polska, będące tej powagi filarami, a osłoną Cesarstwa od południa i północy, sprowadzić musiały nieuchronne za zobą następstwa. Psuła się coraz bardziéj równowaga, chwiała się głównie podstawa jéj z występującą coraz bezwzględniéj ideą państwa, z upadającą zasadą narodowości. *L'etat c'est moi*, wyrzekł był Ludwik XIV. Piotr wielki ogłaszał się głową kościoła, znosił Streliców i nowe budował państwo. Fryderyk II. w Niemczech drogo opłacić sobie kazał usiłowania cesarza Karola VI. aby utrzymać podstawę równowagi przez sankcyą pragmatyczną. W traktacie hubertsburgskim Europa nowy znalazła dowód, co znaczy siła w systemacie równowagi, a w kilkanaście lat późniéj pamiętne słowa Cesarzowéj Maryi Teresy stały się przepowiednią następstw, do jakich zasady inaugurowane traktatem westfalskim doprowadziły społeczność europejską.

Reformacya zaprzeczeniem wszelkiéj powagi w sferze duchownéj musiała w końcu wywołać zaprzeczenie wszelkiéj władzy w sferze cywilnéj. Równość bezwzględna, która pod firmą filozofii niszczyła wszelkie tradycye, prawa i powagi a korzyła się przed wznoszącą się coraz silniéj ideą państwa, zyskiwała tym sposobem coraz większe koncessye. Wystąpiła wreszcie otwarcie w rewolucyi francuzkiéj, oddała pod godło swoje, gilotynę, głowę najzacniejszego i najlepszego monarchy i okropną tą zbrodnią zapaliła długą wojnę w Europie, skutkiem któréj zmieniła się równowaga zaprowadzona traktatem westfalskim. Do niego się bowiem aż do téj chwili odwoływano, przygotowawczemi zaś traktatami do nastąpić mającéj zmiany był traktat lunewilski,

pokój w Amiens, traktat w Campo-Formio, preszburgski i inne aż do kongresu wiedeńskiego.

Zmiana ta była konieczną, systemat bowiem równowagi bez podstawy ostać się nie może. Podstawa dana przez traktat westfalski usunęła się zupełnie. Rzesza Niemiecka a raczéj dawny skład jéj w wojnach z Napoleonem nową przybrała formę. Prócz tego Cesarstwo Niemieckie nie mogło już pozostać jak przedtem w odosobnieniu, którego wymaga po podstawie systemat równowagi, zwłaszcza po zmianie stosunków ścisłych jakie go z Rzymem wiązały, a które dziś na nowo są zaprowadzone przez tak szczęśliwie zawarty Konkordat. Zresztą nowe mocarstwo na północy powstałe i utworzone na podstawie idei państwa, to jest Rossya; inne znów lubo nieco starsze w środku Europy na téj saméj oparte podstawie, to jest Prusy, nakoniec rewolucya żywioł silny a burzliwy, który się zdawał wcielony we Francyą, lubo nie będąc negacyą idei państwa, zagrażał jednak ciągle głównemu jéj warunkowi, to jest władzy — wszystko to wymagało nowéj równowagi sił politycznych w Europie. To też (w r. 1806) Cesarz Franciszek zrzekł się tytułu Cesarza Niemieckiego — późniéj zawiązało się przymierze Austryi, Prus i Rossyi — siły mocarstw skombinowały się w nowym porządku rzeczy w skutek upadku Napoleona — a równowagę ztąd wynikłą zapisano nowym traktatem na kongresie Wiedeńskim.

W traktacie westfalskim systemat równowagi polityczněj był raczéj domniemany niż wyraźny, pole bowiem na jakiém toczyły się obrady miało barwę więcéj religijną niż polityczną. W traktacie Wiedeńskim wystąpił on wybitniéj: zebranie lubo na wyłącznie Chrześciańskiéj stojące podstawie, było czysto politycznėm, i uznawało tolerancyę już nie jako koncessyą ale jako zasadę. Mocarstwa wyraźnie już występowały jako pań-

stwa a nie jako narody: gdy atoli traktat wiedeński w swych moralnych dążnościach skierowany był przeciw rewolucyi, zasada narodowości jako zachowawcza uzyskała pewne uwzględnienia. Zawarowano również pewne rękojmie konstytucyjne niektórym narodom jak np. Francyi. Była to koncessya — wówczas zdawała się konieczną. W konstytucyach pisanych i oktrojowanych przez władzę, miał być niejako sojusz między ideą państwa a ideą rewolucyjną, dwoma skrytemi czynnikami na kongresie Wiedeńskim. Francya, jako wyobrazicielka ducha rewolucyjnego, odosobniona, służyła za podstawę ułożonym w równowagę siłom państw europejskich pierwszego rzędu. Państwa pomniejsze ugrupowano stósownie do głównych wymagań tego systematu, okoliczności politycznych, wreszcie interesów materyalnych. Te jednak przyznać należy na zaletę dokonanego w Wiedniu dzieła, nie grały jeszcze zbyt przeważnéj roli w ówczesnych obradach i w prawie europejskiem z kongresu wiedeńskiego wypadłém, a którego kongresa w Weronie, Akwizgranie, w Münchengracu, były tylko dopełnieniem lub potwierdzeniem.

Zaczęto jednak niebawem używać i coraz więcéj używano sprężyny interesów materyalnych; zastępowano niemi czasem prawo, a pod nazwą cywilizacyi, postępu, ducha czasu, dążności XIX wieku, obracano je za narzędzie bądź do wzmocnienia idei państwa, bądź do stłumienia rewolucyi, która ustawnie podnosiła głowę. Używał ich Ludwik Filip, używała ich także rewolucya pod różnemi pozorami, a najczęściéj do rozbudzenia niebezpiecznych żądz dobrego bytu, namiętności, zawiści, nieukontentowania, do stawiania szkodliwych teoryj o równości i bezwzględnem na téj ziemi szczęściu.

Z innéj strony psuła się także równowaga zbytecznym wzrostem Rossyi, która już na kongresie Wiedeńskim zdaniem pierwszych dyplomatów księcia Metterni-

cha i Talleyranda nadto wielką uzyskala przewagę, a coraz silniejszém stanowiskiem zwłaszcza na Wschodzie, zdobywała traktaty, które lubo nieobalały równowagi w traktatach wiedeńskich zapisanéj, nadwerężały ją jednak bezsprzecznie.

Niemniéj i Francya, upokorzona w ostatnich wypadkach, dokładała wszelkich sił aby się wydobyć z odosobnienia, na jakie ją skazano dla utrzymania opartego na niéj gmachu równowagi. Sama przez się zbyt słaba, kusiła się o różne przymierza—ale daremnie. Dopomogła jéj w téj mierze mimowolnie rewolucya 1848 r., która następstwy swemi wykazała wątłość pisanych konstytucyj, owéj koncessyi przyznanéj rewolucyjnemu duchowi na kongresie wiedeńskiem i wzmocniła ideę państwa stawiając ją w całéj okazałości w saméj Francyi. Więcéj jeszcze a również mimowolnie dopomogła jéj Rossya, która wywołanym sporem skojarzyla przymierze francuzko-angielskie, a nieszczęśliwą wojną wyprowadziła Francyę z odosobnionego stanowiska tak dalece, że dziś nawet przypuściwszy zerwanie rzeczonego przymierza, cesarstwo francuzkie z pewnością o ile sądzić się godzi, na innego sprzymierzeńca liczyć już może. Zachwianą przeto podstawę równowagi europejskiéj przez rewolucyę 1848 r., usunął całkiem polityką swoją Napoleon III. Francya cesarska nie odpowiada już warunkom wymaganym od państwa, które ma służyć za podstawę systematowi równowagi politycznéj: nie jest odosobnioną, ani też potrzebuje ogólnéj opieki mocarstw dla swéj niepodległości.

Nie wchodząc zatem w inne szczegóły, aby za nadto nie zboczyć od głównego przedmiotu, mogłoby się z uwag powyższych zdawać że zadaniem konferencyj paryzkich jest układ równowagi europejskiéj na nowéj podstawie.

Jakoż, w rzeczy saméj zasiadają w nich pełnomocnicy wszystkich wielkich mocarstw, które wszystkie oświadczyły: że gdy równowaga europejska jest zagrożoną, celem ich przeto zawarcie traktatu, któryby takową przywrócił. Traktat pokoju więc tylko środkiem, a głównym celem systemat równowagi, nierównie jaśniéj orzeczony niż w traktacie westfalskim a nawet wiedeńskim. Nową jego podstawą ma być Turcya, przyjęta bowiem do składu państw europejskich dla tego, że istnienie jéj jako państwa, koniecznem jest dla równowagi europejskiéj. Tem samem już konferencye odbywają się, nie na polu wyłącznie Chrześciańskiem, jak to było w kongresie Wiedeńskim, ale na polu równości wyznań, uznanéj jako prawo i zasada w polityce. Daléj w wiadomym z roku zeszłego programacie, oraz w rękojmiach przyszłego pokoju, wszędzie przebija się jak najwybitniéj idea państwa; przy Księstwach tylko Naddunajskich wzmianka o swobodach narodowych i to ze względu na konieczności równowagi, w każdym bowiem razie prowincye te zostają w poddaństwie państwa Ottomańskiego. Interesa materyalne rzucone są na szalę punktu drugiego i trzeciego, a punkt piąty o tyle tylko oznaczony, iż zastrzega interesa europejskie. Punkt czwarty zawiera stronę cywilizacyjną, i odnosi się do równości praw wszystkich poddanych Turcyi pod względem religijnym i cywilnym. Według tego więc co wiadome, i służy za podstawę obradom, równowaga europejska oparta na państwie Ottomańskiem, przez reformy przeobrażonem a mającém przez wszystkie mocarstwa zaręczone polityczne istnienie, ułoży siły państwa odpowiednio do nowego położenia politycznego i wymagań interesów materyalnych.

Zadanie to zaprawdę nie małe, zwłaszcza ze względu na chwiejność podstawy i na to, że pewne koncessye uczynione równości w dawniejszych traktatach, zamienione są dzisiaj w prawo z góry uznane. Lecz jakkol-

wiek trudnem być może to zadanie, dokonać go winny konferencye paryzkie, jeżeli mają być, jak mówi pierwsza część horoskopu „nowym dla Europy kongresem.“

Poprzestać na traktacie pokoju mającym tylko wojnę ukończyć, byłoby więc za mało. Zresztą traktat podobny musiałby jak wszystkie inne od roku 1815, odnosić się do traktatu wiedeńskiego i być dalszym tylko jego ciągiem. Ze zmianą podstawy, zmiana równowagi zdaje się być nieuchronną, a chociażby nawet w granicach państw wszystko na dawnéj pozostało stopie, prawo publiczne zapisać winno nową równowagę polityczną. Że myśl takowa przewodniczy konferencyom paryzkim, wnosić wolno ze słów hr. Walewskiego, z polityki Cesarza Francuzów, z wezwania Prus do udziału w konferencyach, ze wzmocnienia wreszcie dynastyi przez narodzenie się księcia Napoleona Eugeniusza, dynastyi, która w traktatach dotąd obowiązujących jest pominiętą.

Gdyby więc traktat pokoju co chwila spodziewany, nieodpowiedział wyrażeniu „Nowego europejskiego kongresu“, gdyby tylko zaspokoił termin 31go marca zawieszeniem broni zakreślony: natedy zdaje się, że urządzenie stanowcze równowagi na nowéj podstawie będzie dziełem dalszem, i konferencye albo się przeciągną, albo zamienią w kongres, który dopiero ostatecznie orzecze.

Być może, iż zanim uwagi powyższe wyjdą na widok publiczny, postawiona alternatywa rozstrzygniętą zostanie. Warunki w jakich pismo niniejsze wychodzi, niepozwalają piszącemu korzystać z wiadomości jakie mu przynieść mogą ostatnie dziesięć dni bieżącego miesiąca.*) Jakkolwiek atoli rozwiąże się horoskop stawiony konferencyom paryzkim, zawsze jednak najważniejszem dla

---

*) Artykuł niniejszy musiał być oddany do druku 20go b. m. P. R.

nich pytaniem będzie: jak długo trwać może równowga dzisiejszemi sprowadzona wypadkami i w obecnych ułożona warunkach?.... Przyszłość dopiero osądzi, czy konferencye „były wielkiem dziełem.“ Od traktatu westfalskiego aż do traktatu wiedeńskiego upłynęło półtora wieku; od traktatu wiedeńskiego do konferencyj paryzkich nie wyszło ani pół wieku. Trwałość równowagi na Turcyi opartéj, niemniejszem jest zadaniem, jak wprowadzenie w życie hattihumajona sułtańskiego z 18go lutego, uprawniającego rajasów, a który téj trwałości ma być miarą.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w marcu.

Już to miałem ja słuszność mówiąc w styczniowym *Dodatku*, że z Krakowa o Krakowie pisać, rzecz nie łatwa. Każde słowo biorą tu zaraz na tortury i każą mu się przyznawać, kogo miało na myśli, do kogo się stosowało. Dość powiedzieć że po rynku krakowskim przeszedł jakiś jegomość z długim nosem, a zaręczam, że pół Krakowa chwyci się za nos i przypadnie do zwierciadła chcąc się przekonać, czy ma istotnie nos niezwykłéj długości. Kraków nieposiada ludzi oryginalnych, którychby kilku pociągami pióra odrysował, wybitnych charakterów, żeby je kilku zdefiniować słowami. Wszyscy mniéj więcej do jednego liczący się społeczeństwa mają nietylko powierzchowność podług jednego żurnala mód skrojoną, ale i umysłową stroną niewiele się między sobą różnią, a przynajmniéj różnica ta jest więcéj przypadkowa i podrzędna, niż żeby jakiejś oryginalności była znamieniem. W pewnych mniéj więcéj ściśle odkrojonych kółkach towarzyskich jesteśmy tak do siebie podobni, że nie czujemy nawet potrzeby wymieniania nawzajem swych myśli, wiedząc zawczasu, że się niczego niedowiemy, czegobyśmy już nie wiedzieli. Ztąd pochodzi ów brak życia i rozmaitości w zebraniach, brak dowcipu i świeżości w rozmowach. Prosiemy o o-

ryginalność, choćby dziwactwem ją okrzyczano, o nową myśl, choćby miała być niespodzianką.

A przecież zarzucają mi portretowanie. Uchowaj Boże! gdzież tu szukać odrębnych rysów? typy, bo są tak jak wszędzie, a szczególnie ów typ krakowski na pół stółeczny a na pół miasteczkowy: dziwna mieszanina Paryża i Słomnik, wielkości dążeń a małości środków, rozrzutności i sknerstwa, pychy i pokory, bogactwa i długów. A chcąc to wszystko przedstawić, niema potrzeby wracać do zamglonych podań o pierścieniu gygesowym i pod obroną jego wkradać się niewidzialnie do tajników domowych, albo wzywać pomocy lessażowego djabła kulawego.

Dosyć wyjść na miasto i przypatrzyć się ludziom po wierzchu. Wyszedłem więc. A chodząc w tę i ową stronę kłaniałem się w lewo i prawo, ręką i kapeluszem wszystkim znajomym, zawsze tu bowiem jedne i te same spotyka się twarze. Za powtórnem zetknięciem się z niemi wita się je nie już kapeluszem, lecz tylko wdzięcznym uśmiechem; przy trzeciem skrzyżowaniu zaledwie oczami, a następnie zachowuje się minę tak poważną, jak gdyby się przechodziło koło osoby, w oczach której pragnie się wysokie o sobie wzbudzić rozumienie. W ogóle, w ukłonach czy to kapeluszem czy ręką, wielka zachodzi różnica. Zbadanie tej różnicy i stopniowe zastosowanie ukłonów i powitań należy do wielkich tajemnic życia, których w żadnym *Komplimentirbuchu* nie znajdzie, a których nabycie wymaga niemałej wprawy i dokładnej znajomości stosunków hierarchicznych w społeczeństwie.

„Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
„I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.“

Kto kłaniając się, zawsze jeden i ten sam łuk kapeluszem jakby machinalnie zakreśla, a przytem jednostajnie wykrzywia usta do uprzejmego uśmiechu, jest człowiekiem arcyniebezpiecznym. Takiego nigdy nie zbadasz co do usposobienia jego dla osoby witanej. Przychylność, obojętność, niechęć, wszystko się u niego pod jedną i tą samą objawia formą. To wolę ja już ten ukłon, że go tak nazwę hipokondryczny, któremu z trudnością przychodzi podnieść rękę do kapelusza. Niemiłe

także sprawia na mnie wrażenie, kiedy kto kłaniając się, chwyta za kapelusz z boku; także przykrym mi jest ukłon suchy, któremu nie wtóruje przyjazny ruch głowy. Kiedy ujrzę witających się, dość mi, aby z tego poznać stosunek, w jakim do siebie zostają: jakkolwiek forma powitania zawisła nietylko od tego stosunku, ale i od osobistego charakteru, temperamentu, zawodu życia, budowy ciała i mnóstwa innych okoliczności. Przedmiot ten nastręcza bardzo przystępne studya do zbadania ludzi, zwłaszcza kiedy obserwacye tak łatwe jak na rynku w Krakowie, który tworzy *circulus vitiosus* życia ulicznego. Proszę naprzykład przypatrzyć się temu panu, z jaką on kłania się umiejętnością. Jednemu kiwnie głową po przyjacielsku; innemu tém samém na pozór kiwnięciem, a w istocie tak odmiennem, daje poznać lekceważenie swoje; przed tym uchyli kapelusz z uprzejmością; przed innym którego chce pokaźnie uczcić, kłania się zamaszysto, niekiedy w tym ukłonie jego leży prawdziwe uszanowanie, to znowu ironia. Ruchowi kapelusza odpowiada w potrzebie ruch oczu, twarzy i całego ciała. W spotkaniu jego z kobietą, dokładnie rozpoznać można całą rozległość stosunków, jakie wzajem łączą ich z sobą, choćby ten ukłon jak najbardziéj był zamaskowany. Niekiedy ukłon oddany kobiecie staje się prawdziwą dla niéj obelgą, którą tém trudniéj zmazać, iż przybraną jest we wszystkie pozory przyzwoitości. Mówię tu tylko o ukłonach, inne bowiem formy powitania wyszły całkiem z użycia. Jeżeli się téż przypadkiem dopatrzy gdzie dwóch całujących się z sobą mężczyzn, to można być pewnym, że to jakie wsiowe rarogi co się chyba zabłąkały do miasta. Uścisk ten, którym téż dawniéj tak szafowano, powinien się ukryć na dnie skarbcu prawdziwych uczuć i tylko w rzadkich chwilach rzewności dobyć go wolno.

Ukłony między sobą kobiet są oczywiście cale odmienne. W ogóle, kobiety spotkawszy się, rzadko kiedy wyminą się, lecz zaraz stawają ze sobą, jak gdyby zawsze miały sobie coś ważnego do powiedzenia. Dygi i całusy na powietrzu, ciągle jeszcze we zwyczaju; w klassach zaś niższych nie obejdzie się bez głośnego raz, drugi i trzeci cmoknięcia. Chłop nie kłania się już jak dawniéj do kolan, chyba kiedy dobrze pod-

piły, to obejmuje za nogi jeden drugiego i całuje po rękach.

Pomimo tej wprawy do kłaniania się, jakiéj szczególnie w Krakowie nabyć można, trudno niezmiernie o ukłon poważny, w którymby się łączyło uczucie własnéj godności z oddaniem poważania osobie witanéj. Ale pochodzi to właśnie ze zbytku kłaniania się, przez co stracono miarę, a znaczenie ukłonu pójdzie w poniewierkę. Z czasem przyjdzie z ukłonami do tego, co i z powinszowaniami na Nowy-Rok. Dawszy reński na ubogich, kupuje się bilet i przybija się na drzwiach, a tym sposobem obejść się można i od składania i od przyjmowania szczerych i nieszczerych życzeń. Toż samo będzie i z kapeluszami. Kapelusz opatrzony taką kartą swobody zatkniętą za tasiemkę, uchroni od prawdziwych i fałszywych hołdów. Projekt ten postanowiłem tem więcéj popierać, że się narażam dość często na *qui pro quo* zwłaszcza względem płci pięknéj, a to dla dwóch przyczyn. Pierwszą przyczyną, że przez te czarne, brunatne, szafirowe i jeśli się nie mylę czerwone nawet zasłony trudno najzuchwalszem przebić sie okiem. Nie wiem, czyto wpływ sprawy wschodniéj, ale że ta moda wschodnia noszenia zasłon tak się u nas zagęściła, iż niezadługo odchylenie zasłony przyjdzie uważać za wróżbę najwyższych względów. Drugą przyczyną moich częstych pomyłek jest krótki wzrok.

— I ty chcesz pisać o wystawie? — zagabał mię jeden z moich znajomych, który mię właśnie zdybał na fatalnéj omyłce ukłonowéj i z razu sądził, że ja się z moralności publicznéj najgrawam. — I ty chcesz pisać o wystawie, ty który nie umiesz odróżnić co płeć piękna, a co jedynie piękna płeć?

— A i cóż to szkodzi — odrzekłem — gdybym miał wzrok bystry, możeby się użalano, żem zbyt surowy w sądzie, gdy tymczasem kiedy stanę przed obrazem, to w oczach moich łagodnieją szczegóły któreby może raziły, zlewają się one w jedną harmonijną całość, wszystkie niedostatki nikną we mgle bladéj powłoki, wyobraźnia zapełnia braki, a obraz nabywa takiéj zgody między pomysłem a wykonaniem, jaką tylko wymarzyć sobie można. Gdyby we Lwowie wiedziano, że ja o wystawie pisać będę a nie ów zeszłoroczny krytyk w *Cza-*

sie, który jednemu fałszywemu pociągowi pędzla nie przebaczył, możeby się tameczni artyści nie zamknęli w domowéj sławie swojéj i przysłali na wystawę krakowską owoce całorocznéj pracy swojéj. Mentor mój co mi w przeszłym miesiącu na wystawie był okiem, opuścił mię zdradziecko, żeby mię wystawić na zawód; muszę więc ratować się jak można i zamiast obszernego artystycznego rozbioru, zamiast krytycznego poglądu, natrącę o tém i owém, nie to co mi katalogowa poda koléj, lecz co utkwiło w pamięci. Mógłbym trzymając się téj pobieżnéj drogi wzmianek, dwoma po niéj na wybór iść ścieżkami: albo natworzyć tyle geniuszów iżby świat długo po mnie i po nich wypoczywać był zmuszony, a przytém zyskać sobie przyjaciół w artystach, albo przeciwnie, zdeptawszy wszystkie zdolności, wydrwiwszy wszystką pracę i wszystkie usiłowania, potępiwszy nielitościwie najdrobniejszy usterek, nadąć się w powagę głębokiego i surowego krytyka. Jedno i drugie nie tak trudne ani wymagające tak wielkiéj znajomości rzeczy, jak to sobie ludzie niepiśmienni wyobrażają. Są na to pewne już utarte okresy, wyrażenia gotowe, przymiotniki ułożone słownikowym sposobem. Kilku takiemi wyrazami lapidarnym stylem powiedzianemi, przegrodziwszy je pauzami, wykrzyknikami, znakami pytania, można wynieść pod niebiosy lada babracza lub bez litości strącić ze skały tarpejskiéj prawdziwego artystę.

Wystawa tegoroczna stokilkadziesiąt mieści w sobie obrazów bądź olejnych bądź akwarel. O niektórych wspomnę. Z historycznych położyłbym na pierwszém miejscu bitwę pod Sedimanem w Egipcie przez Langlois, obraz wielki, na którym malarz bitew mógłby przez wiele lat robić studia. Żeby go nawet pociąć na sztuki, to każda z nich tworzyłaby jeszcze sama przez się obrazek: tyle tam bogactwa kompozycyi, tyle materyału. Koloryt całego obrazu miejscowy, żółty, nieba dużo, znać że nic nie przerywa horyzontu, bo bitwa na pustyni. — Męczeństwo ś. Stanisława, Knorra z Düsseldorfu, wykonane pracowicie jak tego wymaga szkoła z któréj artysta wyszedł, jedną ma tylko tę wadę, że dwie główne figury ś. Stanisław i Bolesław Śmiały tak od siebie w perspektywie odległe, iż nie dają się zlać w jedną całość kompozycyi. S. Stanisław na ostatnim prawie umieszczo-

ny planie nazbyt jest wykończony i dla tego więcéj się zbliża niż obliczenie rozmiarów perspektywy dozwala, a wszelako wykończonym być musiał, bo jest główną osobą w tym krwawym dramacie. Mimo tego obraz ten w szczegółach swoich jest bardzo piękny i cieszymy się, że jak słychać zamiarem jest kilku osób zakupić go i ofiarować do jednego z kościołów tutejszych. — Królowa Estera, Waltera z Drezna, ma także kilku amatorów. Kompozycya to prosta a jednak wymowna. Z Lessera Szarki wziąłbym przedewszystkiém tę rękę co róg trzyma. Ręka to prześlicznie wykonana w trudném skróceniu. Krzywousty tegoż artysty odpowiada temu co opiewał Niemcewicz: „Jeszcze Bolesław był małém dziecięciem, już czuł w sobie żądzę sławy“. Z tego obrazu wieje jakieś zimno, którego sobie wytłumaczyć nie umiem. Miejscowość z byzantyńskim podcieniem niedozwala domyślać się, co i gdzie się dzieje. — Ugolino Boratyńskiego obraz sepią a nie karton jak w katalogu napisano. Obraz to skończony; kompozycya olbrzymia, pełno tam ruchu i akcyi jak w poemacie który dał do obrazu temat. Można z niego nauczyć się rozumieć Dantęgo „Komedyę“ i Macchiavella „Historyę florencką“. W Żakach Gersona z Warszawy także wiele życia; widoczna zdolność do kompozycyi, postawy naturalne, ale historycznie nie dość wierne. Żaki co wyszły do Niemiec za Zygmunta, to nie dzieciaki, ale młódź szlachecka pod wąsem, co ze strażą marszałkowską wiedzie bój po ulicach i „nowinkami“ Lutra przesiąkła. Z obrazów tak zwanych rodzajowych Włoszka śpiąca Schönherra z Drezna przypomina układem i wykonaniem wzory na których artysta się kształcił, a to wiernie aż do wad pejzażu. Piotra Müllera Dziewczyna przy oknie, piękny obrazek, prosty a rzewny, prześlicznie oświecony; przeszedł on już w prywatne ręce. — Król Dawid grający na harfie, Simlera z Warszawy, pomimo pięknego pędzla, wygląda raczéj na minstrela.

Z krajobrazów pierwsze miejsce zajmują prace Dębowskiego krakowianina, tudzież jedna akwarela Boratyńskiego. Zwraca także uwagę widok Utrechtu Mayerheimera, nabyty już na własność prywatną.

W liczbie portretów celują Winterhaltera, Kaniewskiego i Simmlera z olejnych, tudzież akwarela Tepy przed-

stawiająca troje dzieci, a która tworzy obraz już rodzajowy. P. Tepa dowiódł co można dokazać wodnemi farbami, bo doprowadzić je niemal do mocy olejnych. O portrecie Winterhaltera na tegorocznéj wystawie powiem tylko, że to wzór portretów; stawiam go wyżéj aniżeli zeszłoroczny portret téj saméj damy przez tegoż samego artystę przedstawionéj w ubiorze wschodnim. Przywoławszy rok przeszły na pamięć, wolno mi przypomnieć także portret téj saméj damy pędzla Ammerlinga, który lubo mniéj podobny, ale wyższy pod względem artystycznym.— Między Kaniewskim a Simlerem prawdziwe na wystawie współzawodnictwo. Spotkali się oni z sobą nawet w przedmiocie — w Deotymie, z tą jednak różnicą, że Deotyma Simlera jest obrazem, a Kaniewskiego portretem. Jako portret lepsza druga; jako zadanie dla artysty, pierwsza ma wyższość, pominąwszy że układ w apoteozę wpada. Wolno mu było to uczynić w przypuszczeniu przyszłości, bo jego Deotyma znacznie od wzoru starszą. P. Kaniewski dał między innemi swój także portret, wielce wykończony i z portretów jego tu nadesłanych najlepszy; między portretami p. Simlera odznacza się Dr. Tripplin. Znakomite także zajmuje tu miejsce portret botanika Jundziłła pędzla Moraczyńskiego z Wilna. Nie miałem ja tu zamiaru zdawać szczegółowo sprawy z wystawy obrazów, ani na to właściwe miejsce i forma kronikarskiéj gadaniny, ani mój skromny zawód pozwala. Będzie z resztą zapewne na inném miejscu o tém mowa jak należy i przez kogo należy; krótka téż ta wzmianka nie ma pretensyi do poważnego tytułu krytyki — a przeto wolno mi było wiele pominąć bez ubliżenia prawdziwym zdolnościom i zasłudze, wolno to i owo podnieść a drugie zbyć byle czém, bez przybrania pozoru wyroku orzekającego w ostatniéj instancyi. W ogóle wszakże wrażenie całéj wystawy jest bardzo przyjazne, a lubo nie masz tam dzieł któreby artystyczną wielkością podziw wzbudzały, to z drugiéj strony, prawie nie masz wcale takich utworów, coby mówiąc językiem szkolnym, bardzo stósownym w gmachu gdzie „szkoła główna“ — piecem się tylko na wystawę dostały.

Sale wystawy pełne bywają publiczności wszelakiéj płci, wieku i stanu, w niedzielę jest nawet ścisk przed obrazami większéj wartości, a przecież nie zdarzyło się żeby

kto palcem dotknął obrazu, lubo gdzieindziéj rzecz nierzadka, iż obraz uszkodzono przez lekceważenie. Jest u nas dla sztuki pewne uszanowanie, cześć nawet, którą kto wie czy nie przelały w nas pomniki religijne i historyczne jakich kościoły nasze pełne. Miasto nasze przytem stosunkowo liczną ma klassę téj publiczności, która wyższego potrzebuje zajęcia. Dyrekcyi teatru nie należy tego spuszczać z uwagi. Koziołki, skoczki i konie niepowinny zamieniać na arenę tych miejsc, które jak pewien estetyk niemiecki powiedział: „są deskami świat znaczącemi.“

Żałować wielce przychodzi, że pani Aszpergerowa opuściła scenę naszą, któréj tak wielką była ozdobą. Czyż dwie artystki tak znakomite jak ona i panna Kotowska nie mogłyby się pomieścić obok siebie w tak małym zakresie jak scena krakowska? Jeżeli pobyt p. Aszpergerowéj zapełniał wszystkie miejsca od lóż aż do galeryi, to chyba się lękano, aby z niemi dwoma razem nie załamały się piętra sali widzów. Któż będzie Elżbietą gdyby jedna z nich miała być Maryą Stuart? kto Eleonorą, jeźli jedna Małgorzatą? O aktorów dobrych łatwiéj już u nas, bo mężczyźnie prędzéj jakoś uda się zaglądać choćby przez okno w świat i społeczeństwo, ale aktorka żyje najczęściéj po za kołem tego towarzystwa, w którem naśladowniczo tak znakomite zajmować jéj przychodzi miejsce, że chyba instynktem wrodzonym kobiecie, odgadnie życie wielkiego świata. Kiedy się więc zdarzy taki feniks, to go choćby na złotéj nici uwiązać należy. Widzieliśmy tu i pana Miłaszewskiego, który miłe po sobie zostawił wspomnienie, a i onby nie pomału zbogacił szczupłe personale naszego teatru. Aż żal bierze wypuszczać z rąk, co nie znajdzie na zawołanie. Zamiast dobrych aktorów sprowadzono Miss Ellę. Ale minęła już i u nas krótka epoka pepitowego zachwytu. Trąba sławy i zapał dżokejskiéj młodzieży za granicą, które ją poprzedziły, nie obciążyły kieszeni przedsiębiorców. Miss Ella zręczny to i lekki skoczek, ale wolę ja piękną maneżową szkołę, niż rzuty przez papierowe przetaki. Niedawno temu zwinny młynarczyk próbował przeskoczyć przez gołe żebra skrzydła wiatrakowego w ruchu będące. Raz mu się powiodło, drugi raz przypłacił szaleństwo życiem. Jestem pewny że Miss

Ella do trzeciego razu dokazałaby téj sztuki; jest to najwyższa pochwała jaką jéj dać mogę, ale też cała jéj wielkość polega na téj gimnastycznéj sławie.

I otóż cały cyklus tegomiesięcznych zajęć naszych. Wszelako panie nasze mają wielkie jeszcze do spełnienia zadanie, którego rozwiązanie jutro przypada. Jest to wystawa nie obrazów, nie dramatycznych i akrobatycznych ćwiczeń, ale wystawa szynek, bab, placków i wszelakich przyrządów wielkanocnych; w następnéj kronice powiem jak się z tego zadania wywiązały i czy oklaski były słusznem uczczeniem talentu, czy też jedynie demonstracyą zgłodniałych długim postem klakierów.

Lwów w marcu.

Niemały to kłopot pisać list korespondencki ze stolicy, która prócz imienia, żadnych niema istotnych warunków, coby imię to mogły usprawiedliwić. Kto czyta listy do was pisane z Rzymu, Wiednia, Paryża, Drezna, temu zapewne nasunie się uwaga, że Lwów w swoich obrazkach listowych ma coś z przyrody zaściankowéj, gdzie każda pora roku, każda doba kalendarzowa jakieś osobne wyciska znamie.

Nie jesteśmy bogaci ani w rozległy przemysł, ani w świetne pomniki sztuki, ani nawet w ów rzymski *nervus rerum gerendarum*. Wielkie, rozmaite, ciekawe, lub oryginalne sceny życia są u nas *articles du luxe*. Znamy je tylko z pogłosek i z książek; wyjąwszy tu i owdzie tę oryginalność, która w polskim języku ma jeszcze inną nazwę, a któréj i w Paryżu nie brak. Ztąd też życie u nas i ruch umysłowy idzie po największéj części bitym gościńcem chleba powszedniego. Dodajcie do tego *Wielki Post* i panujący powszechnie katar, i macie korespondenta w kłopocie.

Wielki Post — właśnie kończyłem to słowo, kiedy służący wchodzi, i zapowiada: „Damy kwestujące na ubogich“. — „Prosić“ odrzekłem i wraz za kluczyk, by przygotować co należy. Wtém wchodzą damy. Po przywitaniu i prośbie, by spoczęły na chwilę, nastąpiła jakaś rozmowa i jakiś datek do worka noszonego po

wszystkich piętrach i piąterkach, nakoniec uprzejme pożegnanie. Rozumiałem że sprawa kwesty wszędzie się tak krótko załatwia; tymczasem dowiaduję się z boku, że rzecz wcale się ma inaczéj, i nie mogę przenieść, bym Wam choć parę ustępów, jako charakterystykę naszéj miejscowéj dobroczynności nieprzytoczył. —

Dzwonią, drzwi na pierwsze piętro otwierają się.

— Czy Państwo w domu?

— Pan wyjechał, wyszedł, w kasynie, w biórze, lub tym podobne synonima.

— A Pani jest?

— Pani w kościele, słaba, nieprzyjmuje, dziś na wizycie, lub podobne synonima.

— A któż mieszka na drugiém piętrze?

— Państwo NN. lub Pan N.

Drzwi zamykają się. Dzwonią na drugie piętro.

— Czy państwo w domu?

— A co Panie chcą? — zapyta kucharka, zwykła odźwierna.

— Proszę nas zaprowadzić do Państwa.

— A, to po kweście! niema po co; Państwo wyszli podobno, ot czego jeszcze nie stało! po kweście, nie ma pana, tylko pani, i t. d. Kto zna elokwencyę kuchenną, niechaj resztę w myśli dopełni. Smakuje ona pewnie, jak pieprz z musztardą. Elokwencyę słychać zapewne było do pokojów Pani. Kwestujące obeszły wszystkie pokoje; pani domu wdziała zapewne ów znany pierścień Oberona, o którym nasz tłumacz poeta mówi, że kto go posiada:

„Nawet w duchów obliczu, w ciemność się ubierze.“

— A któż mieszka na drugiéj stronie?

— Tam, tam na drugiéj stronie, to nasi sąsiedzi Państwo N. — i zatrzasnęła drzwi, aż ledwie się dzwonek nie urwał.

Dzwonią na drugą stronę; drzwi się otwierają — Nie ma tatka w domu — ozwała sie mała dziewczynka.

— A mama jest?

— Jest.

— Prowadź nas do mamy. — Otwierają się drzwi drugie.

— A, państwo zapewnie po kweście — Mego męża nie ma w domu — teraz ciężkie czasy! Niech Pan Bóg opatrzy; — i ukłoniwszy się w sposób pożegnawczy, puściła się do drugiego pokoju.

Jedna z śmielszych dam kwestujących ośmieliła się podnieść głos; bo to powiadają, że w takich razach i dla takich celów trzeba nawet odwagi, choć nie koniecznie téj, jaką miał zacny ksiądz Bodouin.

— My przyjmiemy najmniejszy datek, wszak to na ubogich.

— Kto tam wie — odezwie się wracająca gospodyni domu — na jakich ubogich. Państwo jesteście bogatsi, macie za co bale dawać na ubogich i stroić się, to dawajcie także na kwestę. Tu rozpoczęła się długa z tego tonu piosenka, o któréj dość powiedzieć że:

Ani ją anioł muzyki w niebiosach,
Ni czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa...

— Jakto — zapytałem kogoś z kwestujących — czy takie sceny często się zdarzają?

— Na szczęście dość rzadko, bo przecież wraca się mniéj więcéj z workiem wypchanym, ale trzeba wszystko przyjąć.

Pojąłem tedy sprawę kwesty u nas. Znaczy ona uzbroić się w cierpliwość chrześciańską, a przynajmniéj w gotowość na różne praktyki: kwaśne powitania, wymówki, przycinki. Choć je nie zawsze usłyszysz, to przynajmniéj dzwonisz i otwierasz drzwi z niebłogiem uczuciem. Cóż dopiero siedzieć dzień cały w kościele, kłapać tacą i kłaniać się za krajcar? —

W zakładzie Ossolińskich, jak to już donosiłem, drukuje się Stanisława Żółkiewskiego Hetmana, *Wojna Moskiewska*, przez niego samego opisana. Tekst jéj dobierany jest jak najstaranniéj z kilku rękopismów, a u dołu wskazana ich różnica. Dzieło to wzorowe w swoim rodzaju, poważnym, prostym a jasnym wykładem niektóre dzieła starożytnych, jak Anabazę Xenofonta, lub wyprawy Cezara przypominające, uzupełnione będzie listami i innemi pismami Żółkiewskiego, z oryginałów lub odpisów spółczesnych zebranemi. Właśnie w tych dniach

otrzymano ku temu celowi ciekawy, a nieznany dotąd list jeden w oryginale od osoby prywatnéj. Hr. Tytus Działyński nadesłał spis najdokładniejszy wielkiéj korony moskiewskiéj, ze skarbca cesarskiego zabranéj, i innych niektórych kosztowności. Oryginał tego opisu, którego kopię wierzytelną z podobiznami pieczęci hr. Działyński udzielił, opatrzony własnorecznemi podpisami osób znakomitych, które miały udział w owéj wyprawie, znajduje się z wielu innemi pomnikami cennemi w bibliotece jego w Kurniku.

Dowiadujemy się przy téj sposobności, że w Poznaniu zamyślają tamtejsi uczeni wydawać znakomitsze zabytki dziejów polskich oryginalnie w języku ojczystym pisane, i na ten cel udzielił im pomieniony hr. Tytus Działyński z swojéj Kurnickiéj biblioteki wielkiéj wagi rękopism Koniecpolskiego zawierający „Roczniki dziejów polskich" dotąd zgoła nieznane. Autor tego rękopismu będzie jak się zdaje ów Zygmunt Stefan Koniecpolski, sędzia Sieradzki i starosta Będziński, którego dzieło „Zwierciadło dzieł rocznych w Rzeczypospolitéj polskiéj i Wielkiém Księstwie Litewskiém", dzieje Polski od roku 550 do 1647 obejmujące, przytacza między innemi zaginionemi Michał Wiszniewski (Hist. Lit. I. 73.).

Nowy projekt administracyi teatralnéj, podany przez hr. Russockiego, znajduje tu powszechne prawie uznanie. Na czele ma stać towarzystwo obywateli z wniesionym przez tychże kapitałem z akcyj złożonym, jak o tém obszerniéj korespondent *Czasu* podał wiadomość. Zdaje się, że ten byłby jedyny może sposób pogodzenia różnorodnych interesów i wymagań czasowych z sobą; bo tylko wtedy możnaby słusznie przypuścić, że to co się dla sceny czyni, jest jedyném możliwém w danych okolicznościach, i przy kapitale znacznym, na ten cel łożonym. Uboczne osobiste interesa i ścierania się tychże, musiałyby umilknąć, gdzie dla podniesienia sceny powstają siły dążące ku dobru téj sceny, nie ku zyskom chwilowym.

Drezno w marcu.

Radbym wam dać obraz tutejszego towarzystwa polskiego, ale niewiem, czy go znajdziecie interesującym; jestem bowiem w położeniu malarza, który niema nic innego do wystawienia na widok publiczny, jak drzewo bez liści lub skielet bez ciała. Domy tutejsze polskie, acz podobno liczniejsze w tym roku niż w zeszłym, tém się różnią od wszelkich innych i w kraju i za krajem, że są niekompletne, brakuje im zupełnie towarzystwa męzkiego. Napomknąłem już o tém w jednym z dawniejszych listów wskazując rzeczywistą przyczynę. Od czasu jak drogi żelazne otworzyły szerszy swiat peregrynacyom płci męzkiéj, Drezno zamieniło się w kolonię amazonek. Proceder naszych panów jest zwykle następujący. Jegomość Dobrodziéj ma dorastające córeczki, trzeba je niezadługo ogłosić pannami na wydaniu i powlec pokostem skończonéj edukacyi. W kraju i drogo i trudno; każe więc zaprzęgać fornalki, ładuje na wozy miliony kufrów, pędzi z całą domową drużyną do najbliższéj stacyi kolei żelaznéj i we dwie lub trzy doby staje w Dreznie. Tu najmuje żonce mieszkanie z meblami, umawia służących i professorów, zakreśla budżet przychodów wydatków, i urządziwszy jéj gniazdeczko, sam rusza w dalsze strony po sprawunki nieuchronnie potrzebne gospodarstwu np. po nasionka do Holandyi, po drenaże do Francyi, po buchaja do Szwajcaryi, a kiedy tak krąży po świecie, żonka tymczasem wegetuje na tutejszym partykularzu. Wyjątki od tego procederu bywają bardzo rzadkie, chyba w takich stadłach, gdzie Jegomość Dobrodziéj ma tylko głos doradczy a Jejmość stanowczy, i gdzie ta ostatnia potrafi mu dowieść, jak nieprzyzwoitą jest rzeczą dzielić się na dwa gospodarstwa lub przyzwyczajać do zbyt długich rozłączeń. Urlopy w małżeństwach acz z początku bardzo niewinne, prowadzą za sobą częstokroć, wcale niemiłe konsekwencye: *l'occasion fait le larron.*

Towarzystwo więc tutejsze, ogranicza się prawie całkowicie do wdów, sierot i opuszczonych małżonek. Wierzyłem, wierzę i wierzyć będę, że kobiety są kwiatem naszego życia, ozdobą naszych społeczeństw; niepopeł-

nię więc bluźnierstwa, jeśli się odważę powiedzieć, że koła niewieście bez mężczyzn tracą połowę swego uroku. Tak chciało prawo natury. Jak każda rzecz na świecie, tak i płeć piękna daleko świetniéj odbija przy brzydkiéj. Dom bez mężczyzny, choćby zamykał w sobie same boginie, nosi zawsze na sobie charakter jakiejś samotności klasztornéj; panuje w nim pospolicie jakiś mimowolny rozgardyasz (proszę to brać w sensie najniewinniejszym), jakaś poetyczna niepamięć na materyalne warunki gościnności. Dla mężczyzny, którego nie zagrzewa jaki wyjątkowy bodziec przyjaźni lub gorętszego stosunku, rodzą się ztąd tysiące niedogodności. Zaproszą cię na obiad? dadzą ci wino najhaniebniejsze; pani na winie się nie zna, panienki nie pijają, wydział piwniczny zależy od gustu kucharki, która chodzi po wino jak po pieprz, po imbier, po oliwę lub po ocet; cóż dziwnego że ten ostatni artykuł przechrzci przez pomyłkę inném imieniem? Nie dość na tém: każą ci przyjść o godzinie czwartéj, a nie zastawią jak o szóstéj. Przez ten czas czekaj samotnie w salonie, baw się czem chcesz, przerzucaj romans na stoliku, oglądaj bukiet na krosnach, lub jakie imieninowe malowidło na ścianie, a jeśli ci się przykrzy, to rozmyślaj nad marnościami tego świata. Po dwugodzinnych nudach, przyjdzie nareszcie gospodyni domu, rozbroi cię uprzejmemi przeprosinami, zwali wszystko na nienakręcone zegary, każe dać do stołu, zasiędziesz — czy myślisz że na tém koniec? trzy miejsca pozostaną próżne, młodsza część domu kończy toalety, guwernantka jako najpilniejsza nadchodzi przy sztuce mięsa, jéj wychowanki przy pieczystem, poskubią kapłona, podzióbią galarety i już po biesiadzie. Powiecie może że to nic; radzę wam tylko raz doświadczyć, jak to attakuje nerwy widok trzech miejsc próżnych przy stole! Zrobicie może uwagę że nie warto tyle przywięzywać wagi do podobnych drobnostek, że grzecznemu mężczyznie wynagrodzić wszystko powinien wdzięk konwersacyi; prawda, ale jakże to rzadka podobna indemnizacya! a nerwy co cierpią to cierpią. — Idźmy daléj. Zaproszą cię na wieczór, na herbatę tańcującą lub nietańcującą, tam znowu inne czekają cię tortury. W kilka tygodni po mojém przybyciu byłem u pani Z. z którą mnie łączy dalekie po-

krewieństwo i przypatrzyłem się jéj domowi i w dzień i w nocy. Trzeba naprzód wiedzieć, że niedostałem się do niéj, jak po trzech nadaremnych szturmach: raz miała migrenę, drugi raz córeczki brały lekcyą, trzeci raz nie było jéj w domu. Zdjęta nareszcie litością, napisała do mnie grzeczny bilecik, dając mi *rendez-vous* na godzinę 12tą. Naregulowałem zegarek i stawiłem się punkt o południu. Dzwonię, ocieram nogi o słomiankę, otwiera mi drzwi garderobiana, dawna moja znajoma.

— Witam panno Anastazyo! — rzekłem do niéj uprzejmie — nie widzieliśmy się kopę lat.

— Tak jest, proszę pana.

— Czy pani jest w domu?

— Nie masz proszę pana, ale prosiła, żebyś pan minutkę zaczekał. Zapomniała wczoraj że to dziś święto kościelne i poszła na mszę. Tylko co jéj niewidać.

— Kiedy tak to będę miał przyjemność pogawędzić trochę z panną Anastazyą; o zdrowie nie pytam, ciałka przybyło, usteczka rumiane?

— Pan sobie żartuje — odrzekła spuszczając oczy.

— Jakże się powodzi za granicą?

— Ot tak... odpowiedziała z westchnieniem — niech tam Bóg nie pamięta temu, co wynalazł tę zagranicę.

— Zkądże ta niełaska?

— A cóż mi tu za zabawa, proszę pana? nikogo nie znam, u nikogo nie bywam, nikogo nie rozumiem, bo te niby mądre cudzoziemcy, nie znają innego języka tylko swój własny. Byłam ja z państwem i w Paryżu i w Berlinie i w Wiedniu, a wszędzie toż samo. Jeśli wyjdę na ulicę, cóż zobaczę? dom przy domie i nic więcéj. Gdzie się obrócę, w bok mnie szturchną a nawet nie przeproszą. A jaki gwar, jaki ścisk, jaka ciżba! osobliwie kiedy błoto. U nas na wsi kiedy błoto, to przynajmniéj położą kładkę od pałacu do oficyny. Patrz Nastusiu, mówi mi nieraz moja pani, jak te niemki po błocie chodzą, ani plamki na pończosze. Tak jest, odpowiadam, ale też jak się uginają, aż pfe! Czyż to nie lepiéj w domu siedzieć? Niechże pan teraz osądzi, co mi tu za uciecha. Zrana jeszcze jak zrana, ubieram panią, prasuję kołnierzyki, układam bieliznę, ale po obiedzie to tylko siedź i płacz. Wywiozłam ja z sobą z kraju jeden tomik komedyj Korzeniowskiego, czytam go od

trzech miesięcy, ale jak się skończy, to chyba przyjdzie oszaleć, bo tu polskiéj książki na bórg za żadne pieniądze nie dostanie.

— Ależ przecie, panno Anastazyo, tyle tu jest ciekawych rzeczy do widzenia, trzeba się tylko nie lenić.

— Tak mówi i moja pani, ale ja mam już dosyć tych ciekawości. Bo cóż mi to za przyjemność, proszę pana, patrzeć na te perły, dyamenty, kryształy i złocone graty, kiedy to wszystko nie moje? Pokazują tu i zwierzęta i ryby i ptaki, cóż kiedy nieżywe? A owa okrzyczana galerya! obraz przy obrazie a wszystkie do siebie podobne, aż się w głowie mąci. Bratowa mojéj pani, ma garderobianę niemkę, ta bywało rzuca się do kolan swojéj hrabiny, żeby jéj pozwoliła oglądać te cuda, ja niepojmuję téj ciekawości.

— A na teatr czy niema pokusy? wszak i dobry i nie drogi?

— Teatr? ja lubię teatr, ale czyżto miło siedzieć jak na niemieckiem kazaniu? Bo proszę pana, czy to nie zgroza! tutaj jeszcze jak tutaj, ale w Paryżu jest ze 20 teatrów, a ani jednego, coby grał po polsku. Czyż to ja taka głupia jak owa francuzka, co służy u stryjenki mojéj pani? taby latała codzień na teatr, bez względu czy rozumie czy nie rozumie.

— Kiedy niebawi teatr, to są zabawy tańcujące, jak mi mówiono, a wcale przyzwoite, wszak pani nie odmawia pozwolenia?

— Prawda że nieodmawia, ale proszę pana, czyż to ja mam sobie najmować kawalera? sprawiać mu jak tu zwyczaj, rękawiczki, płacić za niego i taniec i kawę i ciasteczka, dla tego tylko, żeby ze mną tańcował? Nie, tego się nie doczeka odemnie żaden mężczyzna.

— Czy znasz panna tutejsze okolice?

— Znam proszę pana.

— Jużcić to przynajmniéj przyznasz, że kraj piękniejszy od naszego?

— Piękniejszy? . . . Pan zapewne mówi o Szwajcaryi Saskiéj. Ja tam nie pojmuję, co państwo tak pięknego widzicie w tych wysokich górach, w tych nagich skałach, w tych kamienistych ścieżkach, po których chodząc, człowiek zawsze truchleje żeby nogi nie złamał. U nas to panie, u nas kraj piękny! Gdziekolwiek

się obejrzysz, ziemia gładziuteńka jak stół; a co za łany prześliczne, co za żyta, co za łąki! Chcesz użyć przechadzki, idziesz sobie w pole i zbierasz bławatki, chcesz chłodu i spoczynku, idziesz do olszynki i siędziesz na zielonéj murawie. Oto tak kochany panie, za granicą wszystko co piękne, to podobne do naszego, co niepodobne, to brzydkie: a zatem niewarto jeździć.

— A więc panna Anastazya wolałaby w domu niż tutaj?

— Sto tysięcy razy.

— Ależ w domu cokolwiek nudno, przyznaj sama.

— Nudno? . . . dla mnie nie ma zabawy jak w domu. Sprzykrzy mi się robota? idę sobie na pogadankę do ekonomowéj; zachce mi się nowinek? idę sobie do gospodyni księdza, który trzyma gazetę; chcę wiedzieć jaki będzie obiad? idę do kuchni i dysponuję kucharzowi, aby nie dawał tego, czego ja nie lubię. Słowem między pracą a rozrywką dzień upływa jak błyskawica i ani się człowiek obejrzy, kiedy następuje jutro. Czasem się i pokręcim kiedy nam przyjdzie ochota. Pani piwowarka ma dwie córki, wcale przyzwoite panienki i moje wielkie przyjaciołki. Co niedziela schodzi się do nich kilku młodzieży. Tańczymy czasem do białego dnia, a jeśli nie tańczymy, to idziemy sobie do karczmy patrzeć na tańczących chłopów i śmiać się do rozpuku.

— A wtedy, panno Anastazyo — dodałem mrużąc jedno oko — zawsze się ktoś znajdzie, co pod rączkę prowadzi, nie prawdaż?

— Cóż w tém złego? juźcić same kobiety nie mogą się włóczyć po nocy.

— Ej panno Anastazyo! mnie się zdaje że to wcale coś innego ciągnie asannę do domu, serduszko! serduszko!

— Ho! ho! ho!... ciężkie czasy na serduszku. Małżeństwa wyszły już z mody. Panowie mężczyzni nie mówią o niczém jak o wojnie, o głodzie, o drożyznie. A w tém wszystkiem kto najbiedniejszy? my garderobiane. Bo proszę pana, czy jest na świecie nieszczęśliwsza klassa od naszéj? Naprzód, niewiem zkąd, obmówiły nas złe języki, że nas panie psują i żeśmy wszystkie kapryśnice; powtóre, kto w Boga wierzy bierze nas na zęby i po romansach, po komedyach, szarpie bez litości

na wszystkie strony; potrzecie, jaki nasz los, jaka przyszłość? za kucharza albo za kamerdynera, oto cała karyera! Pan oficyalista?... patrzy daleko wyżéj, chce szlachcianki albo kupcownéj i przynajmniéj 50,000 posagu; powiada że nie ma za co utrzymać żony, a bajka, bo ma za co, tylko ta przeklęta ambicya, ten zbytek, ta ochota naśladowania zwyczajów pańskich!... Nie, proszę pana, ja wzdycham do wsi nie dla interesu albo kaprysu, ale przez gust naturalny.

— Kiedy tak, to ja bywszy panną Anastazyą, nigdybym za granicę nie jeździł.

— Tak też chciałam czynić, sprobowawszy raz i drugi, ale wystaw sobie pan co się stało? przeszłego roku państwo chcieli mnie wziąść z sobą do Baden: oświadczyłam że nie pojadę. Nastusiu! — rzekła do mnie pani, jedź ze mną, bo zobaczysz, że się na ciebie pogniewam.— Niech pani robi co chce — odpowiedziałam — ale nie pojadę — A więc zostańże sobie w domu, dam sobie rady i bez ciebie i wezmę niemkę.— Pojechali i wzięła niemkę. Ale cóż? przy pierwszém ubieraniu tak ją szarpnęła grzebieniem za warkocz, że mało jéj skóry z głowy nie zdarła. O innych surpryzach nie wspominam; tak dalece, że pani powróciwszy z zagranicy, rzekła do mnie: „Nastusiu, rób co chcesz, ale ja się odtąd bez ciebie nie ruszę".

— Cóż panna Anastazya na to?

— Cóż miałam robić! ja panią moją tak kocham, że gotowabym za nią w wodę skoczyć. Ulitowałam się i zezwoliłam, ale pod następującemi warunkami: *pro primo*, że będę zawsze jeździła drugą klassą; *pro secundo*, że w hotelach będę zawsze miała taką stancyą jak i państwo, choćby o jedném oknie, ale na ulicę; *po trzecie*, że nie będę się trudniła pakowaniem i pilnowaniem kufrów, bo to rzecz albo pana albo kamerdynera; *po czwarte*, że nie będę jadała z tałałajstwem przy kuchni ale u siebie w stancyi. Bo proszę pana, co mi się raz przytrafiło? sam pan przyznasz czy nie mam racyi. W tym roku przejeżdżaliśmy do wód przez Berlin i stanęliśmy w jakimś hotelu pod Lipami na sam obiad. Pani wiedząc że nie lubię jadać z liberyą, wzięła mnie z sobą na tabldot. Ubrałam się jak najprześliczniéj, wzięłam na siebie suknię zieloną jedwabną, którą dostałam

na imieniny od pani a któréj nie nosiła i cztéry razy, czepeczek paryzki z różowemi wstążkami, rękawiczki świeżo odplamione, tak że nie jedna angielka pozazdrościłaby mego stroju. Było nas cztery osoby, pan, pani, panna i ja. Już mieliśmy siadać do stołu, gdy w tém zdrajca oberkelner, co się aż do ziemi zginał pokazując nam miejsca, spojrzawszy na mnie, szepnął panu do ucha: że mocno przeprasza, ale przez wzgląd na obecne towarzystwo, służącéj do tabldotu przypuścić nie może, ile że czeladź ma stół osobny i wyśmienity. Domyśliłam się zaraz o co rzecz idzie, zarumieniłam się jak cegła i nie czekając końca, uciekłam do siebie na górę. Pani moja chciała robić scenę kelnerowi za podobny afront, ale pan (jak to zazwyczaj panowie, obojętni na wszystko) kazał dać pokój i zanieść mi obiad na górę. Mieli też za swoje te niegodziwe kelnery. Biegali po schodach jak charty; pozjadałam im wszystkie makaroniki. Zrobił się ztąd dla państwa rachuneczek wcale nieszpetny, ale co mi tam do tego, kto chce jeździć za granicę, niech płaci.

Właśnie kończyła te wyrazy, gdy dał się słyszeć dzwonek. — „To zapewne pani!“ krzyknęła i skoczyła do drzwi.

Była to w istocie moja sąsiadka.

— Witam Acana Dobrodzieja — rzekła do mnie wchodząc — przepraszam żeś tak długo czekał, dawnośmy się nie widzieli, jakże zdrowie?

— Dosyć dobrze, a Pani Dobrodziejce jakże posłużył Karlsbad?

— Nieźle, nieźle, Bogu dzięki. Przyjechałam tu wypocząć na parę miesięcy. Mąż mój odjechał na wieś, nie byliśmy już w domu cały rok, a Acan Dobrodziej wiesz, że kto nie dojrzy okiem, to dołoży workiem. Ale siadajno pan, co tam słychać na wielkim świecie? Wojna, wojna, nieprawdaż? czy tylko wyniknie z niéj co dobrego? — dodała z westchnieniem.

— Bóg to raczy wiedzieć, Mościa Dobrodziejko. Pani zapewne czytuje gazety?

— Czytuję ale tylko *Indépendansę*. Acan Dobrodziej wiesz że my Polki nie czytamy innéj. Wszakże to dziennik co ma nowiny najświeższe.

— Czy tylko regularnie wydaje go poczta?

— Ja nie abonuję na poczcie, uchowaj mnie Boże, a na co mi ten wydatek. Biorę sobie od cukiernika, a że jest wielki ścisk, każę sobie zbierać z całego tygodnia. Brzydka to rzecz ta wojna, kochany panie, co to za okropny przelew krwi, co to wdów, co to sierot, aż włosy stają na głowie.

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą Mościa Dobrodziejko.

— Tak to panowie mówicie wszyscy. A patrzno Acan Dobrodziéj, co się dzieje w kraju. Jaka bieda, jakie choroby, jaki głód, jaki niedostatek pieniędy, aż serce się kraje na samo wspomnienie.

— Prawda Mościa Dobrodziejko, prawda!

— Szczęśliwy kto na te klęski niepatrzy! Oj kurczyć nam się potrzeba i bardzo kurczyć, kochany panie. Ja tu przyjechałam prawdziwie dla ekonomiki. Bo przyznaj Acan Dobrodziéj sam, co to za tanie miasto to Drezno. Dwa razy tańsze niż Warszawa, niż Kraków, niż nawet wieś. Wystaw sobie, córka moja co jest za mężem w Warszawie, przysłała mi trzy komisa, a wiesz pan co to są komisa córki? to asygnacya na kieszeń matki. Zażądała dwóch papug dla swoich dzieci, angielskiego wyżełka *King Charles* na prezent dla jakiejś jenerałowéj i sukni *point d'Angleterre* na bal który miał być dany dla ubogich. Trzeba było szalenie się kręcić, żeby to wszystko dostać i tanio i w dobrym gatunku. Zgadnij co dałam za papugi, jedną zieloną, drugą szarą? trzydzieści talarów, w Warszawie niedostałby i za sześćdziesiąt. Za pieskiem biegałam ze dwa tygodnie, szczęście żem trafiła na licytacyą po jakiejś angielce, którą tu mąż, narobiwszy długów, opuścił. Dałam za niego talarów 50, w Warszawie niedostałby i za 100; śliczny, mordka krótka, oczy rybie, uszy aż do ziemi, sierść czarna jedwabna jak u kruka. Suknię przyniósł mi natychmiast kochany Meyerek; poczciwe też to człeczysko, niema téj rzeczy, którejby u niego niedostał. A przytem jaki grzeczny, jaki usłużny, jak ładnie mówi po francuzku! prawdziwie jakby dla nas polek zrodzony; on ci i towar sprzeda, i powóz naprawi, i stancyą najmie, i służącą wynajdzie, i guwernantkę sprowadzi, tego tylko niepojmuję jakim sposobem tak łatwo udziela kre-

dytu? Ja téj łaski niepotrzebuję, ale wiem że są takie co jéj nadużywają, drugiby już dwa razy zbankrutował.

— Ja myślę że się trzyma wspólnego wszystkim handlującym prawidła. Rzetelni płacą za nierzetelnych.

— Otóż tedy wie Acan Dobrodziéj, com mu dała za suknię? a świeżuteńko przyszła z Paryża, dwieście talarów! Acan Dobr. na tém się nieznasz, ale ręczę mu, że to jak znalezione. W Warszawie by niedostał i za czterysta. Czy to nie oczywista korzyść tutaj kupować?

— Prawda!.... prawda!..... na tym jednym sprawunku córki, oszczędziłaś pani ze 300 talarów.

— Takto mój panie! we wszystkiem trzeba i z kredką i z główką. Powiedz że mi teraz czy bywasz w teatrze? co też dzisiaj dają?

— Podobno Maryę Stuart Schillera.

— Jeźli tak to nieżałuję że niebędę.

— Pani Dobrodziéjka zapewne nielubi tragedyi.

— Nie, nie dla tego; tylko trzeba ci wiedzieć, że ja tu niebywam jak na operach, albo na takich widowiskach, na których dla jakiejś osobliwości, podwojone są ceny, bo na tych tylko zastać można dobre towarzystwo.

— Ależ Marya Stuart! sztuka tak klasyczna! Co za szkoła dla córeczki pani, dla samego języka!

— Ha! ha! ha! ja mam dość z nią biedy żeby ją oduczyć po niemiecku, a pan chcesz żebym jéj jeszcze dopomagała. Któraż panienka dobrego domu uczy się u nas po niemiecku? Moją Natalkę, jak zapewne wiesz, musiałam tu była oddać na trzy lata na pensyą. Wystaw sobie, tak się nauczyła trzepać po niemiecku, a co gorsza z tak doskonałym akcentem, że fraszka moja szwaczka. Co to ja miałam strachu, odebrawszy ją z pensyi, żeby nie zdradziła swojéj wady! kazałam jéj zapomnieć wszystkiego, a przynajmniéj łamać akcent niemiecki, to blizko taki sam wstyd, jak zły francuzki. Dzięki niebu usłuchała mojéj rady; przekonałam się o tém niedawno, będąc z nią z wizytą u kilku dam tutejszych. Tak zaczęła kaleczyć wyrazy, że musiały mówić z nią po francuzku. Ależ za to biedne nasze uszy! wiesz jaka ich francuzczyzna, to zupełnie jak mój doktór, który jak powie słowo *buazon*, to niewiem, czy mi zapisuje ryby, czy trunek, czy truciznę.

— Ja jednak słyszałem, że panna Natalia nietylko mówi po niemiecku, ale nawet po angielsku, choć to jest język jeszcze mniéj potrzebny.

— To zupełnie co innego. Że język angielski jest nam najmniéj potrzebny, masz Acan Dobrodziéj wielką racyą, ale właśnie dla tego, że jest najniepotrzebniejszy, uczą się go tylko panienki dobrych domów, bo w tém przybywa nowa dystynkcya. Ręczę panu, że gdyby tu dawano sztukę angielską, tobym kupiła Natalce nie jedną ale trzy loże, i tego tylko nieprzestanę żałować, że niemiałam dla niéj niańki angielki, bo wtedy jeszcze niebyło téj mody. Ale dajmy temu pokój; kiedy już mówiliśmy tyle o innych językach, pomówmy o własnym: zawsze najmilsze co swoje. Wiem że Acan Dobrodziéj jesteś *au courrant* wszystkiego; co tam nowego w naszéj literaturze? Mickiewicz umarł, nieprawdaż? szkoda człowieka! Moja Natalka umiała na pamięć kilka jego sonetów i męczyła mnie przez dwa tygodnie, żebym jéj kupiła które z dzieł jego. Biegałam po wszystkich sklepach i nareszcie znalazłam. Ale jakżeż tu drogie polskie książki! wystaw sobie, za jeden tomik dwa talary! czy to słychana rzecz?

— Ależ za to, jaka radość dla panny Natalii!

— Uchowaj Boże!..... niekupiłam..... czyż to dziś czasy po temu, żeby skupować biblioteki?

Ciągnęła się jeszcze rozmowa o tém i owem, w tenże sam przerywany sposób, kiedy moja interlokutorka ujrzawszy że się podnoszę — „Czy już Acan Dobrodziéj uciekasz?“ zawołała.— „Mam jeszcze kilka wizyt do oddania“ — odpowiedziałem. — „Kiedy tak to zezwalam, ale pod jednym warunkiem, że wrócisz do mnie na wieczór około godziny 7méj, zastaniesz u mnie nasze tutejsze towarzystwo.“ Skłoniłem się nizko, wyszedłem i wróciłem o naznaczonéj godzinie.

Byłem tedy i na *wieczorze* drezdeńskim, ale cóż mam wam o nim powiedzieć? Zastałem ze 40 niewiast a ani jednego mężczyzny; w salonie mniejszym siedziały poważniejsze matrony, w większym młodzież z guwernantkami. Na takich zgromadzeniach, czarny frak jeżeli się ukaże, to gra rolę raczéj widza niż towarzysza, ale ponieważ na boku stać nie może, szanowna gospodyni domu, baczna na mój wiek, zaprezentowała mnie izbie

wyższéj. Lubo nie jestem orłem w sztuce *amablowania*, robiłem jednak co mogłem, żeby odpowiedzieć obowiązkom reprezentanta płci mojéj; trudne to bowiem dla każdego zadanie, w gronie osób których się nie zna ani stopnia wykształcenia, ani gustów, ani nawet stosunków osobistych. Szczęściem, że pani Z. osoba pełna taktu, niechcąc zbytecznie wytężać struny, zaproponowała mi wiska. Partenerki moje przyjęły tę propozycyą z najżywszą radością:

— Przepraszamy zawczasu — odezwała się jedna z nich zwracając mowę do mnie — prosimy nas niełajać!

— Niemam do tego najmniejszego prawa Mościa Dobrodziejko — kto wie czy nie do mnie należy prosić o pobłażanie.

— Wpan Dobrodziéj grywasz zapewne drogo — odezwała się druga, litując się niby nad moim losem — my niegrywamy jak po fenigu!

— Mościa Dobrodziejko — odpowiedziałem jeszcze pokorniéj — bylebym miał przyjemność grania z paniami, każda cena jest mi obojętną.

— Ale musisz być naszym sekretarzem — odezwała się trzecia.

— Jak najchętniéj, Mościa Dobrodziejko.

Kiedyśmy siadali do stolika, młodsze pokolenie w przyległym salonie, sunęło się do mruczków, lisów, ślepych babek i innych jednopłciowych rozrywek. Czém był nasz wisk nieumiem powiedzieć, to pewna, że nie grą w karty, po każdéj bowiem zabitéj lewie następowała pauza, w czasie któréj towarzyszki moje rozpowiadały sobie anegdotki to o kucharkach, to o guwernantkach, to o towarach przybyłych z Paryża, to o cenach zwierzyny i drobiu na targu, wkładając na mnie obowiązek przypominania im ustawicznie, co było *atout*, jaki grano kolor, kto zabił, na kogo zadawać; cóż dopiero gdy nastąpiły konieczne entrakta z powodu znoszonych na stolik łakoci i mięsiw, popijanych syropami lub jakimsiś cieplejszym płynem, noszącym nazwisko herbaty. Łatwo pojąć że tak romantyczny sposób gry, przedłużał ją niesłychanie. Już była godzina jedenasta, a ledwieśmy skończyli jednego robra. Zadrżałem spojrzawszy na zegarek i właśniem rozmyślał nad tém, jakby tu grzecznie za-

proponować obrachunek, gdy w tém przypadkowa okoliczność wybawiła mnie z kłopotu. Dwie lampy, jakby w zmowie ze mną, zaczęły kopcić i gasnąć; zgiełk się zrobił niesłychany; wszystkie damy rzuciły się do chustek broniąc swe płuca od asfiksyi; stroskana gospodyni domu zaczęła biegać od gości do służących, przepraszając jednych, łając drugich; służący potracili głowy, nie wiedząc kogo mają słuchać, to jest, czy zostawić lampy i zagasić, czyli też niezagasić i wynosić; ja zaś korzystając z powszechnego zamięszania, położyłem moje półpięta grosza na stoliku i cichaczem wyniosłem się do domu. Oto macie wieczór drezdeński. Nie sądźcie jednak aby dom mojéj pani Z. był typem wszystkich domów polskich; są tu familie, na których łonie spędzić możesz czas bardzo przyjemnie; ale co w nich zawsze uderza, to brak towarzystwa męzkiego. Czy to nie oryginalność? a jeżeli oryginalność, czyż niepowinna zająć miejsca w waszéj kronice dzisiejszych czasów?

Berlin w marcu.

W krótkim przeciągu czasu jednego tylko tygodnia zdarzyło się w Berlinie w bieżącym miesiącu kilka tak nadzwyczajnych wypadków, że mnie samemu, patrzącemu na nie żywemi oczyma, zdaje się, że mam nie rzeczywistość przed sobą, lecz jaki ustęp mysteryów paryskich Eugeniusza Sue. Berlin wypadkami temi wstępuje do rzędu wielkich stolic europejskich. W spokojném na pozór łonie jego mieszczą się snać podobne żywioły rozkładu towarzyskiego jak w innych wielkich miastach. Dwie całe familie popełniają na sobie w największéj nędzy i rozpaczy okropne samobójstwo trucizną i żelazem; jeden z wysoko położonych urzędników odbiera sobie życie strzałem z pistoletu w chwili szaleństwa spowodowanego przez domowe stosunki; inny z ludzi wysokiego świata pada trupem w pojedynku, którego powody dotąd pokryte są tajemnicą; najwyższy wreszcie urzędnik stolicy, osobisty przyjaciel i wierny sługa monarchy, twórca licznych, nader pożytecznych i dobroczynnych zakładów, kończy nagle życie swoje w skutku po-

jedynku, spowodowanego przez ściśle zastósowanie przepisów porządku publicznego i do téj przywilejowanéj klasy społeczeństwa, która mniema, że powinno jéj być wolno, żyć zewnątrz prawa. To wszystko stało się w ciągu jednego tygodnia, tak nagle i niespodzianie, że pewna trwoga padła na spokojnych mieszkańców stolicy, mniemających, że państwo i towarzystwo z karbów porządku wychodzą. Najstarsi ludzie, piszą tutejsze dzienniki, nie pamiętają tak okropnego i tragicznego tygodnia. Wrażenie goniących po sobie krwawych wypadków, przeniknęło wszystkie warstwy mieszkańców, a było z pozoru i objawu swego przykre, cierpkie, ponure, zadumane, gotowe jakby do demonstracyi lub wybuchu. Wezwanie nawet Prus do wzięcia udziału w konferencyach paryskich przeszło prawie niepostrzeżone. Dowcip zatrzymał strzały swe w kołczanie z uszanowania ponuréj powagi opinii publicznéj. *Zuschauer* w feletonie *Kreuzzeitung* cofnął się z wykrzykami swemi jak pająk w najciemniejszy zakątek sieci swojéj. *Kladderadatsch* otwarcie przeprosił publiczność, że nie może być w takich okolicznościach dowcipnym, i nie źle wyglądał, gdy w ostatnim numerze z kapą trefnisia na głowie na tragicznym stąpał koturnie. W obec takiego umysłów w stolicy pruskiéj usposobienia, uczucie ludzkości i przyzwoitość nie pozwalają więc i mnie, w żartobliwym poprzednich listów tonie kreślić wedle zamierzonego planu, dalszego ciągu kroniki miejscowéj. Dałem był dopiero ogólny do niéj zarys, chciałem w niniejszym i następnych listach przejść do szczegółowego pojedynczych części wykończenia, w porządku, jaki fizyonomia każdego miesiąca najwłaściwiéj wskazywała; chciałem bieżącą kronikę wciągnąć jako stafażę w udzielny, od przypadkowości nie całkiem zawisły obraz towarzyskich, naukowych, artystycznych i tym podobnych stosunków Berlina. Aż tu kronika bieżącego miesiąca staje mi w tak krwawych, jaskrawych i okropnych kolorach przed oczyma, i z tego co miało być stafażą, osobny każe tworzyć obraz i użyć do niego farb, które bynajmniéj nie przystają do zwyczajnéj fizyonomii stolicy pruskiéj. W każdym razie list niniejszy raczy czytelnik uważać za epizod w ciągu przeszłych i następnych korespondencyj moich. Za epizod bowiem w kronice Berlina wolę uważać i ja wypadki o których

mowa. Zostawiam historykom, powieściopisarzom i poetom śledzić ich źródeł w tajnikach moralnego i materyalnego stanu i usposobienia dzisiejszego społeczeństwa. Słyszałem ci przed parą dniami w towarzystwie rozbiór całego planu do tragedyi, wysnutéj z ostatniego z wyżéj wspomnianych wypadków. Ja kronikę tylko ich zapisuję; zabrakłoby mi bowiem czasu i miejsca, gdybym się chciał zapuszczać w refleksye nad szczegółowemi stosunkami, z których wypłynęły.

Historya pierwszego z wypadków tych jest następująca. Dentysta Janson, rodem z Elbląga, mający około lat 40, zamieszkały przez dłuższy czas w Królewcu, sprowadził się półtora roku temu z familią, z żoną z domu Niebisch rodem z Gdańska 36 lat, z dwojgiem dzieci, dziewczęciem lat 10, chłopcem lat 8 mającemi, do Berlina. Praktyka dentysty szła trudno, familia znajdowała się w ciągłym niedostatku. Nie mogąc opłacić komornego, Janson przymuszony był opuścić pierwsze swoje mieszkanie, pozostawiwszy w niém wszystkie swoje sprzęty. Mimo to najął sobie od 1 stycznia b. r. inne wielkie mieszkanie, wziął w najem meble i urządził się po pańsku. Spodziewał się, że przez to wspaniałe urządzenie domu polepszy swoją praktykę. Zawiódł się, wpadł w większe jeszcze długi, liczba egzekutorów była znaczniejsza niż liczba pacyentów. Familii dokuczał niedostatek najgwałtowniejszych potrzeb do życia. Mężowi zabrakło moralnych sił do zniesienia tego nieszczęśliwego położenia, charakter żony skłaniał się trochę do egzaltacyi; tak dojrzał zwolna zamiar ich do odebrania sobie i dzieciom życia. Dnia 6 b. m. udali się do Potsdamu, powiedziawszy współmieszkańcom w domu, że jadą na wesele jednego z krewnych. Przybywszy, stanęli w hotelu „Einsiedler“, kazali sobie dać pokój, chcąc przenocować, udali się jakoś wcześnie na spoczynek; rano, w południe nie było słychać najmniejszego szmeru w pokoju, po południu, w obawie nieszczęścia, przywołano policyą, wybito drzwi. Jakiż smutny przedstawił się widok. Cztéry trupy w zupełném ubraniu, bez żadnego znaku gwałtownéj śmierci, leżały jakby w miłości zasnęły obok siebie, dzieci w środku, rodzice po stronie. Wszyscy pomarli bez cierpienia przez użycie chloroformu, najprzód dzieci, potém

matka, nakoniec ojciec. Na stole znaleziono dwa listy następującéj treści:

„Niezawinione nieszczęście przywiodło nas do rozpaczy, rozpacz powiodła nas do tego czynu. Naszych dwojga dzieci nie mogliśmy się zdecydować zostawić przy życiu, bo one były jedyną naszą rozkoszą. Familia moja nie będzie się wzbraniała zwrócić kosztów pogrzebu, tém mniéj, że prosimy, abyśmy byli jak najskromniéj pochowani. Niech nas pochowają w sukniach, które mamy na sobie. Zostawiam na stole resztę pieniędzy, 3 tal. 4 sgr., któremi się zapewne opłaci rachunek, w przeciwnym razie niech na to będzie obrócona skromna pozostałość. Proszę nakoniec, abyście się z nami w duchu i uczynku obeszli z temi względami, na jakie zawsze nieszczęście zasługuje. Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni.

Potsdam d. 6 marca 1856.

Janson, dentysta.“

„Widzicie tu przed sobą ciało nieszczęśliwéj matki. Proszę, ktokolwiek jesteście, nie obejdźcie się z nami surowo i bezwzględnie. Bo bez miłości i bez względów obchodzili się niestety ludzie z nami przez całe nasze życie. Jak psy wściekłe i hieny szczwano nas aż do śmierci. To są jedyne powody, które nas do tego czynu doprowadziły. Bóg nas nie potępi, chociażby ludzie uczynić to mieli. Rozstajemy się z spokojném sumieniem, bo przez nas z namysłem nie był nikt obrażony. Wszyscy jesteście obcymi, którzy stoicie teraz w około nas, obejdźcie się jednak po ludzku. Bóg nie zostawi bez wynagrodzenia ostatniéj miłosnéj usługi, którą nam jako chrześcianie wyświadczycie. O jedno jeszcze proszę, nie pozwólcie oglądać nas ciekawym ludziom.

Potsdam d. 6 marca 1856.

Augusta Janson.“

Wypełniono jak najściśléj ostatnią wolę nieszczęśliwych. Czyn ich z stanowiska religii i moralności zasługuje niewątpliwie na potępienie. Wszakże cały Potsdam okazał zmarłym największe spółczucie, a takowe udzieliło się i Berlinowi. —

Drugi równie okropny wypadek zdarzył się tu w Berlinie. Tapicer mieszkający przy Niederwallstrasse Nr. 19, nazwiskiem Schultz, mało mając podczas zimy z pro-

cederu swego zarobku, wpadł w nędzę. Nie mogącemu na czas oznaczony opłacić komornego zapowiedziano, że dnia następnego będzie wyrzucony z mieszkania. Napróżno starał się on w ostatniéj chwili znaleźć sobie inne pomieszczenie. Miotany rozpaczą, powrócił do domu, i czterem dzieciom a w końcu sobie samemu poderznął gardło. Dwoje dzieci natychmiast żyć przestało, dwoje i on sam żyli jeszcze, gdy zbrodnię odkryto. Powieziono ich do szpitalu, z małą nadzieją utrzymania przy życiu. Matka była przed parą laty umarła. Najmłodsze dziecko miało 3, najstarsze 10 lat. W mieszkaniu Schultza znaleziono pismo, w którém tenże za powód do popełnionéj zbrodni podaje nędzę i rozpacz pochodzącą z przeświadczenia, że nie ma przy najszczerszéj chęci sposobu do uczciwego wyżywienia siebie i dzieci. Ludzi w takiém położeniu będących bardzo wiele jest w Berlinie. Tegoroczna drożyzna przyczyniła się najwięcéj do pomnożenia proletaryatu, nieodłącznego jak się zdaje od społeczeństwa każdego wielkiego miasta. Zbrodnie, które się tak często w téj klasie powtarzają, pochodzą najwięcéj z nędzy i z głodu. Religia mało tam wywiera wpływu. Ludziom tym wśród ciągłéj walki z przeciwnym losem, braknie, jak to od nich samych słyszeć można, czasu do pomyślenia o Bogu. Jałmużnę każdy z nich z podziękowaniem przyjmie, morał bez jałmużny, z szyderstwem odepchnie.

Poprzednie dwa wypadki wydarzyły się w stanie średnim i niższym, rzucając rażące światło na ich wewnętrzne stosunki. Wypadki następne odnoszą się do najwyższych klas towarzyskich, a moralne znaczenie ich, chociaż na innych oparte motywach, niemniéj przeto na surowy sąd jest wystawione. Szczegóły wypadków tych nie są dotąd zupełnie znane. Te nawet, które są znane, tego są rodzaju, że nie można ich dosłownie ogłaszać, nie chcąc narazić się na reklamacye, a nawet na większe nieprzyjemności, mianowicie, gdy rzecz drukiem ogłoszona dotyka osobistości. O tych wypadkach krótko się więc sprawię, co tém łatwiéj uczynić mogę, że o głównym z nich, to jest, o pojedynku dyrektora policyi berlińskiéj p. Hinckeldeya z członkiem Izby Panów i oficerem landwery p. Rochowem, *Czas* już wszystko doniósł, co w dzisiejszym stanie téj sprawy, która jeszcze

jest pod sądem, donieść bez narażenia się było można. Zresztą mówiły o niéj wszystkie dzienniki tak szczegółowo, że opisując ją w tém miejscu, nie mogąc przytoczyć szczegółów ustnie tylko opowiadanych, powtarzałbym chyba rzeczy już znane.

Mniéj daleko rozgłosu ma pojedynek, w którym poległ jakiś baron czy hrabia Canitz. Zachowano go w takiéj tajemnicy, że oprócz samego faktu nic prawie do wiadomości publicznéj nie przeszło. Natomiast o samobójstwie p. Raumera, wyższego tajnego radzcy regencyjnego w ministeryum domu królewskiego, rozeszły się natychmiast po dokonaniu czynu najrozmaitsze pogłoski, wiążące go mylnie z zgonem p. Hinckeldeya. P. Raumer, daleki krewny znanego historyka i teraźniejszego ministra oświecenia imienia Raumerów, był człowiekiem w podeszłym wieku, posiadał znaczny majątek i piastował godność wysokiego urzędnika. Mimo podeszłego wieku ożenił się podobno przed kilku dopiero miesiącami z młodą, piękną, pełną życia i ambicyi wdową. Małżeństwo nie było szczęśliwe, mąż miewał napady melancholiczne. D. 13 b. m. dawał obiad u siebie. Przed obiadem wyszedł był jeszcze, mówiąc do żony: że pójdzie zaprosić osobiście jednego z przyjaciół. Poszedł wprost do gabinetu swego w ministeryum, w którym pracował, kazał odźwiernemu przynieść sobie szklankę wody, nabił wodą pistolet i zastrzelił się. Minister domu królewskiego p. Massow, był w podróży. Przyniesiono więc żonie jego pierwszą wiadomość. Żonie p. Raumera dano znać, że mąż umarł, tknięty apopleksyą. Ciało odniesiono wieczorem do jéj mieszkania.

Wszystkie pomienione wypadki zdarzyły się pomiędzy 6 a 13 b. m. Nie masz pomiędzy niemi żadnego zewnętrznego powinowactwa, ale jest powinowactwo myśli, myśli która za obrębem legalności i moralności szuka zadosyćuczynienia swojéj żądzy, rozpaczy, uprzedzeniu lub szaleństwu.

Paryż w marcu.

Dawno nie widziany Otello pojawił się zeszłego wie-

czora na paryzkiéj scenie. Frezzolini wywołała oklaski niesłyszane téj zimy w teatrze włoskim. Sam Rossini obecny na tém przedstawieniu przyznał, że żadna ze śpiewaczek z piękniejszym głosem nie dorównała jéj w roli Desdemony. — Rzeczywiście Frezzolini jest żywem uosobieniem bohaterki Szekspira — wszystko co nas zachwyca w żonie Otella jest jéj dane od natury: wdzięk poetyczny, szlachetna postawa, dziecinne roztrzepanie połączone z namiętnością dopóki jéj się szczęście uśmiecha — a później rozczulająca niemoc, smutek proroczy, nerwowe przestrachy i dreszcze przerażenia w miarę zbliżania się śmierci... wszystko to Frezzolini oddaje tak naturalnie, jakby rzecz działa się nie na teatrze, ale w jéj sypialnym pokoju. Kiedy śpiewała sławną cavatinę *pod wierzbą*, łzy mimowolnie cisnęły się do oczu. Długie jéj białe szaty, poetyczna poza, wysmukłe palce, któremi z harfy wywoływała dźwięki, włosy czarne rozpuszczone i wyraz twarzy rzewny, czyniły ją podobną do alabastrowéj statuy Melancholii.

Wyszedłem oczarowany — rozmyślając nad szczęściem tych istót, które sława na ręku piastuje, do których uśmiecha się fortuna, którym świat cały rzuca pod nogi zachwyt i złoto. Myślałem, że gdybym był kobietą, innego nie obrałbym zawodu, bo jakiż stan daje szczęście któreby można porównać z tém, które daje sztuka, sława i niepodległe życie. Myślałem, że artystka kochana od publiczności jest jak dziecko którego rodziną świat cały, myślałem.... wszystko co można pomyśleć stawiając apoteozę szczęścia sławnéj aktorki — wszystko, prócz tego, że dziś jeszcze zmienię zdanie.

Ciepła i jasna noc sprzyjała myślom. Chociaż już północ była blisko, bulwary włoskie więcéj ożywione niż w południe, pełne gwaru i ruchu, czarodziejski przedstawiały widok. Srodek szerokiéj drogi jak okiem zasięgniesz, zalegał długi szereg powozów wymijających się zręcznie a sunących cicho jak po dywanie, po gładkiéj zwirowéj powierzchni. Szerokie chodniki po obu stronach napełniał tłum ludzi powracających z teatrów i koncertów, a spieszących na bale, wieczory prywatne lub pogadanki, w których doznane wrażenia podzielają się z przyjaciołmi. Kobiety w czarnych mantylach zarzuconych na balowo utrefione włosy, jak nocne motyle

przebiegały poprzedzane szelestem jedwabnych falban i wonią toaletowych pachnideł. Mężczyzni nucąc finalne arye lub śmiejąc się z wodewilowych konceptów, chciwie palili zabronione przez kilka godzin cygara. Księżyc wzbity wysoko rozlewał strumienie srebrnego światła po téj wspaniałéj drodze, która między dwoma rzędami pałaców, co krok to nowe odkrywając piękności, ciągnie się blisko milę, począwszy od przepysznego kościoła Magdaleny aż do złotego Anioła wolności co się nad placem Bastylii unosi.

Gaz jakby naśmiewając się z księżycowéj jasności, oświecał *à giorno* wszystkie sklepy i kawiarnie. Drogie kamienie, lyońskie materye, srebra i porcelany pałały blaskiem za kryształowemi szybami — przepyszne sklepy bronzów, obrazów, kwiatów, dywanów, mebli, koronek, pachnideł, gobelinów i dyamentów rozsiane na téj przestrzeni przykrytéj gwieździstym firmamentem wiosennéj nocy, sto razy piękniéj się wydawały niż pod szklanym dachem pałacu Wystawy. — Był to obraz *sui generis* w którym każdy przedmiot miał swoją przyczynę, swoją oryginalność i piękność swoją — a nad tym obrazem w powietrzu szumiał gwar jakiś nieustanny, głuchy, zupełnie niepodobny do dziennéj wrzawy miasta. Dzienny gwar Paryża wydaje się być mową jego— nocny jest jakby oddychanie miliona ludzi.

Przywykły do piękności stolicy, patrzałem machinalnie na te cuda, marząc ciągle o szczęściu paryskiéj artystki — i tak rozmyślając zaszedłem sam niewiem jak, na ładny plac Saint-Georges, gdzie wjeżdżający w bramę powóz zatrzymał mię — spojrzałem w górę i spostrzegłem że stoję przed domem baronowéj M. podeszłéj damy pełnéj rozumu i owego dawnego francuzkiego dowcipu, znanego dziś z tradycyi, nawet w samym Paryżu. U niéj to co czwartek zgromadzała się tak zwana *młoda Francya*, to jest młoda wedle teoryi Flourensa który południe życia w pięćdziesiątym roku naznacza— najmłodszy bowiem ze znanych autorów paryskich Dumas syn, ma lat trzydzieści i dwa.

Mając, jak ci wiadomo, łaskawie dozwolony sobie wstęp do tego domu — wszedłem.

Towarzystwo było bardzo ożywione. Obejrzawszy się spostrzegłem wiele znajomych twarzy.— *Młoda Francya*

zgromadziła się licznie, i niechcący ugrupowała dość malowniczo.

Najgrubszy punkt, tak jak największy obraz w galeryi, najpierwéj wzrok mój uderzył. Teofil Gautier zwany *le Chevelu*, o którym dawniéj mówiono iż ma więcéj włosów niż dowcipu, a któremu dzisiaj słusznie przyznano berło artystycznéj krytyki, czterdziesto-sześcio letni otyły sybaryta otoczony gronem najmłodszych w salonie dziewcząt, tonął w miękkim fotelu trzymając na kolanach ogromnego kota, faworyta pani domu, który wlepiwszy w artystę wielkie żółte oczy, miauczeniem odpowiadał mu na pieszczotliwe słowa. Trzeba ci wiedzieć że Gautier lubi koty jak Mahomet, o którym podanie mówi, że wolał rękaw uciąć niż spędzić zeń uśpionego kota. — Panienki które Gautier lubi niemniéj od kotów, chichotały się przysłuchując jego rozmowie z *Murrem*, a on dowodził im że kot ma duszę.

Nie o podal od téj gruppy, któréj wesołe wybuchy poskramiało niekiedy rzucone z boku wejrzenie starszych— siedział sam jeden nad ustawionym na szachownicy matem, świetny autor hiszpańskich i włoskich powieści, członek akademii, Alfred de Musset. Twarz jego do pobojowiska podobna, roztargniona, blada, zwiędła i smutna, w tysiącznych załamkach jak kawałek stłuczonego zwierciadła odbijała fizyonomię stojącéj przed nim szachownicy — na jednéj jak na drugiéj był tylko jeden napis: *Szach Mat.* Najszaleńszy, najkolorowszy, najgadatliwszy niedawno z poetów młodéj Francyi, przez cały wieczór trzy tylko wymówił słowa i to na wyraźną interpelacyą Gautiera.

— Wszak prawda Alfredzie że koty mają duszę? — zawołał wesoły miłośnik kotów, wyczerpawszy wszystkie dowody na poparcie ich nieśmiertelności.

— Ja nie wiem czy sam mam duszę — odpowiedział zapytany, tonem jaki mówi trapista: *bracie trzeba umrzeć*— i znów do swego mata głowę odwrócił.

Przy dużym stole na którym błyszczał przepyszny bouloir - christofle i wspaniała zastawa z sewrskiéj porcelany oświecona dwoma globowemi lampami, najliczniejsze zebrało się grono literatów i artystów. Z kobiet była hrabina Dash, autorka wielu romansów i redaktorka *Francyi Eleganckiéj* — Vicehrabina de Renne-

ville, feljetonistka modna — pani Melania Waldor przyjaciołka Dumasa — z mężczyzn: Saint-Victor, Lévy, Premaray, Thierry, feljetoniści — Villmessant redaktor *Figara*, Houssaye były dyrektor teatru *Français* — tenor Roger — sławny aktor Beauvallet należący do amerykańskiéj wyprawy panny Rachel po złote runo — ze znakomitości literackich: Karr, Méry, Gonzalès, Fiorentino i Dumas syn, którego Dumas I. słusznie zowie *son meilleur ouvrage*. Oto osoby co wystawały na tle ruchomem złożoném z ludzi, których fortuna nie udarowała, a jeżli wolisz, nie skarała sławą.

Méry najpoczciwszy i najdowcipniejszy z dowcipnych, przyjaciel Wiktora Hugo, zacny Marsylczyk którego kochają wszyscy, bo ma miłość w sercu, a w głowie ten wysoki dowcip co żyje własnym kosztem, nie dobiera się do niczyjego honoru, a jeżli draśnie to kolcem tak ślicznéj róży, że człowiek rany dla jéj woni nie czuje — z wielkiem zajęciem pomagał zwijać czerwone pasmo jedwabiu, najpiękniéjszéj w salonie kobiecie. Uważałem, że oczyma pełnemi iskier i figlów chciał rozbudzić uśpioną wesołość pięknéj pani, a małym palcem plątał jedwabną przędzę, pragnąc przedłużyć robotę śnieżnym rączkom co się koło niego uwijały.

Na przeciwległéj kanapce Alfons Karr, arcy dowcipny redaktor *Osy*, sławny wojażer „około swego ogrodu,“ człowiek co słyszy jak trawa rośnie, jak się zmawiają na schadzkę motyle — co widzi jak się rumienią róże pod całusem wietrzyka, jak polny konik swą kochankę unosi w niebiosy.... francuzki mistyk w którym jak mówią, Niemca pokutuje dusza, zawołany amator kwiatów i ptaków — karmił biszkoptami papugę która w złym humorze bo rozbudzona ze snu dla zabawy naturalisty, nielitościwie gryzła go w palec.

Obok głównéj gruppy nieco ku środkowi salonu, wysunięty, posadzony umyślnie tak sztucznie żeby całe towarzystwo mogło prowadzić z nim rozmowę i nie stracić żadnéj z jego odpowiedzi, siedział najmłodszy pisarz paryski Beniamin młodéj Francyi Dumas II., którego dać ci tu muszę paszportowy rysopis jako podwójnie interesującéj cię osoby: raz dla tego żeś znał ojca, powtóre, że Dumas II. słusznie czy niesłusznie jest w téj chwili wyrocznią paryskich salonów.

Autor *Demi-Monde*, *Kameliowéj*, *Perłowéj Damy* i ośmnastu innych romansów, które wydał w ciągu ostatnich lat pięciu, jest bardzo stateczny i poważny. Charakter ten wybija mocno na śniadéj jego twarzy która wyzwolona zupełnie z murzyńskiéj formy ojcowskiego oblicza, zachowała tylko lekką cechę kreolskiego pochodzenia. Oczy ma czarne, smutne nawet wtedy, kiedy się śmieje, czoło wydatne, nos prosty, brwi mocno narysowane, włos czarny, małe wąsiki, na ustach wyraz miłéj łagodności. Wysoki, silnie zbudowany, ma w ruchach i całéj postawie wiele wykwintnéj elegancyi, czyli jak mówią paryżanie, *il a une tenue parfaite.* Dodaj do tego nadzwyczaj wiele pewności siebie, dowcipu i nabytych wiadomości, to, że się udziela mało i cenić się każe— a wytłumaczysz sobie przyczynę powodzenia które autor *Demi-Monde* daleko więcéj osobie swojej niż pisarskiemu talentowi zawdzięcza. Tą razą wyszłoby to tylko na korzyść społeczeństwa francuzkiego, bo młody Dumas jest moralniejszy w życiu niż w pismach; jeżeli kto to on jest żyjącém zaprzeczeniem przysłowia: *jaki ojciec taki syn.*

Ozdobą salonu była nieznana mi młoda dama zwijająca jedwabną przędzę rozpostartą na rękach Mérego. Podobna do tych kwiatów co ostrzeżone wieczornym chłodem składają na noc swą tunikę, zamykając w tę przezroczystą oponę wszystkie zapachy i wdzięki wewnętrzne, tak ona zdawała się zamknięta w sobie i samotna w tém kole. Twarz jéj jakby wedle greckich wzorów utoczona z marmuru, nie przepuszczała żadnego wewnętrznego uczucia — czarne oczy patrzyły na jakiś przedmiot którego nie było w salonie... Modny ubiór głowy *à l' Espagnol*, wybornie przystawał do jéj twarzy: wszystkie włosy zagarnięte w tył chowały się w perłową siatkę którą razem z warkoczem przepinała długa perłowa strzała. Czarna krepowa mantyla oszyta szerokim aksamitnym szlakiem, jak kalemkiar turczynki spadała w szerokich fałdach na ubranie z czarnego kaszemiru nadające jéj cerę białéj kamelii.

Zaintrygowany chciałem dowiedzieć się kto ona — w tém ktoś o to samo zapytał pół głosem Karra.

— Nie wiem, odpowiedział.

— Piękna! co?

— Piękna — ale czy nie znajdujesz że ma minę elegii?

— Sądzisz więc że zamężna?

— Dla czegóż nie miałaby być wdową!

— Byłaby czynniejsza. (Uśmiéchnęli się obaj.)

— Kto też może zmuszać do płaczu takie piękne oczy?

— Eh! jakbyś nie wiedział że kobiety płaczą byle czego....

Rzecz dziwna że Paryżanie czczą swoje kobiety ale ich nie szanują: każda z tutejszych dam modnych ma dwór, ale nie ma rodziny — ma pochlebców, niewolników, ale nie ma przyjaciół.

Od kogoś mniéj dowcipnego dowiedziałem się nareszcie że nieznajoma zowie się Lucyna Ch., że chociaż tak młoda już dwa razy owdowiała — że pierwszym jéj mężem był znany feljetonista Henryk Decan, drugim bankier Ch. z którym wycierpiała wiele — że była dawniéj aktorką i przyjaciołką Maryi Dorval.

Zaspokojony na pół tą odpowiedzią, obejrzawszy wszystko co było do widzenia, zacząłem się przysłuchiwać rozmowie która się toczyła o *gaskonadach* Dumasa I. Całe towarzystwo jak chór z Lukrecyi Borgii, wyrzucało synowi ojcowskie nadużycia, których dopuszcza się słowem, pismem i czynem.

Dziwném ci się wyda, że w obec syna oskarżano ojca; zapewne byłobyto dziwne u nas co nazywamy wszystko po nazwisku, nie umiemy nic ukryć, zapalamy się za lada słowem tak, że każda żywiéj nas obchodząca kwestya skutkiem nadto gorącéj krwi wyradza się w kłótnię. Tutaj przeciwnie. Tu świat stary wiele trunku do rozgrzania się potrzebuje. Ludzie osłuchani z nieustanną językową szermierką która wiecznie tętni im w uszach, mówi o wszystkiem i dotyka wszystkiego — tak się przesycili, że aby rozmowę zajmującą uczynić, wyszukują właśnie najdrażliwszych materyj i na tém palącem polu wydają sobie turnieje, a raczéj polowanie z przeszkodami, zasadzające się na zręczném przeskakiwaniu przepaści egoizmu, rzek autorskiej próżności, murów godności osobistéj — wzajemném deptaniu sobie po słabiznach serca i głowy, dobywaniu się do ostatnich kryjówek uczucia. Wyjść z tego polowania tak żeby nikt nietylko kar-

ku nie skręcił, ale nawet się nie potknął — oto zadanie wyższéj rozmowy.

Zarzucano tedy Dumasowi I. że przebrał miarę bezczelności (ot widzisz, po polsku rzecz zaraz grubijaństwem trąci, po francuzku wydawała się wcale inaczéj), że w *Mousquetairze* drukuje artykuły zdolne zarumienić grenadyera staréj gwardyi, koncepta o sile trzydziestu koni — że jest tak próżny iż gotów stanąć za swym powozem aby myślano że ma negra — że się rozbiera na bulwarach — że nazajutrz po ogłoszeniu nowego utworu syna, drukuje w swym dzienniku prywatne stosunki, które dostarczyły mu farby do dzieła, przez co i jego i mnóstwo kobiet kompromituje — że zamiast mu pomagać, odbiera ostatni grosz synowi na który tenże ciężko pracuje — że dziennik Dumasa I. jest zbiorem kłamstw, przechwałek i skandali za które płacą mu po 100 fr. dziennie itd. itd.

Młody Dumas szlachetnie adwokatował sprawę ojca, zręcznie odpierał pociski skierowane przeciw swemu *wielkiemu dziecku* (tak zowie ojca).—W końcu nacierany mocno przez panią domu, która ciągle dowodziła że takie postępowanie ojca niezmiernie szkodzi synowi, odpowiedział: „Nie, pani, *car si mon père ne peut me servir d'exemple, il me sert d'excuse*".

Na téj świetnéj racy zakończył się cenzurowany. Poczęto się rozchodzić, w końcu pozostało tylko małe grono poufałych gości. Rozmowa nieznacznie stoczyła się na inny przedmiot — z wesołéj, ucinkowéj, stała się uczuciowa i smutna: poczęto żałować wygnanych i umarłych przyjaciół, wyliczać straty jakie literatura i sztuka poniosły we Francyi w ostatnich kilku latach.

— Śmierć uporczywie nas ściga, rzekł Dumas — cios pada za ciosem — gdzie się obejrzeć kogoś brakuje. Trudno już obliczyć umarłych. Abel Hugo, pełen nadziei syn naszego wieszcza — Gerard de Nerval, najgłębszy z nas wszystkich myśliciel i najgorętsza dusza — pani Houssaye, nasza śliczna perełka... pani de Girardin nasza ozdoba, nasz kolega, nasza kochana Delfina... Roqueplan, Gavarni, Pradier, Froment Meurice, David — Henryk Heine który się był duszą z nami zespolił [1]) —

---

[1]) Mylne jest, dosyć rozpowszechnione u was mniemanie, jakoby

Henryk Decan... (Usłyszawszy imie męża Lucyna nagle zwróciła oczy ku mówiącemu). Pamiętasz Teofilu co to za czysta była dusza?

— O, pamiętam! rzekł Gautier. Henryk był najpiękniejszy Francuz jakiego znałem — najczystszy wzór dla dłuta. Byronowski miał profil a czoło Goethego ocienione kędziorami kruczych włosów które nosił w tył zarzucone jak pasterz grecki.

— Epikurze! zawołał Dumas, ty zawsze do formy powracasz! Powiedz lepiéj jaki był dobry, prosty, łagodny a odważny.

— Tak, rzekła Lucyna, nieraz słyszałam o nim toż samo.

Te szczególne słowa w ustach téj która była żoną Henryka, zwróciły na nią oczy całego towarzystwa. Lucyna spostrzegłszy zdziwienie powszechne, zarumieniła się — a potém uśmiechnęła smutno i łzy stanęły jéj w oczach.

— Wydam się panu szalona, rzekła do Dumasa, ale zapewnić go mogę, że żyjąc cztéry lata z Henrykiem, nigdy go nie widziałam.

Tu już zadziwienie wszystkich doszło do najwyższego stopnia...

— Nie inaczéj — mówiła daléj Lucyna — sądziliśmy, że miłość może istnieć pomiędzy parą galerników z których każdy ciągnie swą kulę i swój łańcuch. Jest wspólne ognisko i życie rodzinne dla wyrobnika co smaruje wagony i dla żony jego co skostniałemi rękoma cały dzień sprzedaje jabłka na paryzkim bruku — ci wieczorem spotykają się gdzieś pod strychem, mogą uściskać dzieci i zjeść razem nędzną strawę — ale nie ma ani domu ani rodziny dla tych którzy są kółkami dwóch maszyn piekielnych: Dziennikarstwa i Teatru.

W chwili kiedy mi Henryk powiedział boskie słowo „kocham“, musiałam wyjść na scenę — i zamiast odpowiedzieć mu choćby milczeniem, recytować długie tyrady wtedy, kiedy serce chciało z piersi wyskoczyć.

Heine nie był lubiony tutaj. Przeciwnie, Paryżanie bardzo wysoko cenią talent jego. Za życia każdą jego nową pracę przyjmowali z oklaskami — po śmierci, najprzód *Monitor*, a potém *Presse* i *Siècle*, dwa rzeczywiste organa opinii tutejszéj, wynosiły go w nekrologu.

W dzień ślubu naszego przedstawiano pierwszy raz siedmioaktowy dramat w którym miałam najdłuższą rolę.

Kiedy nareszcie skończyła się reprezentacya, kiedy otarłszy fatalny róż z policzków, zrzuciwszy komedyancką odzież, przybiegłam do domu spodziewając się tam usłyszéć jedyną nagrodę trudu, pochwałę z ust jego i znaleźć wypoczynek w jego objęciu, zastałam Henryka obrzuconego księgami, dziennikami, broszurami, sprawozdaniami — był blady i zmęczony... spostrzegłszy że stoję przy nim, podniósł na mnie zagasłe oczy, zakaszlał... i powiedział tylko te słowa które odtąd codzień przez cztery lata słyszałam: „piszę artykuł“.

Chciałam czuwać z nim razem, dodawać mu odwagi, ale nie miałam siły — zmęczenie było silniejsze niż wszystko... Rzuciłam się na łóżko i zasnęłam snem gorączkowym, widząc przez zamknięte powieki szkaradne jakieś widma tańcujące przy czerwoném świetle lampy Henryka.

Taka była ta noc poślubna — takie życie nasze przez cztery lata: on pisał artykuły, ja uczyłam się roli albo chodziłam na próby do ciemnego, nie zamiecionego jeszcze po wczorajszéj reprezentacyi teatru, gdzie przed zaspanym suflerem trzeba było recytować wyuczoną rolę.

Kiedym wracała z próby, Henryk szedł do redakcyi na swoją próbę. Kiedy wracał, ja szłam do krawca przymierzać kostiumy — kiedym jadła obiad, on szedł do drukarni.

Drukarnia! to drugie piekło. Raz tylko w życiu byłam w drukarni, ale ujrzawszy te żelazne łańcuchy, te płyty kamienne przygotowane jakby pod trupy, te kaszty w których ręka ludzka z konwulsyjnym pośpiechem szuka kabalistycznych znaków, i te walce co obracają się jakby piekielną siłą pędzone, uczułam że ta maszyna druzgoce serca i dusze... uczułam że jesteśmy potępieni! skazani na bezsenność, na bezpłodną pracę, artykuły wstępne, feletony, korrektę, czytanie, teatralną wystawę, wieczną parodyą uczucia — na wszystko co jest kłamstwem życia lub sławy. — A jednak któż lepiéj od nas rozumie świętą poezyą natury? Zielone łąki, błękit nieba, szum lasów, szum morza i miłość, przez którą się to wszystko pojmuje!

„Ach! gdybyśmy byli wolni!“ Te były jedyne słowa

które mówiliśmy do siebie spotkawszy się na chwilę przypadkiem. Wycieczka razem za miasto w piękne okolice, chociażby na jeden dzień tylko, była naszém marzeniem— ale on umarł pierwéj... Przez cały ciąg jego konania, grałam co wieczór komedyą, a jeżlim jéj nie grała téj nocy kiedy skonał, to tylko dla tego żem na zawsze porzuciła teatr. . . . .

Zimno nam się zrobiło — każdy z tych ludzi na pozór tak świetny i szczęśliwy a w gruncie tak zmęczony i nędzny — każdy z tych nowych Prometeuszów przykuty do opoki wielkiego miasta i karmiący świat swym mózgiem — każdy z tych sławnych autorów co swą sławę tak ciężko okupują kamienną pracą i wieczną niewolą, uczuł w sercu żelazny nacisk sznellpressy.... Przed godziną wymarzona wizya szczęścia paryzkiéj artystki znikła w mych oczach jak mamidło pustyni. Pożegnaliśmy w milczeniu panią domu. Méry dopiéro w przedpokoju odzyskał mowę — i pokrywając żartami wzruszenie:

— Takie to skutki, rzekł, jeżli kto moich książek nie czyta. Gdyby była przed ślubem przeczytała *Próbę Małżeństwa*, byłaby uniknęła bankiera i dziennikarza; wszakżem tam wyraźnie powiedział: Pieniądze nie dają szczęścia, ale nie ma szczęścia bez pieniędzy.

— *Quelle chance!*—zawołał redaktor *Figara*—wkładając *crânement* kapelusz na ucho — znalazłem gotowiuteńki artykuł do jutrzejszego dziennika!

Londyn w marcu.

Tutejsze muzeum brytańskie posiada oprócz licznéj biblioteki i gabinetu zoologicznego, bogaty zbiór zabytków sztuki i starożytności. Jak przed kilku laty przedmiotem ciekawości były w niém zabytki starożytności greckiéj i egipskiéj, tak teraz ciekawość jest zwrócona na pomniki przywiezione z Niniwy. Dwa obszerne pokoje niewystarczają na pomieszczenie ich, bo coraz więcéj ich przybywa i publiczność licznie zgromadza się, by oglądać te pamiątki sztuki asyryjskiéj tak różniącéj się w swych utworach od egipskiéj, greckiéj i rzymskiéj. Składają się one po większéj części z rzeźb na wielkich

płytach kamienia, wyobrażających historyczne wypadki, obrzędy religijne i narodowe zwyczaje,— wszystko to nieposledniéj roboty, rysunku i wykonania. Szczególniéj widać to z dwóch zabytków, które świéżo do Muzeum sprowadzono. Dwa z nich wyobrażają łowy; ale łowy niepospolite, bo królewskie — łowy na lwy. Na jednym widać króla siedzącego na rumaku, jak włócznią przebija paszczę lwu, tak iż ostrze włóczni na wylot przez grzbiet zwierza przechodzi; gdy zarazem przyskakując drugi lew, ugodzony kilku strzałami i rozjuszony wpada na tylnego konia, którego król za sobą prowadzi. Pomimo tego napadu przez jednego lwa z tyłu a drugiego z przodu, który walczy rażony włócznią, niewidać na królu najmniejszego przestrachu,— zachowuje on spokojność i niemal obojętność; a na drugiéj rzeźbie widać go wychylającego czarę wina na znak zwycięstwa i za zdrowie królowéj. Na łowach wystawił snycerz asyryjski głowę króla przepasaną wstęgą, po łowach zaś z wysoką tyarą czyniącego libacyę. Domniemywają się z opisu przez Xenofonta, że królem tym jest Astyages. Ktokolwiek on jest, z wyobrażenia postaci jego na kamienorycie widać że był godnym następcą Nimroda, sławnego z łowów na Wschodzie. Na innych podobnych temu płytach widać zwykle królów otoczonych na łowach strażą i w tak bezpieczny sposób zabijających strzałami z łuku zwierzynę. Ubranie głowy, koni i siedzenie jest bogate i wybornie wyrobione, to ostatnie nie jest wysokie lecz płaskie — z cienkiem podesłaniem, bo wtedy bez siodeł i na oklep jeżdżono. Niewidać też nigdzie siodła ani strzemion.

Drugi płyt kamienny, wyobrażający ofiarę libacyjną króla za powrotem z łowów, szczególnie zasługuje na uwagę. Monarcha w orszaku strzelców z łukami i włóczniami za sobą, przychodzi przed ołtarz, leje czarę wina na głowy czterech lwów zabitych; a na ołtarzu położono ozór i szczęki lwie. Z przeciwnéj strony gra muzyka na instrumencie z kształtu podobnym do cymbałów i uderzanym po strunach patyczkami. Z tejże strony wznosi się wielka jeszcze ilość innéj ubitéj zwierzyny. Na tym płycie kamiennym znajdują się nadto wyrytowane różne sceny jakie zdarzyły się na tych łowach: na jednéj wystawiony król jak uderza lwa maczugą,

w drugich jak przeszywa go włócznią lub kindżałem. Jest także wyobrażenie klatki, zkąd lwy żywcem wzięte, są wypuszczane na wolność. U wierzchu nad tem wszystkiem stoi długi trzywierszowy napis, literami kliniastemi (cuneiform), zawierający opis tych powyższych scen łowieckich. Decyfrował go p. Hincks — brzmi on następnie: „Jam Assur-bani-bal, król tych krain, król „Asyryi, którego Assur i Dżirbanit powitali uprzejmie „na tych rozległych dolinach. Ubiłem tu sześćdziesiąt „potężnych lwów i wzniosłem nad niemi on drewniany „ołtarz dla Iszatara, naczelnika strzelców. Lałem na nich „libacyę. Zabiłem kozła na ofiarę.“

Jakkolwiek ten napis z treści swéj zdaje się błahym i nieodpowiadającym naszemu oczekiwaniu, rzuca on przecież światło na dzieje, obyczaje i zabawy epoki na półtrzecia tysiąca lat od nas odległéj, a z któréj tak mało dochowało się historycznych pamiątek. Pytam się przeto, czy lekceważylibyśmy sami jaki choćby najlichszy zabytek, któryby się dał odkryć na równinach naszéj ziemi, a sięgał czasów bądź naszych Bolesławów, bądź Gedymina? O ileżto wyżéj muszą być cenione owe zabytki z miejsc tak pamiętnych wypadkami jak Babilon i Niniwa, a które znad pogranicza historyi świata po tylu wiekach odgrzebane zostały. Na kilkanaście stóp leżały one w gruzach ziemią przywalone, a gruzy były ogorzałe ogniem. Jakież to musiało być zburzenie Niniwy! Nawet zburzenie Sebastopola mu niewyrówna.

Trzeci płyt kamienny, odgrzebany równie jak dwa poprzednie w pałacu zwanym Assur-bani-bala wystawiał trzodę bydła rogatego gnaną przez pasterza. Lecz ten zabytek, który z wielu innemi przeznaczony był do Luwru w darze dla Francyi, na nieszczęście zatonął z okrętem na rzecze Tygrze. Muzeum posiada tylko jego rysnnek, jakoteż do 150 innych rysunków przez p. Boucher, zdjęty na miejscu przed odpłynieniem okrętu. Te zatem już stracone na zawsze dla badaczów starożytności i dziejów sztuki rytowniczéj na Wschodzie *). Z rysunków tych pozostałych, pomimo sztywności i nie-

*) Według późniejszych doniesień, prawie już wszystkie paki ładowne temi zabytkami dobyto z wody po ciężkiéj pracy a z wielkim kosztem. (P. Redakcyi).

ogłady rysów, widać wszakże większą nierównie siłę i wdzięk form jakie rytownictwo asyryjskie umiało nadawać lwom, bydłu i zwierzętom, aniżeli postaciom ludzkim, w czém dłóto Greków, tak zaszczytnie się odznaczyło. Z całéj téj przesyłki rozbitéj na Tygrze, uratowano wiele ozdóbek ze słoniowéj kości i innych drobniejszych rzeczy z Nimrodu, które znajdują się w zbiorach muzeum brytańskiego, i godne są widzenia. Wynalezienie i odgrzebanie tych zabytków winniśmy jedynie osobom prywatnym, a gorliwym miłośnikom starożytności. Są nimi Layard członek parlamentu i major Rawlison. Pierwszy wydał obszerny i uczony opis pomników przez siebie odkrytych, w dwóch dziełach z dołączeniem rysunków wszystkiego co się znalazło pod Babilonem i w nasypisku z gruzów Niniwy powstałem, a zarosłem trawą i zielskiem, pośród obszernéj równiny, a o którem nawet zginęła pamięć między tamtejszą ludnością arabską, która niewiedziała że tu stało niegdyś tak sławne miasto. P. Layard doznał nawet ze strony mieszkańców niemało trudności w odkopywaniu, gdyż zabobonna ludność przerażona widokiem różnych postaci ludzi i zwierząt wydobywanych na wierzch, rozumiała, że to były jakieś zaczarowane i zaklęte istoty,— wstrzymywała więc robotę, nawet groziła, aby ich na ich biedę nieodkopywał. Stroniono od samego p. Layarda mając go za czarnoksiężnika, odkrył on bowiem z pod ziemi dziwotwory, o których sami niewiedzieli ani od przodków swych niesłyszeli.

Major Rawlison w nagrodę usilności swéj w zbieraniu tych zabytków Niniwskich, których nowy transport przybył do Muzeum, wyniesiony został na szlachectwo (knight). W Anglii najwyższe stopnie wojskowe niedają jeszcze szlachectwa, trzeba je wprost z ręki królewskiéj otrzymać. Zaszczyt *Knighta* nawet jest najniższym stopniem szlachectwa, tytułem osobistym, nieprzechodzącym na potomstwo. Żonom ich jednak daje się tytuł *Lady*.

W żadnym kraju nie ma tak mało orderów i dekoracyj jak w Anglii. Wyższe rzadko się dają, chyba dla najznakomitszych osób i monarchów; więc też rzadko je widzieć można. Brak téj honorowéj oznaki a dostępniejszéj dla wszystkich klas, dał się szczególniéj uczuć podczas obecnéj wojny. To powodem było dla rządu do

ustanowienia tak zwanego *Crimean Medal*, który rozdawany jest nie tylko między angielskie wojsko, ale i francuzkich, oficerów i żołnierzy. Najnowszy z medali jest *Victoria Medal*, z bronzu w kształcie krzyża, który ma być dawany tylko w nagrodę osobistego męztwa. Za szczególniejsze zasługi dla kraju, królowa sama oznaki na nagrodę obmyśla, i taką właśnie teraz panna Nightingale przełożona sióstr angielskich przy szpitalach w Krymie, (o któréj doniosłem), zaszczyconą została. Oznaka ta niema żadnéj nazwy, ani przeznaczenia jakby ją nosić; publiczność ją nazywa klejnotem panny Nightingale (*the Nightingale Jewel*). Jest to krzyż czerwony na polu z białéj emalii, z cyfrą królowéj V. R. z dyamentów po środku; nad krzyżem korona. Z poza środka krzyża rozchodzą się promienie złote emblematu: „niebieskiéj miłości.“ Na około obiega krawędź tarczy pas czarnéj emalii — czarny kolor będąc znamieniem „Dobréj Rady“; a na téj krawędzi napis złoty: Błogosławieni są miłosierni (*Blessed are the merciful*). Po obu stronach zaś gałązki palmowe, złocisto i zielono emaliowane — mające oznaczać jéj zatrudnienia skromne i potulne, a przecie osięgające wielkie skutki przez niezmordowaną usilność; barwa zielona mająca oznaczać „przyjaźń wieczną.“ U dołu uwieszony na wstędze niebieskiéj takiéj saméj jak medalu krymskiego, napis: *Crimea*. U góry, nad tém wszystkiem, trzy gwiazdy dyamentowe. Odwrotna strona nosi w krótkich słowach — lecz w słowach najwyżéj cenionych — wyraz uczucia z jakiem ten upominek był dany: „Dla panny Florencyi Nightingale w dowód szacunku i wdzięczności za jéj starania około walecznych żołnierzy moich. Od Wiktoryi królowéj r. 1855.“

Artykuł z wielu względów ważny. „O Przemyśle krajów Austryackich na Wystawie Paryskiéj“ a w *Dodatku* styczniowym do *Czasu* umieszczony, przywodzi mi na myśl pyszne wydanie angielskie przekładu *Sakontali*, znanego zabytku starożytnego poezyi indyjskiéj, które znajdowało się także na Wystawie Paryskiéj i zwracało wtedy nie mało uwagi przez swą typografią i przepych innych ozdób księgarskich. P. Williams który tłómaczył to starodawne drama indyjskie, ofiarował był naprzód jeden jego egzemplarz Cesarzowéj Francuskiéj, a drugi

teraz ofiarował Królowéj Angielskiéj. N. N. Panie raczyły przyjąć ten dar jak najłaskawiéj; i P. Williams otrzymał w upominku od obu N. N. Pań kosztowne medale z godłami i napisami zastosowanemi do samego dzieła. Ztąd widać, iż teraz wchodzi w zwyczaj u monarchów, że za szczególniejsze zasługi przeznaczają dla zasłużonych nie ordery i dekoracye w tych czasach aż nazbyt zagęszczone, lecz osobne z własnych ich rąk pochodzące oznaki, a które tem samém bywają zaszczytniejsze. Publiczność znowu niezaniedbuje swoim sposobem oddawać czci zasługom. Umarł przeszłego roku sławny Józef Hume, od wielu lat członek parlamentu. Będąc naczelnikiem radykałów dał się we znaki niejednemu ministeryum Torysów i Whigów nietylko bezustanném wprowadzaniem do izby niższéj wniosków liberalnych od siebie, lecz nadto popieraniem wszelkich innych mających dobro powszechne na celu, a wnoszonych przez drugich patryotycznych członków. Przyczynił się on silnie do przeprowadzenia reformy parlamentu, w skutek czego, małym, podupadłym miasteczkom zwanym *rotten boroughs* odjęto prawo wyborów, a nadano je większym, ludniejszym i zamożniejszym, a które nieposiadały przywileju wysyłania od siebie członków izby prawodawczéj. Niemało zyskał na tém parlament; wlaniem weń bowiem popularnego żywiołu reprezentacya narodowa nabyła więcéj siły, wziętości i zaufania, — słowem, od lat 25 od uprzywilejowanéj kasty torysowskiéj przeszła do całego narodu. Przyczynił się też Hume do usamowolnienia katolików irlandskich i przypuszczenia katolików do zasiadania w izbie niższéj. Lecz nieprzestał on na tem: działanie to jego było wspólne z innemi; starał się on zasłynąć i zasłynął wyłączną swą zasługą. W kraju chociażby najlepiéj urządzonym napotykają się usterki i nadużycia, jedne pochodzące z winy ludzi, drugie będące skutkiem czasu. Te postanowił on uprzątnąć i kraj z nich oczyścić. Nikomu by zaś nie udało się tego dokonać bez zgłębienia przedewszystkiem finansowego stanu kraju, podatkowania i rozchodu skarbowego; do tego więc jął się naprzód — bo to było Augeasza stajnią, z którego się rozpoczął i ciągle wzrastał ów ogromny dług narodowy na jaki kraj narażony został przez brak znajomości finansowéj i marnotrawstwo rządu Torysów. Zaprowadzenie ekonomii i

oszczędność w wydatkach były nieodbicie potrzebne. Ale jak tego dokonać? Trzeba było mu wchodzić we wszystkie szczegoły i rozchód grosza publicznego — wertować prawie całą historyą rocznych budżetów — wydatki na wojsko, flotę i różne ich zakłady — na listę cywilną — na płace oficerów, urzędników czynnych i mnóstwa nieczynnych (sinecures); a wszędzie obcinać, przyganiać Ministrom rozrzutność, obrażać na się pojedyncze osoby interesowane i nawet całe klasy. Uważano go długo za burzyciela ustalonego porządku — ledwie nie za plagę przypuszczoną na kraj — a imienia jego w wyższych towarzystwach nie godziło się nawet wspomnieć. Szczególnie między wojskowymi były na niego sarkania za zmniejszenie wydatków na siłę zbrojną w ich wydziale; jakoż po dziś dzień jeszcze wielu przypisuje mu winę tego, że wojsko angielskie nieokazało się na wyprawie Krymskiéj w takim stanie doskonałości, w jakim przy mniejszéj oszczędności być by mogło. Jestto jedyny zarzut co mu się czyni, ale i ten jest bezzasadny; bo żołnierz angielski jak najlepiéj jest płatny i bitny — wojsko potrzebuje jedynie odmiennéj organizacyi w składzie oficerów. Z tą organizacyą niemiał Hume nic do czynienia, i jako cywilny człowiek nigdy jéj też nie dotykał. Rząd aż dopiéro obecnie na niéj się poznał i zamyśla o zaprowadzeniu zmiany. Tyle o tym znakomitym mężu za jego życia, teraz dodam o usposobieniu narodu dla niego po jego zejściu.

Jest dość upowszechnione przysłowie, że w polityce niemasz przyjaźni. Wyrazy te nie tyczą się jedynie ludzi stanu wszelkiego rzędu, ale rozciągają się zarówno do zasiadających na tronach, bo i o nich mawia się, że między królami niezna się pokrewieństwa. Jakoż dzieje świata poświadczają, że tak istotnie bywa. W powyższym jednak razie, to jest, o ile tyczy się Józefa Hume, prawda tego przysłowia, (na cześć dla ludzkości należy wyznać) otrzymała jak najchlubniejsze dla niego zaprzeczenie. Uznano wielkość zasług jego jako godnego reprezentanta na narodowych obradach. Dowodem tego widzieliśmy niedawno wielki meeting w Londynie, na uczczenie jego zasług. Zeszli się nań liczni jego przyjaciele równie jak przeciwnicy, których on miał wielu za życia tak w parlamencie jak i w całym kraju —

zeszli się mężowie stanu z różnych stronnictw politycznych — mnóstwo ludzi prywatnych — i prezydował na zgromadzeniu hr. Fortescue, mąż wielkiéj wziętości w kraju, jeden z byłych ministrów rządu whigowskiego. Po wyliczeniu w swéj mowie zasług Józefa Hume dla kraju, i po kilku mowach osób obecnych które były świadkami jego prac i usilności za życia, a z których każdy miał co nowego dodać na jego pochwałę i uwielbienie jego pamięci, przystąpiono w końcu do głównéj kwestyi i celu, w jakim meeting był zwołany — mianowicie, jakimby pomnikiem uczcić pamięć zmarłego? Zgodzono się na wzniesienie mu statuy, to jest na największy pomnik jaki naród dla zasłużeńszych mężów dać może; bo posągów nie stawiają chyba dla największych ludzi. Na temże posiedzeniu rozpoczęto natychmiast składkę na pomnik i ustanowiono komitet do zbierania jéj po całym kraju. Zapyta się kto może: kim był ów Józef Hume z urodzenia? z jakiéj familii i czy bogatéj? Na to odpowiedź, że nie pochodził ani ze szlachty ani z bogaczy. Ojciec go był za młodu odumarł, a matka będąc ubogą wdową siadywała w jedném z miast szkockich na rynku jako przekupka owoców. Zdarzyło się, że dnia jednego młody książe de Montrose, przechodząc przez rynek, czy przypadkiem, czyli jak mówią raczéj z pustoty (bo znany był z wesołego humoru) wywrócił stragan z owocami ubogiéj wdowy i naraził ją na szkodę. Wynagrodził on jéj wprawdzie — i nawet sowicie. Co więcéj, dowiedziawszy się że była wdową, matką kilkorga dzieci, tknięty żalem poszedł sam do jéj mieszkania aby ją przeprosić, i tam widział jéj dzieci. W rozmowie z matką i z dziatwą upodobał sobie najstarszego z nich Józefa i przyrzekł matce swą opiekę nad nim. Oddał go potém na swój koszt do szkół a następnie posłał na uniwersytet do Edinburga. Młody Józef Hume obrał zawód lekarski, i po ukończeniu nauk medycznych w téj wówczas sławnéj szkole, udał się jako lekarz wojskowy do Indyj Wschodnich. Tam miał obszerną praktykę i w przeciągu kilkunastu lat znacznego dorobił się majątku. Zabezpieczywszy sobie zupełną niepodległość, wrócił do kraju i niedługo obrany był na członka do parlamentu z Montrose, posiadłości tego samego księcia, a szlachetnego opiekuna swego.

Późniéj co siedm lat bywał ciągle z tego miejsca obierany, i głosu członka z Montrose słuchano w parlamencie przez znaczny przeciąg czasu aż do jego zejścia, jakoby wyroczni. Nie słynął on tyle wymową, co mocą rozumowania; i biorąc tok spraw pod rozbiór zdrowego rozsądku — téj nieprzełamanéj zasady filozofii szkoły szkockiéj — jak taranem kruszył nadużycia zagęszczone w kraju. A że ciężko było je zwalać, a niczém nie dał się odwrócić w uporczywości swojéj, dla tego téż nazywany był *wołem* parlamentowym. Za jego życia stronnictwo radykalne miało wiele powagi i wzięcia; on je mu nadawał. Lord Dudley Stuart, który świetnie rozpoczynał swój zawód parlamentowy, z nim się łączył i uznawał go za swego naczelnika. Stronnictwo to, po zejściu ich obu znacznie zmalało. Dowodzą w niém Roebuck, Cobden i Bright; dwaj ostatni jedynie materyalnemi i handlowemi przedmiotami zajęci; wszelkie szlachetniejsze i wyższe cele są dla nich obce, niezrozumiałe. I to jeszcze na niepospolitą zaletę Huma należy dodać, że nie przyjął i nigdy nie żądał żadnéj posady od rządu, acz w tym względzie posiadał wielorakie i niezaprzeczone przymioty; a to jedynie dla tego, żeby przez przyjęcie urzędu nie utracił swéj niezawisłości i nie naruszył w niczém dawnych swych zasad.

Uważam, że popęd do oddawania czci znakomitym z zasług mężom coraz bardziéj wzmaga się w narodzie angielskim. Nie dawno hr. Harrington wprowadził wniosek do izby lordów, aby utworzyć Narodową Galeryą (*National Gallery*) na umieszczenie wizerunków i portretów sławnych w kraju ludzi. Izba przyjęła ten wniosek z upodobaniem, i w skutku tego adres był podany do królowéj. N. Pani dała już lordom odpowiedź przez margrabiego Bendalbane, że ten projekt zyskał jéj aprobatę i wydany już jest rozkaz do rozpatrzenia się w nim i przyprowadzenia go do skutku.

Ta sama cześć i poszanowanie rozciąga się i do grobów angielskich w Krymie. Polegli tam jenerałowie Catheart, Strangways, i wielu innych, którzy acz niżsi rangą — jak p. Fergusson się wyraził w izbie niższéj — polegli przecie jako na walecznych przystało, niemniéj bohaterskim zgonem — a z nimi serca i nadzieje wielu z nas są pochowane. Przywiódł on na pamięć szlache-

tny czyn Soulta z wojny hiszpańskiéj, który sam wzniósł pomnik dla poległego ich jenerała Moore pod Koruną; lecz wątpił, żeby podobnego uszanowania doznały popioły walecznych mężów od klęskami rozjątrzonéj ludności krymskiéj; pytał przeto i nalegał na ministrów, aby z swéj strony przedsięwzięli kroki (na przypadek odstąpienia Krymu) zabezpieczające groby angielskie od znieważenia. Lord Palmerston na to: „Przedmiot ten na który szanowny Baronet obecnie zwrócił uwagę, ani wątpić że trafi do serca każdego; i jak najuroczyściéj ręczę, że nie będzie on pominięty w teraźniejszych umowach o pokój. Nie spodziewam się bynajmniéj tego, żeby rząd rosyjski mógł robić trudności w daniu z swéj strony potrzebnych zaręczeń, aby groby i nagrobki naszych walecznych rodaków, co życie swe poświęcili na pobojowiskach w Krymie, nie miały zasługiwać na równe uszanowanie jakiego doznają mogiły takich mężów w innych oświeconych krajach. Nie sądźmy z taką ujmą dla Rosyan jakoby ta wojna prowadzona była przez nich z zupełném zapomnieniem rycerskiéj oględności. Piękny i pełen ludzkości przykład dali oni z siebie postępowaniem swém względem mężnéj załogi w Kars po poddaniu się téj warowni. Zwyciężeni doświadczyli tam wszelkiéj wspaniałomyślności od zwycięzców. Kiedy postępowanie ich było takie dla żyjących, nie ma przeto obawy, żeby miało być inném i ubliżającém dla umarłych. Powtórnie upewniam izbę, iż rząd N. Pani będzie to miał na pilném baczeniu“.

Radbym jeszcze wam donieść o przedmiocie z powszechną oświatą związek mającym, to jest o wprowadzeniu do parlamentu przez lorda Johna Russell nader ważnego wniosku o *edukacyi* niższych klas społeczeństwa czyli o szkółkach elementarnych. Brak ich i urządzenia dotychczasowe mało odpowiadały potrzebie uczących się i postępom czasu. Liczba tych szkółek ma być powiększoną i mają one zostawać pod dozorem rządowym. Największa trudność wszakże zachodzi w tém, czyli mają być oddane pod zwierzchniczy dozór i system uczenia świeckiéj czy duchownéj władzy. Dotychczas kierunek władzy duchownéj, osobliwie kościoła anglikańskiego, był w nich przeważający — co przy tylu innych wyznaniach różnowierczych istniejących w Anglii

wielom się nie podoba. Zanosi się więc na wielką walkę między władzą świecką a roszczeniami duchowieństwa — na podobną walkę, jaką za dawnych czasów w Polsce Wszechnica Krakowska i Akademia Zamojska prowadziły, i jaka późniéj za panowania króla Stanisława toczyła się, dopóki komissya edukacyjna nie przemogła na oddanie wychowania narodowego w ręce świeckie. Lecz ponieważ ta sprawa zostaje jeszcze w samym zawiązku, więc odkładam ją na czas dalszy; niech się więcéj rozwinie. Dodaję tylko, że nowy wydział ministeryalny został utworzony, który ma ją należycie rozwinąć.

Dowiadujemy się z Rzymu, że X. Dżunkowski (może Dzwonkowski) który był przeszedł z kościoła rosyjsko-greckiego na wiarę katolicką, wysłany ztamtąd został jako przełożony misyi do krajów pod północnym biegunem leżących. Za zgodą kardynałów na radzie w tym celu zwołanéj, ks. Dżunkowski przeznaczony był na to posłannictwo z zapomogą 25,000 franków rocznie na potrzeby missyi.

Rzym w marcu.

Kiedy w ostatnim moim liście nie wspomniałem ani słowa o teatrze, tem chętniej to dzisiaj uczynię, żeby was nie nudzić postną jedynie korespondencyą. Zakończono, *la stagione di carnevale*, operami: *L' Ebnèo* Apolloniego i *La Violetta* Verdego. Nie zatrzymuję się nad tym pierwszym utworem, bo muzyka bardzo słaba i żywcem kradziona z Verdego. Po kilku reprezentacyach musiano zaprzestać, i potem do samego popielca już nic innego nie przedstawiano, jak Violettę. Na to imię Violetta, pomyślicie może, iż to zupełnie nowe dzieło Verdego, a jednak rzecz ma się wcale inaczej. Trzeba wam wiedzieć, że tu w Rzymie, ostrym stróżem *mores*, jest Kardynał Wikary, który jak najściślej wypełnia swój obowiązek cenzora. I ztąd wszystkie prawie opery noszą inny tytuł niż w oryginale. Pojmuję więc, dla czego Lukrecyą Borgię ochrzcili *Luisa Fosco*, skoro byli papieże tego nazwiska i jeszcze są podobno potomkowie pamiętnej rodziny Borgiów. Dam sobie

nawet wytłomaczyć, dla czego Normę przezwali *La Foresta d'Irminsul;* ale się pytam wielebnego Biskupa Albańskiego Księdza Patrizi, teraźniejszego Kardynała Wikarego, dla czego *la Traviata*, przezwana Violettą, kiedy sam tytuł *La Traviata*, zawiera w sobie sens moralny. Nareszcie czemu ją nazwać Violetta? Czy dla tego że lubiła kamelie? Zresztą kiedy Kardynał pozwolił rok temu przedstawiać w teatrze francuskim komedye Aleksandra Dumasa syna: *La Dame aux Camelias* i *Le dèmi monde* i nie ustępujące takowym w moralności: *Les trois èpiciers* i *Les filles de marbre*, czemuż więc to, czego bez zgrozy można było słuchać w prozie, nagle staje się gorszącem w muzyce? To zadanie czeka wytłómaczenia. — Z tych ciągłych zmian wynikają najzabawniejsze *quiproquo*. Widziałem Anglika wielkiego *dilettanti* i wielbiciela Belliniego, który dopiero co tu przyjechawszy, nie mógł się dość nacieszyć, że będzie słyszał nową operę Belliniego, o której istnieniu nawet się nie domyślał. Przedstawiano tego dnia *La Foresta d'Irminsul*, czyli Normę. Nasz Albiończyk był jednym z pierwszych w teatrze i gdy grać zaczęto, dało się widzieć na jego twarzy najprzód podziwienie a potem zgorszenie, że się Bellini mógł tak bardzo powtarzać. Sąsiad jego wytłómaczył mu dopiéro, co to jest *La Foresta d'Irminsul* i kto był Kardynał Wikary. Wyszedł Anglik, przysięgając, że jego noga nigdy nie postanie w żadnym teatrze we Włoszech. Przez ostatnie piętnaście dni karnawału dawano niemal co dzień *Traviatę*. De Giuli i Coletti odśpiewali i odegrali role swoje prawdziwie po mistrzowsku. Duet ich w trzecim akcie, był zawsze okryty oklaskami bez końca, ale dopiero gdy Coletti swoim pięknym i czystym jak łza barytonowym głosem śpiewał aryą:

„Di Provenza il mare il suol
„Chi dal cor ti cancellò“

to przyprowadzał Rzymianów do prawdziwej wściekłości. Ta arya dziwnie przypomina ostatnią myśl Webera. Tenor Negrini nie dotrzymał tego co obiecywał w *Trovatore*. Tak nazwana wiosenna opera w teatrze *Argentina*, rozpocznie się niebawem po świętach Wielkanoc-

nych. Zatrzymano De Giuli i Colettego, a przybyć mają pono Colini bas i tenor Fraschini. Obiecują nam „Roberta Diabła,“ „Nieszpory Sycylijskie“ i „Marino Faliero“. Pierwszy raz dadzą w państwie Papiezkiem, Roberta Diabła. Wszyscy ciekawi bardzo, jak Kardynał Wikary ochrzci ten płód Meyerbeera. Trudna to będzie sprawa, bo diabeł nie lubi wody święconej. —

W wielkim świecie, po karnawałowych balach nastąpiły dość smutne rauty i muzykalne wieczory. Najświetniejsze były u księżnej Lancellotti i w ambasadzie toskańskiej u margrabiego Bargagli. I tu w Rzymie wchodzi w modę zapraszać dwa razy tyle osób, ile się po salonach zmieścić może. I tak u posła Toskańskiego tyle było gości, że mimo wielkiego lokalu, połowa osób zostawała w przedpokojach i na schodach. Wiedząc o tem, poszedłem wczas, ale mię spotkał gorszy los jeszcze — nie mogłem bowiem już wcale wyjść. Do tego trzeba dodać, że toalety płci pięknej, w których krenolina gra tak wielką rolę, zabierają dwa razy tyle miejsca co dawniej. Spodnice pięknych dam są takiej obiętości, że nie masz dość szerokich drzwi i dość długich kanap. Mamy cotygodniowe rauty u księstwa Doriów, Borghese, Marino Torlonia i u jenerała francuskiego de Montréal. Dość wiele hałasu narobiło w eleganckim świecie przybycie bardzo pięknej Rossyanki pani Keller. Lwice tutejsze, których natura ta sama co lwic innych stolic, gotują się do walki. Zakłady już otwarte, a chociaż trzymam stronę czarnobrewych rzymianek, to mam przeczucie, że i my będziem mieli naszą Novarrę lub Almę. Ale kiedy wam piszę o lwicach, przypomnę, że donosiłem przeszłego miesiąca na pół-oficyalnie o pobycie w Neapolu gwiazdy północnej. Dzisiaj mógłbym to umieścić w monitorze „*comme un fait acompli*“ i dodać, że blask gwiazdy przyciągnął do niej z wielu obcych krajów ćmy, motyle i różnego gatunku owady; a kraj nasz zawsze skory do oddawania hołdu piękności, wysłał na ten kongres jednego z brzęczących wujaszków naszych wieczorów letnich. —

Mówiąc o kongresie, przychodzi mi na myśl, że w ten dzień kiedy tu przyszła telegraficzna wiadomość o formalnem wykluczeniu Prus, dawano w ambasadzie pruskiej w pałacu Cafarelli, koncert na korzyść jakiegoś

skrzypka z Berlina. Wychodzący z tamtąd pewien oficer francuski, zapytany od przyjaciela czy kto tam śpiewał, odrzekł: *Mais oui, un Prussien y a chanté:*

„*O Richard! Oh mon Roi, l'univers t'abandonne!*" —

W tych dniach wyjechała ztąd do Bawaryi pani hr. Spaur, a kiedy się nią zajmował nawet wasz dziennik, twierdząc że idzie za mąż za posła pruskiego barona Canitz, muszę tę rzecz sprostować i wyjaśnić. Pani hr. Spaur ma lat czterdzieści i ośm, przeszła te chwile w których się jeszcze myśli o miodowych miesiącach; osoba wysokiego wykształcenia i rozumu, poświęca się jedynie wychowaniu syna, który właśnie kończy uniwersytet w Monachium. Złe języki w Rzymie twierdzą jednak, że się jej nie tylko oświadczył baron Canitz, ale nawet pewien ex-król i że się nasza wdówka nie może zdecydować, wachając się ciągle między starym królem, a jeszcze dość czerstwym ministrem. Byli tacy, co jej radzili pójść za króla, a z barona zrobić swego ministra i przyjaciela domu. Ale jeszcze raz powtarzam, są to tylko plotki. — Przed kilku dniami przybył tu książe Del Drago ożeniony niedawno w Paryżu z księżną Munoz-Rianzarès, córką królowej Krystyny.

Z nowin artystyczno-literackich, mogę wam tylko tyle donieść: że p. Tito Cardelli pracuje w tej chwili pod dozorem jednego z naszych rodaków, nad *libretto* do Konrada Walenroda. Po ukończeniu przesłanem ono zostanie natychmiast Verdemu, który podobno już przyrzekł dorobić muzykę. W pracowni Henryka Stattlera widzieliśmy posąg Mickiewicza tylko co wyszły z formy, o którym w swoim czasie artyści wydadzą sąd zasłużony i dla tego nie śmiąc niekompetentnie wyrokować do chwili ukończenia w marmurze, odkładamy ciekawość naszych czytelników na później. — Malarz berliński Cornelius wykończył i wysłał swoją robotę. Obraz jego przedstawia oczekiwanie Sądu Ostatecznego. Ciekawem jest, jak artysta z zadania swego się wywiązał. Największy ruch widać po za światem realnym, w obłokach i przed Majestatem Bożym. Na ziemi kilka figur ma myśli tej odpowiadać. Nie ma tam, jak to powiedziane jest w Ewangelii o czasach poprzedzających dzień

ostateczny, całego społeczeństwa w poruszeniu i w obawie; ale jedynie król pruski i filozofia niemiecka. Rozumie się że król z familią, w uniformie gwardyi, najspokojniej oczekuje nadchodzącego dnia. Ależ za to między filozofami — jaka burza — jaki popłoch! Grupa stojących w płaszczach mocno udrapowanych, chwieje się, czując nadchodzące bicze. I trwogi te nie nadaremne, widać albowiem po ich stronie schodzących *w pruskich hełmach* (sic) aniołów kary, niosących miecze i wagi sprawiedliwości. Po stronie królewskiej, aniołowie prowadzą wiernych poddanych, dobrych prusaków po drabinie błękitnej, *ganz langsam*, w górę. Co ma za znaczenie w kompozycyi przedstawienie w taki sposób drabiny Jakóbowej, po której wchodzili i schodzili aniołowie, nie domyślam się — chyba że to nowy systemacik katolicko-filozoficzno-berliński. Dalej co ciekawego, to mitologiczne-bóstwa, jako to: Ceres, a zdaje mi się że i Fortuna z rogiem obfitości. Co to ma znaczyć w obrazie taka zagadka? Ale jeżeli na ziemi widzimy pewne niedostatki w kompozycyi, to i w powietrzu wielebyśmy znaleść mogli do wymówienia artyście. A mianowicie: czemu na jednej linii i w jednej odległości postawił Matkę Zbawiciela i Jana na puszczy? Dwie te figury wysunięte i bez łączności z Chrystusem, a mianowicie Marya Panna, razi dziwactwem pomysłu sprzecznym z wiarą, wedle której pewność mamy, iż Matka Chrystusowa po prawicy Jego zasiadła. Ale to także musi być jakaś myśl głęboka — tylko mocno zakryta. Robota ta, na żądanie króla pruskiego wykonana, może być, iż ze strony artystycznej rysunku, grupowania i światła, ma wielkie zalety, o tem nie poważam się wyrokować. Kompozycyją przedstawiłem wam tak jak jest, bez żadnej przesady. Cornelius wypowiedział się dość jasno i oczekuje sądu, który go w Berlinie zapewne po prawicy ministeryalnej postawi. —

O wystawie obrazów na *Piazza del Popolo* będę pisał późniéj, gdyż dotąd artyści nie wystawili wszystkich robót. W przyszłym moim liście wspomnę także o kaznodziejach, którzy wykładali naukę podczas postu i nad którymi będę się musiał troszkę dłużéj zatrzymać.

Ze zbliżającemi się Świętami Wielkanocnemi, powiększa się co dzień nasza kolonia polska. Przybyli: pani

Iwanowska, panowie, jenerał Szymanowski, margrabia Wielopolski, hr. Ksaw. Branicki, Józef Zaleski i ksiądz kanonik Lasocki. Oczekiwani są pani Szwajkowska i hr. Aleksandrowie Braniccy.

Warszawa w marcu.

Przedewszystkiem notuję wam ruch niezwykły w naszem perjodycznėm piśmiennictwie o którym wiecie już zapewnie częściowo; niezawadzi jednakże bliżėj was z nim nieco zaznajomić.

Otworzyła się tu bardzo silna konkurencya pomiędzy trzema pismami codziennemi: *Gazetą Warszawską*, *Gazetą Codzienną* i *Dziennikiem Warszawskim*. (Wymieniam je podług starszeństwa wieku).

Gazeta Warszawska najdawniejsza, co zaświadcza metryka jėj (lat 92) jaką z pewną pompatycznością wydrukowała na tytule, stoi najlepiėj pod względem materyalnym. Prenumeratorów na prowincyi ma około 4000, w Warszawie zaś mniėj więcėj 1000, co razem stanowi 5000, ogromną, bezprzykładną prawie liczbę jak na pismo w kraju naszym wychodzące. Winna to po części pojawieniu się *Dziennika Warszawskiego* który w samą porę dodał jėj bodźca, a może posłużył za przykład staranniejszego redagowania. Od powstania *Dziennika* to jest od r. 1851, *Gazeta Warszawska* z 1200 prenumeratorów poskoczyła na 5000, co winna jakiėjś sympatyi publicznėj niewyrozumowanėj tak jak wszystkie sympatye. *Gazecie Warszawskiėj* niejednokrotnie uchodziło to coby na inne organa ściągnęło ukamienowanie przez opinię publiczną. Najniepopularniejszy artykuł w niėj drukowany przejdzie niedostrzeżony; ostra a nawet niesłuszna krytyka, polemika przechodząca miarę licencyi piśmienniczėj, szykana nawet, wszystko ujdzie w tem piśmie. Prawda, że Redakcya *Gazety Warszawskiėj* posiada niezwykłą przenikliwość w postępowaniu, zna wybornie publiczność tutejszą i umie jėj dogodzić. Jeżeli poszukuje artykułów jakiego autora i drogo za nie płaci, z pewnością ten autor jest ulubieńcem publiczności, jeżeli przeciwnie, występuje przeciwko jakiemu indywiduum z ostrą

krytyką, zaprawną wyrażeniami żółciowemi, czasem niegrzecznemi i gryzącemi dowcipami, z pewnością indywiduum to utraca swoją popularność, i *Gazeta Warszawska* przeczuła najstósowniejszą porę do wystąpienia przeciwko niemu. Mieliśmy tego, że nie przytoczę wielu innych przykładów, dowody, niegdyś na Halpertowéj, potem na Drze Trypplinie, na *Dzienniku Warszawskim*, na niektórych malarzach itp. Obecnie wszelkiemi siłami, *unguibus et rostro* walczy przeciw *Kurjerowi Warszawskiemu*, który jedyny z pism codziennych warszawskich co do liczby prenumeratorów może z nią iść w zawody, ba nawet przewyższa ją, ma bowiem prenumeratorów na prowincyi 2000, w Warszawie zaś 4000, razem 6000. Ale nie jestto walka otwarta, szczera, ale raczéj podjazdowa, pokątna, w któréj główną rolę grają dowcipy, wyśmiewanie się i ironia. *Gazeta Warszawska* wyrzuca *Kurjerowi* to co właśnie jego wzięcie stanowi, to jest drobnostkowość, bezbarwność, brak najzupełniejszy sądu i tysiące różnych niekonsekwencyj. Jest w tém wiele prawdy, ale *Kurjer* gdyby zapragnął być innym, upadłby niewątpliwie. Bronił się on z początku wymownem milczeniem, ale teraz odstępując od swéj zasady umieszcza od czasu do czasu artykuliki, niby odpowiedzi, i gorąco proteguje inne pisma zachowując milczenie o działaniach *Gazety Warszawskiéj*. Złośliwi utrzymują, iż tej ostatniej solą w oku są doniesienia których nie wiem dla czego *Kurjer* posiada monopol. Bądź co bądź, *Gazeta Warszawska* atakując zwykle to co słabe i mało może przedstawić oporu, albo co utraca swoją popularność, nie porwie się nigdy na takie nazwiska jak Kraszewski, Korzeniowski, Syrokomla itp. Dla tych panów śpiewa ona wieczny hymn pochwały, bez względu na wartość tego co napiszą, i w tém także umie dogodzić usposobieniu większości. — Hołdując temu usposobieniu zamiast kierowania niém, co w nader pomyślnym stanie w jakim się to pismo znajduje obecnie, mogła i powinnaby uczynić, dała ona nieraz bardzo niewłaściwy popęd dziennikarstwu, naprzykład umieszczaniem długich, kilkotomowych powieści w feljetonie, brakiem sprawiedliwéj i bezstronnéj krytyki, podawaniem utworów samych wziętych autorów, a zamknięciem bezwarunkowém kolumn swoich dla młodych nieznanych

zdolności itp. Wszakżeż zyski z dogadzania gustom publiczności nie koniecznie powinny być zasadą działań redakcyi pisma codziennego; są inne pożyteczniejsze, świętsze zwłaszcza u nas cele. W każdym jednak razie, *Gazecie Warszawskiéj* trzeba oddać sprawiedliwość, że silnie, umiejętnie rozwinęła część literacką, chociaż tam własnéj pracy redakcyi nie wiele a za to więcéj obcego wpływu widzimy.

Redakcyę *Gazety Warszawskiéj* składają: Antoni Lesznowski główny redaktor, którego recenzye teatralne wielki niegdyś miały mir u publiczności, dziś o ile mi wiadomo, od lat kilku kieruje tylko, lecz sam nie pisze do Gazety. — Koenig Józef redaguje część polityczną, pisze recenzye artystyczne i niekiedy artykuły czasowe.— Niewiarowski Aleksander autor kilku powieści. — Wite Karol organ krytyczny Gazety. — Patie Konstanty redaktor *Korespondenta rolniczego*. Reszta spółpracowników nienależących stale do składu redakcyi znana wam z podpisów.

Gazeta Codzienna stoi obecnie na 800 prenumeratorach, biorąc ogólną liczbę z prowincyi i Warszawy. Niegdyś miała ich przeszło 3000; liczba ta malała ciagle z wzrastającem współzawodnictwem pism peryodycznych; gazeta ta bowiem nie umiała z innemi w równym trzymać się postępie. Brakowało jéj dawniéj najważniejszéj rzeczy — Redaktorów. Przed dwoma dopiero laty hr. Aleksander Przeździecki przybrawszy w pomoc kilku akcyonaryuszów, nabył to pismo na własność, lecz pomimo różnych zmian korzystnych, liczba prenumeratorów zmniejszała się ciągle. *Gazeta Codzienna* nie mogła się wyleczyć z owéj kardynalnéj wady którą wymieniłem: Redaktorowie jedni po drugich zmieniali się, widać tam było dobre chęci a nawet starania, ale cóż kiedy wszystko szło bez systematu, bez porządku, bez koniecznéj znajomości potrzeb czytelników. Obecnie powiększyła ona swój format i idzie rzeczywiście w górę. Właściciel jéj, chociaż nie wątpię że traci ciągle, materyalnie rzeczy biorąc, nie cofa się przed poświęceniami wszelkiego rodzaju, ogłoszenia umieszcza darmo i nabywa coraz więcéj współpracowników z należytem wykształceniem. Radbym szczerze, aby *Gazeta Codzienna* najlepszego używała powodzenia, bo szkoda pisma, a u nas

nie łatwo o nie. Jeśliby jéj wolno dać radę, to powiem, aby przez wzgląd na czytelników, trzymała pewną miarę w artykułach archeologicznych i filozofii Hegla lub w jakichś ćwiczeniach gramatycznych. Zapominać nie trzeba, że podobne artykuły mało bywają czytane; radziłbym jéj także staranniejszy czynić wybór artykułów feljetonowych, bo czyż takie powieści jak „Życie na żart“ albo wychodząca obecnie „Maskarada w obłokach“ mogą się zgadzać z kierunkiem pisma takiego jakiem chce być *Gazeta Codzienna*. Ostatnia ta zwłaszcza powieść najniefortunniéj nazwana fantastyczną, chyba dla tego, że jest zbiorem najniepodobniejszych do prawdy wydarzeń, zebranych nadto z utworów obcych literatur, osnutych na intrydze najmateryalniejszego romansu w łódce balonowéj, nie może przynieść chluby ani dziennikowi ani literaturze.

Redaktorem *Gazety Codziennéj* został obecnie Franciszek Dmóchowski. Spodziewaćby się należało, że z tém nazwiskiem literaturę klasyczną przypominającém, publiczność ujrzy staranny wybór artykułów, odpowiedni odrodzeniu pisma i niezaprzeczonego w niem postępu. Krytyczną część Gazety obrabia p. Lewestam, którego czysto racyonalne stanowisko niewiem jak się zgodzi z duchem głośno przez Redakcyę wyznawanym.

Dziennik Warszawski w trzecim stawiam rzędzie, bo najpóźniejszy datą urodzenia. Założył go Henryk hr. Rzewuski, wówczas, kiedy nikt inny oprócz niego nie otrzymałby konsensu na nowe pismo. — Zewnętrznym kształtem i układem odróżnił on się zaraz od swoich poprzedników, co połączone z ponętą nowości tak silnie w nas działającą, zjednało od razu nowemu pismu przeszło dwa tysiące prenumeratorów. Ale stan taki rzeczy nie mógł się długo utrzymać. Hrabia Rzewuski pomimo niezaprzeczonego talentu literackiego i zasług Soplicowskich, był wielce niepopularnym, ku czemu przeważnie sam dopomagał publikacyami obrażającemi sympatye ogólne, dowcipami i sofizmatami rzucanemi w potocznéj mowie na prawo i na lewo, które nieprzyjaciele jego podnosili, przekształcali i rozgłaszali, wzniecając coraz większą przeciw niemu niechęć. *Gazeta Warszawska* widząc obok siebie niebezpiecznego współzawodnika, otrząsnęła się z letargu, wzmogła się na siłach,

i zaczęła tak w Warszawie jak i na prowincyi robić silną propagandę przeciw *Dziennikowi*, starając się wpoić w większość mniemanie, iż pismo to szkodliwe ma dążności. Z takiego zarzutu uczynionego komuś, choćby ten zarzut był potwarzą, trudno się obmyć z powodu czystéj niemożności przytoczenia dowodów uniewinniających, tém bardziéj, kiedy *Dziennik Warszawski* drukowaniem w swoim feljetonie „Cywilizacyi i Religii“, pióra głównego Redaktora, oraz kilku innych mniejszych rozmiarów ale podobnéj treści artykułów, sam dopomógł do uspawiedliwienia poniekąd tych wszystkich zarzutów. Więc chmura prenumeratorów która się rzuciła nagle do nowego pisma, jeszcze prędzéj ją opuściła, przenosząc się po większéj części do *Gazety Warszawskiéj*, która umiała przybrać pozory, iż w szlachetnych a zbawiennych celach zakłada opozycyą przeciw szkodliwym ideom rozsiewanym przez *Dziennik*. Wszędzie podobnego rodzaju artykuły jak „Cywilizacya i Religja“ przeszły-by niepostrzeżone, u nas zabiły pismo. — Przez kilka lat *Dziennik Warszawski* wiódł niepewne i wachające się istnienie, bo chociaż po dwóch podobno latach od założenia go Rzewuski ponosząc ciągłe straty, a nie przewidując możliwego polepszenia się stanu rzeczy na przyszłość, odsunął się od redakcyi i wydawnictwo dziennika odstąpił Józefowi Ungerowi właścicielowi drukarni w Warszawie, — nikt nie chciał wierzyć, że on już nie jest redaktorem, nikt nawet nie chciał czytać tego pisma. Przez cały ciąg tego że tak powiem długiego konania, *Dziennik Warszawski* bez zasobów materyalnych i współczucia, drukował nawet często dobre artykuły, szczególniéj historyczne i czysto literackie, bo literaci czując potrzebę utrzymania jednego pisma więcéj, wspierali je po większéj części darmo; bo sama redakcya złożona z młodych ludzi oddających się z przekonania sprawie literatury, dokładała ciągle usilnych starań żeby podźwignąć to pismo. — Ale *nec Hercules contra plures*. Wszystko to się na nic nie zdało, artykuły przychodzące darmo, szły bardzo często bez wyboru i dla zapełnienia tylko kolumn, co zaś dobre i użyteczne, przechodziło niepostrzeżenie, a najmniejsze uchybienie podnoszono stokrotnie. I w tym względzie redakcya *Dziennika* posiadała dziwną sztukę paraliżowania własnych swo-

ich usiłowań. — Jakaś nieszczęśliwa gwiazda świeciła snać nad tém pismem od czasu pojawienia się jego. Otóż młodzi ludzie o których mówiłem, nie mieli téj zręczności redaktorskiéj, téj jedności, a co najważniejsza téj przenikliwości, którą w tak wysokim stopniu posiada redakcya *Gazety Warszawskiéj*. Nie wiedzieli, że kto u nas chce żyć z czytelników, musi nieraz naginać się do ich przekonania. Obrażali najpopularniejsze nazwiska i talenta, może czasem słusznie, ale zawsze nie w porę. Umieszczali artykuły drażliwe, jątrzące, polemiczne, niepojmując, że co innym możeby uszło, a nawet uchodziło nieraz, to z ich strony za śmiertelną obrazę uważano. To też *Dziennik* pomimo rzeczywistych zasług, utrzymać się nie zdołał i możeby ustał, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, która oddała własność jego w ręce p. Feliksa Sobańskiego bardzo majętnego obywatela gubernii Podolskiéj — Nabył on *Dziennik* od Ungra, tak przynajmniéj wieść publiczna niesie, ręczyć wam jednak za niezawodność tego twierdzenia nie mogę, nigdzie to bowiem publicznie ogłoszoném nie było. — To jednak pewna, że *Dziennik* zmienia tytuł, będzie się nazywać *Kroniką wiadomości krajowych i zagranicznych*, że redakcya ogłosiła bardzo zachęcający prospekt, że redaktorem głównym pozostaje Julian Bartoszewicz a współpracownictwo bardzo rozgałęzione. Widocznie wielkie zasoby materyalne musiały przyjść w pomoc redakcyi. *Dziennik* liczy obecnie tyleż prenumeratorów co i *Gazeta Codzienna*, podobno 800, ale liczba ta ciągle się zwiększa.

Do redakcyi *Dziennika Warszawskiego* oprócz teraźniejszego właściciela jego zajmującego się podobno układem pisma, należy Julian Bartoszewicz jako główny redaktor, znany z licznych prac historycznych; Wacław Szymanowski autor „Szkiców Warszawskich“ i dramatu „Salomon“; Józef Wagner obrabiający podobno część polityczną. Przytem *Dziennik Warszawski* zasobny jest w pomoc kilku poczynających literatów.

O *Kurjerze Warszawskim* nic wam nie powiem nowego, czegobyście już z góry nie wiedzieli. Pismo to arcypopularne utrzymuje się właśnie swoją drobnostkowością i schlebianiem publiczności. — Gdyby odstąpiło od tych zasad, chciało się ulepszyć i rozszerzyć swój zakres,

upadłoby niezawodnie. Redaktorem *Kurjera* jest Karol Kucz, który wybornie potrafił utrzymać nawet w ujemnéj stronie, tradycyę Dmuszewskiego założyciela tego pisma.

Obecnie gdy to piszę, zawiązała się ostra polemika pomiędzy *Gazetą Warszawską* a *Codzienną*. Widocznie nowy ruch pojawiający się w téj ostatniéj i w *Dzienniku* niepokoi pierwszą, która nieradaby się widzieć zmuszoną odstąpić choćby części ogromnych przychodów jakich monopol, szczęśliwym trafem i wyrachowaną zręcznością nabyła. W każdym jednak razie, takie współzawodnictwo widocznie dziennikarstwu warszawskiemu korzyść przynieść musi.

Patrzcie jaka nademną cięży fatalność. Rozpisałem się tyle o pismach codziennych, że mi już bardzo mało miejsca na co innego pozostaje, ale nie żałuję tego, bo to bardzo żywotna, najżywotniejsza może u nas dzisiaj kwestya. — Niepamiętam kto nazwał dziennikarstwo demokracyą literatury. Dużo w tém jest słuszności i chociaż to może chorobliwy stan, bo literatura powinna być wszechstronną, trzeba ten stan przyjąć jakim jest, nie ma na to rady; takie popędy ogólne, nie zwalą się lada zachceniem. Do tego tylko dążyć wypada, aby wpływ feljetonu na publiczność i coraz gwałtowniejsze przywłaszczanie sobie przezeń ruchu piśmienniczego, przyniosło korzyść miasto ubytku. W tym właśnie sfinksowa zagadka, a Edypów u nas nie wielu, nawet między dziennikarzami.

Zreszą cóż wam pisać? Post, susza, bieda i drożyzna wielka i coraz się wzmaga. Chleb i mięso do bajecznych cen doszły, za niemi wszystko idzie w ślad. Ludność Królestwa od trzech lat się ciągle zmniejsza i to w zastraszającym postępie. Cytowano mi parafie w których w roku zeszłym stosunek narodzeń do śmierci był jak 1 do 3. W innych jak jeden do dwóch, a nigdzie prawie summa przybytku ubytkowi nie wyrównała. Straszliwe choroby dziesiątkują ludność nie licząc cholery, która już co rok regularnie oddaje nam wizytę; tyfusy, febry, głód nareszcie. W wielu miejscach wieśniacy opuszczają ręce, niechcą pracować, obojętni w końcu na los jaki ich czeka. Dziwna jakaś zdrętwiałość. Żebractwa pełno, pomimo wznoszących się ciągle instytutów dobro-

czynnych które nie mogą starczyć na zaspokojenie wzrastających potrzeb. Nędzę i choroby ludu wiejskiego przypisują tu i słusznie złemu wyżywieniu, a mianowicie kartoflom, które od kilku lat ulegając gniciu, nie mogą być wyłącznie posilnym i zdrowym pokarmem. Jedna nawet z gazet (bogdaj czy nie *Warszawska*) w jakiejś gawędzie naukowéj, radzi wieśniakom naszym żeby za pokarm używali mięsa, nabiału, klusek i kaszy. Wyborna rada, jabym tylko dodał, żeby mięso jedli przyprawne jako bifstek albo rostbif, bo to najzdrowiéj. Nie wątpię, że woleliby to od kartofli. Żołądek nie potrzebuje chodzić na uniwersytety, i chociaż dawniéj nie wiedziano, ile co obejmuje węgla, ile białka a ile wody, umiano jeść tak jak teraz a może i lepiéj, kiedy było za co.

Pomimo jednak téj biedy ogólnéj, zbytki i stroje idą swoją drogą. Pod tym względem nasz stan kupiecki skarżyć się nie powinien, bo wszyscy się stroją i ci co mają za co i ci co nie mają. Post jednak obserwowany dość ściśle, a przynajmniéj daleko ściśléj niż dawniéj, i nie słychać o żadnych zabawach tańcujących, bez których dawniéj nie mogło się obejść — Mamy za to koncerta i widowiska na korzyść ubogich. Ponieważ zaś o tych wszystkich ślicznościach wiecie już z gazet i z „Tygodnika", nie chcę wam powtarzać ciągle jednéj piosnki. — To zaś o czém nie wiecie z „Tygodnika", tego wam nie powiem, bo zgorszenie jeśli się jakie zdarzy w prywatnych sferach, powinno być pokryte zasłoną. —

Przyrzekam wam w przyszłomiesięcznym liście pomieścić nowiny literackie i artystyczne. Literatura wlecze się kulawą nogą, nowych publikacyj nie wiele, wszyscy oglądają się na lepsze czasy. — Poezya jakoś teraz więcej się pojawia niż dawniej, ale Warszawa mało daje kontyngensu, więcej Kraków, Lwów, Poznań, Wilno. „Gwido" Jabłońskiego miał tu sympatyczny rozgłos, poezye Lenartowicza literalnie rozrywają. Orgelbrand Warszawski ma zamiar wydać jakiś rodzaj słownika encyklopedycznego, coś nakształt *Conversations-Lexicon* po polsku. Obecnie zajmuje się zgromadzaniem materyałów i współpracowników. — Jest to olbrzymie przedsięwzięcie, a dzieło podobnéj treści bardzo by było uży-

tecznem u nas. Radbym tylko żeby nakładca nie poszedł w ślad kilku kolegów swoich, którzy kiedy podobnego rodzaju zbiorowe dzieło mają wydać, biorą do ułożenia go lada kogo, jakichś tuzinkowych literatów, byleby za tanie pieniądze. — Jest to zawód publiczności, który winien być skarcony należycie.

W teatrach dają same wznowienia, dla „rozmaitości", przemieniając role jednych artystów na drugich, na dobitkę okraszając ten repertoar oryginalną komedyjką: „Ulicznik Warszawski". Wyobrażenia nie macie jak oryginalnie czczą jest ta reprezentantka oryginalnych sztuk u nas. Ani intrygi, ani układu, ani charakterów, ani dowcipu, ani nawet winnego odbicia miejscowości, słowem nic, zgoła nic. — Rzecz się na tem zasadza, iż szewczyk jakiś bije się na ulicy, tańczy z żydami, przyprawia sztuczne wąsy dla rozmiłowania starej baby i rozpowiada swojej kochance jakiemi uczuciami we śnie przejęty jest dla niej. Szkoda istotnie dobréj gry Panczykowskiego i Chomińskiego. Złośliwi utrzymują, iż sztuka ta przyjętą została do teatru dla tego właśnie iż jest taką. Dyrekcyi będzie wybaczone, bo nie wiedzą co czynią. *Sinite coelos: coeci sunt et duces coecorum.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.



SPROSTOWANIA
pomyłek drukarskich w Tomie I.

Stron.	wiersz	*zamiast*	*czytaj*
147	18	I i o	I o
240	31	Lécouvreur	Lecouvreur
264	42	ʼ „	„
375	33	przy wyrazach „młodego oficera, który z początku bitwy zabrał działa nieprzyjacielskie", opuszczony został przypisek, na osobnym kawałku papieru w rękopiśmie będący, i z tego powodu w chwili składania w drukarni zarzucony. Przepraszamy za tę naszą nieostrożność autora i czytelników, i przywracamy w tém miejscu przypisek:	

(*) Młodym tym oficerem który na samym początku bitwy pod Marją opanował z swoimi woltyżerami baterya hiszpańską ze czterech armat, był porucznik a dzisiaj pułkownik Józef Soczyński, o którym już wyżéj nadmieniliśmy. Kiedy przy końcu bitwy téj marszałek Suchet przejeżdżał koło Soczyńskiego, rzekł do niego te słowa: „Jakto, tak młody? (miał w ówczas 19ty rok) i jużeś tak dzielnego dokonał czynu. Ten zuch mnie prześcignie (*me dépassera*)...

Stron.	wiersz	*zamiast*	*czytaj*
544	23	Murchardta	Meinchardta
560	37	Lauzana	Lauzuna
630	9	we Francyi i Prusiech	we Francyi, Austryi i Prusiech
632	34	odnowienie	odmówienie
634	10	z a natury	a z natury
—	19	święcające	świecające
—	24	że Towarzystwa	że Izby handlowe i Towarzystwa
—	28	filiane	filialne

SPIS PRZEDMIOTÓW

w zeszycie marcowym zawartych.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dziennikiem:

dla miejscowych	rocznie 26,	półrocznie 13,	kwartalnie 7 złr. mk.
dla zamiejscowych wraz z przesyłką	„ 30,	„ 15,	„ 8 „ „

Dodatku miesięcznego *osobno* prenumerować nie można.

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

☞ Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu“ po złr. 2 mk.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.